

FANTASY & SF

KARL E. WAGNER

KANE

Wichry Nocy



PHANTOM PRESS

KARL EDWARD WAGNER

WICHRY NOCY

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA
ODPŁYWAJĄCA FALA
„ZACHÓD DWÓCH SŁOŃC”
MROCZNA MUZA
OFIAROWANIE
ODROCZENIE
OSTATNIA PIEŚŃ YALDESY

ODPŁYWAJĄCA FALA
(Przełożył Janusz PULTYN)

PROLOG

– Dostarczono ją niedługo po zmierzchu – sapał dozorca, cofając się rakiem wzdłuż rzędów milczących, zasłoniętych płyt. Znalazł ją strażnik miejski i przyniósł tu. Chyba o tę pytałeś.

Zatrzymał się przy jednym z wysokich do pasa kamiennych stołów i uniósł plugawy blat. Wykrzywiona, patrząca ślepo twarz dziewczyny skręcona była ku górze. Umalowana i uszminkowana wyglądała jak upiorna maska ulicznicy na bladej skórze. Grudki zakrzepłej krwi zwisały wzdłuż rany na jej gardle jak naszyjnik z ciemnych rubinów.

Otulony w płaszcz mężczyzna pokręcił nieznacznie głową ocienioną kapturem, i pyzaty dozorca opuścił blat. – Nie ją miałem na myśli – mruknął przepaszająco. – Czasem można się pomylić, tyle ich jest, stale przybywają i ubywają. – Pociągając nosem z zimna toczył się jak beczulka wąskimi przejściami; starannie omijał poplamione, pomazane zasłony. Górząca nad nim opatulona postać szła milcząco w tyle.

Pełzające nisko płomyki lamp rzucały posępne światło na prosektorium w Carsultyal. Tłące się piecyki pluły kłębamii ciężkiego gryzącego kadzidła. Lgnęło ono i mieszało się z mrokiem, kamieniami i zniszczeniem – jego przenikliwa słodycz bardziej mdliła niżli smród śmierci. Z gęstych cieni dobiegało monotonne kapanie topniejącego lodu, podkreślane czasem mocniejszym pluskiem. Kostnica miejska była dziś zatłoczona – jak zawsze. Spośród setki łupkowych łoży zaledwie kilka stało ciemnych i pustych; resztę zalegały bezimienne kształty pod poplamionymi prześcieradłami; niektóre wykręcone pod dziwnymi kątami, tak jakby niespokojne zwłoki usiłowały wyzwolić się spod szorstkich okryć. Noc zawisa już nad Carsultyalem, lecz w tej podziemnej sali bez okien noc panowała zawsze. W mroku nikle rozjaśnianym chorobliwymi płomykami zniczy leżeli anonimowi, nieopłakiwani zmarli Carsultyalu oczekiwali określony czas, nim ktoś ich nie rozpozna lub nie wywiezie do nieoznaczonego, wspólnego grobu za murami miasta.

– To chyba tu – oznajmił dozorca. – Tak. Wezmę tylko lampę.

– Pokaż! – zażądał głos spod kaptura.

Tęgi urzędnik zerknął niespokojnie na otuloną płaszczem postać. Czuć było w niej potęgę i złowrogi majestat źle zwiastujący pysznemu Carsultyalowi z jego skupionymi, sięgającymi gwiazd wieżami. Jak szeptano, głębokością i grozą przewyższały je tylko ich lochy.

– Słabe tu światło – zaprotestował dozorca, ściągając podarty całun.

Gość zaklął w głębi gardła nieludzkim głosem, wyrażającym raczej dziką wściekłość niż żal.

Wpatrująca się w nich rozszerzonymi oczami, piękna za życia twarz teraz była martwa, zsiniała, wydęta i wykrzywiona bólem. Ciemna krew znaczyła czubek wystającego języka, szyja wykręcona była pod nienaturalnym kątem. Dziewczyna leżała na wznak w pobrudzonej i potarganej sukni z jasnego jedwabiu; ręce z kurczowo zaciśniętymi piąstkami wyciągnięte były po obu bokach.

– Znalazł ją strażnik miejski? – spytał gość ochryple.

– Tak, tuż po zmroku. W parku wychodzącym na port. Wisiała na gałęzi – w gaju kwitnącym na biało każdej wiosny. Musiało się to stać tuż przed jego nadejściem – mówił, że jej ciało było ciepłe jak za życia, choć wiała dziś chłodna bryza od morza. Chyba zrobiła to sama – wspięła się na gałąź, zawiązała pętlę i skoczyła. Ciekawe, czemu to robią – widuję jak przynoszą tu takie młode i ładne, jak ona, i takie zadbane.

Przybysz stał sztywno, patrząc w milczeniu na uduszoną dziewczynę.

– Przyjdiesz rano, by ją rozpoznać, czy poczekaś na górze? – spytał dozorca.

– Zabiorę ją teraz.

Pulchny stróż obracał w palcach złotą monetę rzuconą mu niedawno przez przybysza. Zaciśnął wargi coś rachując. W kostnicy często pojawiali się ludzie pragnący skrycie zabrać ciała dla dziwnych i tajemnych przyczyn – dzięki czemu to pogardzane zajęcie było poszukiwane.

– Nie mogę na to pozwolić – sprzeciwił się. – Jest prawo i przepisy, nie powinieneś nawet być tu o tej porze. Zechcą, byś odpowiedział najpierw na ich pytania. Są też opłaty...

Z warknięciem nieopisanej wściekłości przybysz zwrócił się ku niemu. Nagły ruch odrzucił kaptur.

Opiekun kostnicy po raz pierwszy ujrzał oczy obcego. Zdążył krótko krzyknąć z przerażenia, nim sztylet, którego nie dojrzał, rozdarł mu gardło.

Następnego dnia zdziwieni zniknięciem dozorczy robotnicy, badając przybyłych wieczorem nowych lokatorów kostnicy, odkryli, że ten wcale nie zniknął.

POSZUKUJĄCY NOCĄ

Tam – znów coś usłyszał.

Mavrsal porzucił smętną kontemplację niemal pustej butelki wina i cichutko wstał. Kapitan *Tuaba* był sam w swej kabynie o tej późnej porze. Od wielu godzin jedynymi odgłosami w pobliżu było chlupotanie fali o obrośnięty kadłub, skrzypienie lin i głucho uderzenia starych belek karaweli o nabrzeże. Teraz za na wpół zamkniętymi drzwiami rozległo się ciche stąpanie, stłumione grzebanie w sprzętach na pokładzie. Za głośne na szczury a więc złodziej?

Ponury Mavrsal wyciągnął z pochwy ciężki kord i chwycił latarnię. Zakradł się na pokład, myśląc z goryczą o swojej nic nie wartej załodze. Od kuka po pierwszego oficera, wszyscy przed kilku dniami opuścili jego statek, piekląc się o zalegającą miesiącami zapłatę. Niezwykły o tej porze roku szkwał zmusił ich do wyrzucenia za burtę większości ładunku miedzianych sztab. *Tuab* dowlókł się do portu w Carsultyalu z podartymi żaglami, złamanym grotmasztem, kilkoma nowymi szparami w nadwyreżonych wręgach i resztą starego kadłuba w nie lepszym stanie. Zamiast dać spodziewane bogactwo, zyski za resztki ładunku starczyły ledwo na pokrycie kosztów napraw. Mavrsal tłumaczył, że bez remoxitu *Tuab* nie może wyjść w morze. Po jego ukończeniu znajdzie jakiś inny ładunek, a wtedy będzie mógł zapłacić narastającą od dawna należność – wraz z dodatkiem za cierpliwość i lojalność. Załoga nie uwierzyła ani jego logice, ani obietnicom i zesła wśród burzliwych gróźb.

Może któryś z nich wrócił, aby...? Mavrsal zaczepnie zgarbił swe szerokie ramiona i uniósł kord. Szyper *Tuaba* nigdy nie ucieka przed bijatyką, tym bardziej przed złodziejem czy podkradającym się mordercą.

Nad Carsultyalem jesienne noce są jasne, latarnia była niemal zbędną. Mavrsal zwężonymi, brązowymi oczami pod kudłatymi brwiami badał czujnie miękkie cienie na pokładzie karaweli. Cichy płacz dobiegł go niemal natychmiast, tak, że nie musiał myszkować po pokładzie.

Podszedł szybko do sterty rozerwanych żagli i takielunku przymocowanego do odległego nadburcia.

– No dobra, wyłaź stamtąd! – huknął, kiwając końcem korda na ledwo widoczną postać skuloną przy burcie. Łkanie ustało. Mavrsal niecierpliwie szturchnął płótno butem. – Wyłaź, do diabła! – powtórzył.

Płótno zatrzepotało i wyłoniła się spod niego para stóp w sandałach, potem gołe nogi i krągłe biodra napinające ciasno tkaninę sukni. Mavrsal zacisnął wargi w zamyśleniu, gdy dziewczyna wyszła i stanęła przed nim. W patrzących na niego oczach nie było łez. Arystokratyczna twarz wyrażała opór, chociaż drgające nozdrza i mocno zaciśnięte usta zdradzały, że był on tylko maską. Nerwowe palce wygładzały jedwabną suknię i poprawiały płaszcz z ciemnobrązowej wełny.

– Do środka! – Mavrsal wskazał kordem oświetloną kabinę.

- Nic nie zrobiłam! – zaprotestowała.

– Szukałaś, co by tu ukraść.

– Nie jestem złodziejką.

– Pogadamy w środku. – Pchnął ją naprzód, i potulnie poszła.

Po wejściu Mavrsal zamknął drzwi i wymienił latarnię. Wsunąwszy kord do pochwy opadł na krzesło i przyjrzał się swemu znalezisku.

– Nie jestem złodziejką – powtórzyła dziewczyna, gmerając przy zapięciu płaszcza.

Tak, zdecydował, chyba nie jest – zresztą na tak zmurszałej karaweli jak *Tuab* niewiele było do

ukradzenia. Ale dlaczego zakradła się na pokład? Uznał ją za ladacznicę – jakaż inna dziewczyna o jej urodzie poszłaby sama wieczorem na nabrzeże Carsultaylu? A była piękna, zauważył z rosnącym zdumieniem. Płatanina luźno związanych, sięgających ramion rudych włosów otaczała twarz, której bladą cerę i klasyczną urodę podkreślały raczej niż specyfity piegi na wąskim nosku. Zdziwiająco zielone oczy patrzyły nań z niepokojącym wyzwaniem. Była wysoka i smukła. Nim otuliła ramiona ciemnym płaszczem, dostrzegł duże, stożkowate piersi i łagodnie zaokrągloną figurę pod obcisłą suknią z zielonego jedwabiu. Szmaragd dobrej jakości zdobił jej rękę, a na szyi nosiła szeroki kołnierz z ciemnej skóry i czerwonego jedwabiu, na którym lśnił drugi, większy szmaragd.

Nie, pomyślał Mavrsal, znów zmieniając zdanie; jest zbyt urocza, ma strój zbyt kosztowny, jak na ulicznice nawiedzające te wody. Jego zakłopotanie wzrosło.

– No, to skąd wzięłaś się na pokładzie? – zapytał mniej gwałtownie.

Błądziła oczyma po kabinie. – Nie wiem – odparła.

Mavrsal odchrząknął niecierpliwie. – Chciałaś popłynąć na gapę? Lekko wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

– Jesteś bardzo głupia – prychnął kapitan i wyprostował swą krępą postać – lub mnie masz za głupiego! Zakradać się na pokieroszowanego, starego wojaka, jakim jest *Tuab*, nie mającego żadnego frachtu do zabrania, gdy każdy widzi, że ten cholerny statek wymaga naprawy! Przecież za ten pierścień mogłabyś popłynąć do każdego portu, jaki byś sobie wybrała, i to najlepszym statkiem! A łażenie tutaj o tej porze!... No, może to twoja sprawa i może nie dbasz o swoje interesy, ale na tych nabrzeżach kryją się męty, które poderżnęłyby dziewczę gardło zaraz po zapłaceniu! Vaul! Jestem w porcie od trzech dni i czterech nocy, a tyle już słyszałem o zdeprawowanych mordercach dziewczyn ładnych jak ty, by...

– Przestań! – syknęła z zaciśniętym gardłem. Opadła na jedyne wolne krzesło w kabinie oparła łokcie na koślawym stole i przycisnęła pięści do czoła. Rdzawe kosmyki zakryły welonem jej twarz, i Mavrsal nie mógł odczytać wyrytych na niej uczuć. Między rozchylonymi połami płaszcza jej piersi drżały od szybkiego bicia serca.

Z westchnieniem nalał resztkę wina do kubka i pchnął cynowe naczynie w stronę dziewczyny. W szafce miał inną butelkę; wyciągnął ją wraz z drugim kubkiem. Gdy wrócił do stołu, ostrożnie siorbała z ofiarowanego naczynia.

– Słuchaj, jak się nazywasz? – spytał ją. Stężała w milczeniu nim odpowiedziała.

– Dessylyn.

Imię to nic nie mówiło Mavrsalowi, choć po opadnięciu z niej napięcia zrozumiał, że troskała się, by jej imię nie zostało rozpoznane.

Mavrsal pogładził przyciętą krótko, brunatną brodę. Prostota i twardość jego twarzy maskowała, iż nie osiągnął jeszcze trzydziestki, a kobiety zwykły mu mówić, że jego grube rysy są przystojne. Trochę go trapiło lewe ucho, brzydko zranione podczas bójki w tawernie, ale skrywał je pod zwichrzoną gęstwą włosów.

– Dobrze, Dessylyn – uśmiechnął się – nazywam się Mavrsal, a to mój statek. Jeśli martwisz się o nocleg, to możesz tu zostać.

Na jej twarzy wykwił lęk. – Nie mogę.

Mavrsal skrzywił się, przeświadczony, że został odprawiony, i zaczął odcinać się gniewnie.

– Nie ośmielę się..., zostać tu tak długo, – wtrąciła Dessylyn z płonąącym w oczach strachem.

Rozdrażniło to Mavrsalą.

– Dziewczyno, zakradłaś się na mój statek jak złodziej, ale skłonny jestem zapomnieć o wtargnięciu. Słuchaj, moja kabina jest wygodna, dziewczyny mówią, że jestem miły, i nie skąpię

pieniędzy. Czemu więc miałybyś wychodzić w nocy, by w pierwszej lepszej uliczce jakiś zasyfiony pijak wziął za darmo to, za co ja chcę zapłacić?

– Nie zrozumiałeś!

– Najwyraźniej. – Przez chwilę patrzył jak obraca w palcach cynowy kubek i dodał zgryźliwie:

– Poza tym możesz się tu ukryć.

– Na bogów! Chciałabym! – krzyknęła. – Gdybym tylko mogła ukryć się przed nim!

Zmarszczywszy brwi, zaintrygowany Mavrsal słuchał łkania zduszonego przez potarganą, kasztanową grzywę. Nie spodziewał się tak gwałtownej odpowiedzi na strzelone w ślepo pytanie. Uznawszy, że każda próba przeniknięcia otaczającej Dessylyn tajemnicy tylko bardziej go otumani, odmierzył następną porcję wina, rozważając przy tym, czy powinien za coś przeprosić.

– Chyba dlatego to zrobiłam – mamrotała, – udało mi się na chwilę wymknąć. Poszłam wzdłuż brzegu i zobaczyłam w porcie te wszystkie statki ustawione do lotu i pomyślałam, że byłoby cudownie być wolną jak one! Wejść na pokład któregoś obcego statku i pożeglować nocą do jakiegoś nieznanego lądu – gdzie on nigdy nie zdoła mnie odnaleźć! *Być wolną!* Och, wiedziałam, że nigdy nie uda mi się tak uciec, ale gdy weszłam na twój statek, chciałam mimo wszystko spróbować! Pomyślałam – mogę poudawać, że się mu wymknę!

Wiem jednak, że od Kane'a nie ma ucieczki!

– Kane! – Mavrsal zaklął. Rozpalający się w nim gniew na prześladowcę dziewczyny zamarł nagle przytłoczony zimnym wybuchem strachu.

Kane! Nawet u obcego w Carsultyalu, największym mieście świtu ludzkości, imię to wzbudzało przerażenie. Tysiące bajek szeptano o Kanie. Nawet w tym mieście czarów, gdzie odkrywano utraconą wiedzę przedludzkiej Ziemi, aby wykuć skradzioną cywilizację ludzi, Kane'a otaczały lęk i tajemnica. Poza niezliczonymi opowieściami, dziwnymi i niepokojącymi, nic nie wiadano pewnego o tym człowieku; to tylko, iż od pokoleń jego wieża górowała nad Carsultyalem. Tam wytyczał tajemne ścieżki, którymi podążał jego mroczny geniusz. Rzadko jawnie (choć zawsze skutecznie) wpływał Kane na sprawy Carsultyalu. Bracia czarownicy i włodarze sił doczesnych z jednakim lękiem wymawiali jego imię, a z tych, którzy odważyli się wystąpić przeciwko niemu, mało kto żył tak długo, by zdążyć pożałować swej śmiałości.

– Jesteś kobietą Kane'a? – wyrwało mu się.

– Tak powiedziałby Kane – odparła gorzko. – Jego pani. Jego własność. Kiedyś jednak byłam wolną kobietą – nim zgłupiałam na tyle, by dać się wciągnąć w jego pajęczynę!

– Nie możesz opuścić go – opuścić miasto?

– Nie wiesz, jakimi mocami włada Kane! Któż odważyłby się narazić na jego gniew, aby mi pomóc?

Mavrsal wyprostował ramiona.

– Nie jestem lennikiem Kane'a czy jego pachołków w Carsultyal. Ten statek może i ucierpiał od sztormu, może przecieka, ale jest mój, płynie tam, gdzie zechcę. Jeśli zdecydujesz...

Przerażenie wykrzywiło jej rysy.

– Nie! – zapało jej dech. – Nawet mi o tym nie wspominaj! Nie możesz wiedzieć, jaką mocą Kane...

– Co to było?

Mavrsal natężył słuch. Z mroku dochodziło ciche trzepotanie wielkich, skórzastych skrzydeł. Pazury drapały o deski pokładu. Płomienie latarni nagle przygasły i zamigotały; kabinę wypełnił gęsty cień.

– Spostrzegł mą nieobecność! – jęknęła Dessylyn. – Wysłał to po mnie!

Ze zmrożonym sercem Mavrsal wyciągnął kord i skierował sztywno ku drzwiom. Płomyki lampy były teraz zaledwie dogasającą, niebieską poświatą. Za drzwiami pod wlekącą się masą głucho skrzypiały obluźowane deski.

– Nie! Proszę! – krzyknęła rozpaczliwie. – Nic nie możesz zrobić! Odsuń się od drzwi!

Mavrsal burknął coś, na jego twarzy walczyły ze sobą gniew i przerażenie. Dessylyn chwyciła go za rękę, by odsunąć do tyłu. Zamknął drzwi kabiny; ciężka żelazna zasuwka zabezpieczyła grube deski. Teraz niewidzialna dłoń przesuwiała zasuwę. Cicho, wolno, żelazna belka obróciła się i spoczęła w mocujących ją jarzmach. Zamek szczęknął. Z koszmarną nagłością drzwi rozwarły się szeroko.

W progu tkwiła ciemność. Przyjrzały się im płonące oczy, Zbliżyły się...

Dessylyn płakała bezsilnie. Odrętwiały z grozy Mavrsal niezdarnie skierował głownię ku jarzącym się oczom. Mrok ogarnął go i z nieodpartą siłą cisnął w głąb kabiny. Świadomość kapitana rozdarł ból, a potem była tylko ciemność.

„NIGDY, DESSYLYN”

Zadrżała i mocniej owinięła płaszcz wokół szczupłych ramion. Czy kiedykolwiek uwolni się od tego bezlitosnego chłodu?

Blask piecyka ukazywał okrutną, wychudłą twarz Kane'a pochylonego nad szkarłatnym alembikiem. Jakże rude ma włosy i brodę w świetle węgla; jakże złowieszczy jest błękitny płomień jego oczu... Wychylił się do przodu, by złapać kilka ostatnich kropli fosforyzującego eliksiru w kielich z rubinowego kryształu.

Wiedziała, że wiele bezsennych godzin spędził ślęcząc nad jarzącym się płynem. Godzin cennych dla niej, bo godzin wolności – mogła wówczas uciec przed jego przekłętą czujnością uwagi. Jej zaciśnięte wargi tworzyły cienką, pozbawioną krwi linię. Wstrętny przepis, według którego przygotowywał eliksir! Dessylyn ponownie przypomniało się okaleczone ciało młodej dziewczyny, które Kane kazał odnieść swemu słudze. Wzdrygnięcie znów wstrząsnęło jej szczupłym-ciałem.

– Dlaczego mnie nie puścisz? – usłyszała siebie pytającą monotonna... ileż to już razy o to pytała?

– Nie puszcze cię, Dessylyn – odparł Kane zmęczonym głosem. – Wiesz o tym.

– Kiedyś cię porzucę.

– Nie, Dessylyn. Nigdy mnie nie porzucisz. – Kiedyś.

– Nigdy, Dessylyn. – Dlaczego, Kane?!

Z napiętą do bólu uwagą czekał, aż kilka kropeł bursztynowego płynu spłynęło do jarzącego się kielicha. Błękitny płomień objął jego powierzchnię.

– Czemu!

– Bo cię kocham, Dessylyn.

Gorzki jęk przedrzeźniający śmiech szarpnął jej gardłem.

– Kochasz mnie. – Rozciągane, wyduszane z siebie sylaby wyrażały beznadziejność.

– Kane, czy zrozumiesz kiedyś, jak bardzo cię nienawidzę? – Może. Ale kocham cię, Dessylyn.

Powrócił zmieszany ze szlochem śmiech.

Patrząc z troską, Kane ostrożnie wysunął ku niej kielich. – Wypij to. Szybko – nim wygaśnie aureola. Spojrzała nań oczyma pociemniałymi z przerażenia.

– Nowy gorzki wywar z jakiegoś paskudztwa, mający przywiązać mnie do ciebie?

– Nazywaj to, jak chcesz. – Nie wypiję tego.

– Nie, Dessylyn, wypijesz to.

Mordercze oczy uwięziły ją odwiecznym lodem. Mechanicznie przyjęła szkarłatny kielich i pozwoliła jego fosforyzującej zawartości spłynąć do rozwartych ust, sięgnąć w głąb gardła.

Kane westchnął i zabrał pusty puchar z jej biernej dłoni. Jego masywna postać drżała jakby z wysiłku, szeroką dłonią otarł podeszłe krwią zapadnięte oczy.

– Zostawię cię, Kane.

Morski wiatr wpadł przez okno wieży i okręcił długie, rude włosy wokół jego udreżonej twarzy.

– Nigdy, Dessylyn.

III

W GOSPODZIE POD BŁĘKITNYM OKNEM

Nazywał się Dragar.

Gdyby dziewczyna nie minęła go przed chwilą, chyba nie poruszyłby się, usłyszawszy jej krzyk. A może i tak. Obcy w Carsultyalu młody barbarzyńca przebywał jednak na tyle długo w mniejszych miastach ludzi, by strzec się nocnych krzyków o pomoc i zastanawiać dwa razy przed zanurzeniem w ciemne zaułki w celu włączenia się w niewidoczną walkę. Był jednak trochę dumny z odziedziczonych rycerskich ideałów, ufał też w twarde mięśnie dzierżącej miecz ręki i w dziwną głównie swej broni.

Myśląc o ujranych przelotnie smukłych, bladych kształtach dziewczyny, patrycjuszowskim pięknie jej twarzy i zimnej odpowiedzi na jego ciekawski wzrok, gdy zbliżała się ku niemu, Dragar wyciągnął z zawieszanej na biodrze pochwy ciężką broń i rzucił się w ulicę, w którą właśnie wszedł.

Choć zaułek leżał z dala od najbliższej palącej się latarni ulicznej, dzięki księżycowi było dostatecznie jasno. Bez płaszcza, w sukni zerwanej z ramion, dziewczyna szarpała się w objęciach dwóch zbirów. Trzeci zbój, ostrzeżony tupotem butów barbarzyńcy, skoczył mu wściekle naprzeciw – jego miecz śmignął ku brzuchowi Dragar.

Ten zaśmiał się tylko i odrzucił na bok lżejsze ostrze potężnym zamachem swego miecza. Ledwo powstrzymując atak, rozplątał rękę napastnika ciosem z góry, a gdy tamten opuścił broń, rozciął mu czaszkę. Jeden z dwóch trzymających dziewczynę rzezimieszków rzucił się w przód, ale Dragar zrobił unik i nagłym pchnięciem wraził miecz w jego pierś. Ostatni zbir rzucił dziewczynę pod nogi barbarzyńcy i uciekł uliczką.

Zaniechawszy pogoni Dragar pomógł oszołomionej dziewczynie wstać. Przerazenie nadal wykrzywiało jej twarz, gdy niezdarnie poprawiała stanik swej jedwabnej sukni. Sine zadrapania przecinały bladą skórę jej piersi, a na wardze nabrzmiewał siniak. Dragar złapał opadły z niej płaszcz i owinął wokół jej ramion.

– Dziękuję – szepnęła drżąco, odzywając się w końcu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mruknął. – Zabijanie szczerów to dobre ćwiczenie. Ale czy wszystko z tobą w porządku?

Przytaknęła, potem jednak chwyciła jego ramię, aby się podeprzeć.

– Akurat! Tu blisko jest tawerna. Chodź – starczy mi srebra, by kupić tyle wina, aby rozgrzało ci serce.

– Jak się nazywasz? – spytał, gdy już skosztowała ciężki trunek.

– Dessylyn.

Powtórzył jej imię milczącymi ustami, by posmakować jego brzmienie.

– Ja jestem Dragar – powiedział. – Pochodzę z gór, daleko na południe stąd, choć minęło już kilka lat, odkąd polowałem tam z moimi. Wygnał mnie pęd do wędrowki, i odtąd maszeruję pod tym czy innym sztandarem – czasem jest to tylko cień mojego łopoczącego płaszcza. Potem, gdy zasłyszane opowieści zamuliły już mi uszy, postanowiłem sprawdzić na własne oczy, czy Carsultyal jest taki, jak to trąbili inni. Też jesteś tu obca?

Pokręciła głową. Gdy jej policzki odzyskały barwy, twarz trochę się rozchmurzyła.

– Myślałem, że jesteś. Inaczej wiedziałabyś, że nie można spacerować w nocy po Carsultyalu. Musiałaś mieć ważny powód, by tak zaryzykować.

Bezwiednie uniosła ramiona, choć twarz pozostała niewzruszona. – Bez celu... ale to było ważne dla mnie.

Dragar spojrzał pytająco.

– Chciałam.. no, być sama, wyrwać się na chwilę. Może się zapodziać – nie wiem. Nie sądziłam, że ktokolwiek odważy się mnie tknąć, wiedząc kim jestem.

– Twe imię musi budzić mniejszy lęk wśród tych szcurów z rynsztoka niż to sobie wyobrażałaś – oświadczył cierpko Dragar.

– Wszyscy ludzie boją się imienia Kane! – odcięła się gorzko Dessylyn.

– Kane! – imię wybuchło z jego zdumionych ust. Co ta dziewczyna ma do...? Ale Dragar przyjrzał się ponownie jej wyrafinowanej urodzie, luksusowym strojom, i zaświtało w nim zrozumienie. Z gniewem uświadomił sobie, iż knajpiany gwar zamilkł po jego wybuchu. Obejrzało się ku niemu kilka niespokojnych, kalkulujących twarzy.

Barbarzyńca położył dłoń na rękojeści miecza.

– Oto człowiek nie lękający się tego imienia! – oznajmił. Słyszałem coś niecoś o najstraszliwym czarowniku Carsultyalu, ale jego imię mniej dla mnie stoi niż pierdnięcie! Stał tego miecza potrafi rozplatać wszystko, co zdołają wykuć wasi najszlachetniejsi w świecie mistrzowie kowalscy, i jaśnieje od posoki magów. Zwę to ostrze Zgubą Czarnoksiężników, a w Piekło są dusze, które przysięgną, iż nazwa ta to nie przechwałka!

Dessylyn spojrzała nań z nagłą fascynacją.

A co potem, Dessylyn?

Ja... Nie jestem pewna... Myślałam – byłam chyba w stanie szoku. Pamiętam, jak trzymałam jego głowę; wydawało mi się, że przez wieczność. A potem pamiętam zmywanie krwi gąbką maczaną w wodzie z drewnianej umywalki, wodzie tak zimnej i tak czerwonej, tak czerwonej. Musiałam się ubrać. ...Tak, pamiętam też miasto, chodzenie i te wszystkie twarze... Twarze... ludzie przyglądali mi się, niektórzy. Przyglądali i odwracali wzrok, przyglądali i patrzyli współczująco, przyglądali i patrzyli z ciekawością, przyglądali i robili okropne uwagi... A niektórzy lekceważyli mnie, w ogóle nie dostrzegali. Nie wiem, które twarze byty okrutniejsze... Szłam, szłam tak długo... Pamiętam ból... Pamiętam swe łzy, i ból, kiedy zabrakło łez... Pamiętam... Miesza mi się w głowie... Moja pamięć...

Nie mogę sobie przypomnieć...

IV STATEK POŻEGLUJE...

Podniósł wzrok znad roboty i zobaczył ją stojącą na nabrzeżu – przyglądała mu się z dziwną mieszaniną napięcia i niezdecydowania. Mavrsal chrząknął ze zdumienia i wyprostował znad ciesielki. Mogła być duchem, tak cicho zakradła się do niego.

– Chciałam zobaczyć, czy... czy z tobą wszystko w porządku -- Dessylyn odezwała się z niepewnym uśmiechem.

– Tak, nie licząc rozbitej głowy – odparł Mavrsal, przypatrując się jej niedowierzająco.

O świcie wypełził spod przewróconych mebli kabiny. Gęste włosy z tyłu jego głowy pokrywała krew, a w czasie dudnił osłabiający ból, tak iż dłuższą chwilę musiał siedzieć bez ruchu, usiłując przypomnieć sobie zdarzenia wieczora. *Coś* weszło drzwiami i odrzuciło go jak niepotrzebną lalkę. A dziewczyna zniknęła – zabrana przez demona? Ostrzegła go; sama nie okazywała lęku, tylko rezygnację i rozpacz.

A może to wrócił któryś z jego ludzi, by spełnić swe pogroźki? Wypił za dużo wina, dostał w łeb...? Ale nie, Mavrsal był przekonany. Napastnicy by go obrabowali, upewnili się o śmierci – gdyby zaatakowali go ludzie. Nazwała siebie panią czarownika, a to czary rozpostarły swe czarne skrzydła nad jego karawelą. Teraz dziewczyna wróciła, i radość powitania krępowała świadomość niebezpieczeństwa wiążącego się z jej obecnością.

Dessylyn musiała wyczuć jego myśli. Cofnęła się, jakby zamierzając odwrócić się i odejść.

– Zaczekaj! – zawołał nagle.

– Nie chcę znów wystawiać cię na niebezpieczeństwo. Zagrała gorąca krew Mavrsala.

– Niebezpieczeństwo! Kane może gzić się ze swymi demonami w Piekło; nie obchodzi mnie to! Mam zbyt twarde łeb, by go rozbił jego potwór, a jeśli spróbuje wystąpić osobiście, może to zrobić tutaj!

Z radością w szeroko rozwartych oczach Dessylyn podeszła do niego.

– Nekromancje wyczerpały go – zapewniła. – Kane prześpi teraz parę godzin.

Mavrsal powiódł ją z niezgrabną galanterią wzdłuż relingu.

– No to może wstąpisz do mojej kabiny. Zrobiło się za ciemno na ciesielkę, a chciałbym z tobą pogadać. Sądzę, że po wczorajszej nocy należy mi się jednak odpowiedź na kilka pytań.

Skrzeszał światło lampy, a gdy się odwrócił, zobaczył ją wiercącą się nerwowo na skraju krzesła.

– Jakich pytań? – spytała niespokojnym głosem. – Dlaczego?

– Co dlaczego? – Mavrsal zrobił szeroki gest. – Wszystko. Dlaczego związałaś się z tym czarownikiem? Dlaczego cię trzyma, skoro go nienawidzisz? Dlaczego nie możesz go porzucić?

Uśmiechnęła się smutnie, aż poczuł swą naiwność. – Kane jest... fascynującym mężczyzną; ma w sobie jakiś magnetyzm. Nie przeczę też, iż jego olbrzymia potęga i bogactwo wywarło na mnie wrażenie. Czy to ważne? Powiem tylko, iż kiedyś się spotkaliśmy i uległam zaklęciom Kane'a. Być może kochałam go kiedyś – ale potem zbyt długo i zbyt silnie nienawidziłam, by to pamiętać.

Kane jednak na swój sposób kocha mnie nadal. Kocha! Miłością skąpca do swego majątku, miłością konesera do jakiejś wymyślnie wykutej rzeźby, miłością pajaka do uwięzionego łupu! Jestem jego skarbem, jego własnością – a któż troszczy się, co czuje martwy przedmiot do swego posiadacza? Czy przyjemność płynąca z posiadania cennego posągu zmaleje, jeśli dziwnym trafem będzie on nienawidził swego pana?

A opuścić go? – Głos się jej załamał. – Na bogów, myślisz, że nie próbowałam?

Z rozwichrzonymi myślami Mavrsal przyglądał się bacznie udrećzonej twarzy dziewczyny.

– Ale czemu godzisz się z porażką? Poprzednie porażki nie oznaczają, że nie należy spróbować ponownie. Skoro możesz swobodnie chodzić nocą ulicami Carsultyalu, to niech nogi poniosą cię dalej. Nie widzę łańcuchów przymocowanych do twego kołnierza.

– Nie wszystkie łańcuchy są widzialne.

– Tak słyszałem, choć nigdy w to nie wierzyłem. Słaby może wymyślić swe pęta.

– Kane nie pozwoli, bym go porzuciła.

– Moc Kane'a jest dziesięć razy mniejsza, niż w to wierzy.

– Niektórzy by temu zaprzeczyli, gdyby martwi chcieli podzielić się mądrością, jakiej dostąpili zbyt późno.

Wyzwanie płonęło w zielonych oczach patrzącej na niego dziewczyny. Mavrsal odczuł urok jej urody i jego męska natura odrzekła:

– Statek płynie tam, gdzie chce jego kapitan – a licho niech porwie wiatry, prądy i niebezpieczeństwa morza!

Jej twarz nachyliła się bliżej. Kosmyki kasztanowych włosów dotknęły jego ręki.

– Odwaga brzmi w tych słowach. Ale niewiele wiesz o potędze Kane'a.

Zaśmiał się zuchowato.

– Raczej nie jestem zastraszony jego sławą.

Dessylyn odczepiła sakiewkę od pasa sukni. Pchnęła ku niemu skórzany trzos.

Mavrsal złapał go, odwiązał splątane rzemyki i wysypał na dłoń zawartość. Zadrżała mu ręka. Błyszczące klejnoty stoczyły się małą tęczą i rozsypały na stole. Miał w ręce fortunę z grubszymi szlifowanymi diamentami, szmaragdami i innymi drogocennymi kamieniami.

Zza ich wielobarwnych odblasków patrzyła pytająco jego twarz.

– Sądzę, że to wystarczy, by naprawić twój statek i najać załogę... – Przerwała; wyzwanie w jej oczach zabłysło mocniej. Może i na zabranie mnie do dalekiego portu – jeśli się odważysz!

Kapitan Tuaba zaklął.

– Wiem co mówię, dziewczyno! Daj mi jeszcze kilka dni na remont, a popłynę z tobą do ziem, gdzie nikt nigdy nie słyszał imienia Kane!

– Możesz później zmienić zdanie – ostrzegła Dessylyn. Wstała z krzesła. Mavrsal sądził, że chce wyjść, ale ujrzał, jak jej palce odplątują inne rzemyki paska. Zaparło mu dech, gdy jedwabna suknia zaczęła spływać z jej ramion.

– Nie zmienię zdania – obiecał zrozumiawszy, dlaczego Kane gotów jest na wszystko, byle tylko zatrzymać Dessylyn przy sobie.

„ZGUBA CZARNOKSIĘŻNIKÓW”

– Masz skórę jak najczystszy miód – oznajmił żarliwie Dragar. – Na bogów, przysięgam, nawet smakuje jak miód!

Dessylyn zwinęła się z rozkoszy i przyciągnęła kudłatą głowę jasnowłosego barbarzyńcy do swych piersi. Po chwili westchnęła i ospale wyslizgnęła się z jego objęć. Siedząc rozgarniała smukłymi palcami rozczochraną, kasztanową falę spływającą na jej nagie ramiona i plecy, czepiającą się wilgotnymi lokami zarumienionej skóry.

Stwardniałe dłonie Dragar uchwyciły jej wąską talię, gdy chciała wstać z rozkopanego łoża.

– Nie dąsaj się jak skruszona dziewczica. Twój jeździec zsiadł tylko na chwilę wytchnienia – potem znów będzie gotów raz lub kilka razy pogalopować przez bramy pałacu, nim słońce zapadnie się w morze.

– Ślicznie, ale muszę iść – sprzeciwiła się. – Kane może nabrać podejrzeń...

– Pedał Kane! – zaklął Dragar kładąc dziewczynę obok siebie. Grube ramiona zamknęły się wokół niej, a ich usta szczepiły się dziko. Poczawszy łomotanie jej serca pod leżącą na drobnej piersi dłonią, młodzieniec roześmiał się i odwrócił ku sobie jej rozgorączkowaną twarz. – Powiedz mi teraz, że wolisz bezpłodne obłapki Kane'a od objęć mężczyzny!

Grymas zjawił się nagle jak piorun.

– Nie doceniasz Kane'a. Nie jest słabym delikatnisiem. Młodzik prychnął zazdrośnie.

– Śmierzący czarownik, który nie wiadomo od jak dawna czai się w swej wieży! Musi mieć kurz zamiast krwi i wyschły szpik w kościach! Ale wracaj do niego, skoro wolisz jego bezzębne pocałunki i uschnięte łądzwie!

– Nie, najdroższy! To w twych ramionach pragnę leżeć! krzyknęła Dessylyn, czepiając się go i łagodząc gniew pocałunkami. – Boję się tylko o ciebie. Kane nie jest wysuszonym staruszkciem. Gdyby nie szaleństwo w oczach, wziąłbyś Kane'a za doświadczonego wojownika w swych najlepszych latach. A bać powinieneś się nie tylko jego czarów. Widziałam, jak Kane zabijał mieczem – to morderczy szermierz!

Dragar prychnął i wyciągnął swą krzepką postać.

– Żaden wojownik nie chowa się w szaty czarodzieja. To tylko imię – imię wilkołaka, którym straszy się dzieci, by były grzeczne. Nie boję się tego imienia, nie boję się jego czarów. Moja broń wytoczyła krew z lepszych szermierzy, niż kiedykolwiek był twój nikczemny tyran!

– Na bogów! – szepnęła Dessylyn, kryjąc się w jego szerokich ramionach. – Czemu los rzucił mnie w sieć Kane'a, a nie w twoje ramiona!

– Los to wola człowieka. Jeśli zechcesz, będziesz odtąd moją kobietą.

– Ale Kane...!

Barbarzyńca skoczył na nogi i nachylił się nad nią.

– Dość biadolenia o Kanie, dziewczyno! Kochasz mnie czy nie?

– Dragan ukochany, wiesz, że cię kocham! Czyż w tych dniach...

– Te dni pełne były żalonych skomleń o Kanie, i robi mi się niedobrze, gdy to słyszę! Zapomnij o nim! Zabieram cię od niego, Dessylyn! Mimo swej wspaniałej legendy i wszechpotężnych wież, Carsultyal jest śmierdzącą, plugawą dziurą, jak każde inne miasto, które poznałem. Nie stracę tu już nawet jednego dnia.

Wyjadę jutro z Carsultyalu, a może wypłynę statkiem. Wyruszę do mniej spokojnego kraju, gdzie śmiały człowiek z mocnym mieczem może zdobyć bogactwo i przygodę! Pojedziesz ze mną. –

Naprawdę, Dragar?

– Jeśli myślisz, że łgam, to zostań. – Kane będzie nas ścigał.

– No to ze swą miłością utraci i życie! – warknął Dragar. Pewnymi dłońmi wyciągnął gładko z pochwy swój wielki miecz ze srebrnoniebieskiego metalu.

– Popatrz na tę głownię – syknął, z łatwością prezentując ją na całą długość. – Zwę ją Zgubą Czarnoksiężników, i nie bez powodu. Spójrz na nią. To stal, ale nie taka, jak z waszych tajnych kuźni z ich piecami na smoczy dech. Spójrz na symbole wyryte przy rękojeści. Ta głownia ma moc! Została wykuta dawno temu przez mistrza kowalskiego, któremu za rudę posłużyło płonące serce spadłej gwiazdy. To on na ukończony miecz nałożył ochronne runy. Dzierżący Zgubę Czarnoksiężników nie musi obawiać się czarów, bo magia nie ma nad nim mocy. Mój miecz zdoła rozplatać piekielne cielska demonów. Zdoła odwrócić zaklęcia czarodzieja i przebije jego złe serce!

Niechże Kane wyśle swe demony, by nas szukały! Moja głownia osłoni nas przed zaklęciami i odeśle skamlące ze strachu sługi maga do jego wysuszonej wieży! Niechże wypełźnie ze swej nory, jeśli się odważy! Nakarmię go kawałkami jego wątroby i zaśmieję się w twarz, gdy będzie umierał!

Oczy Dessylyn wypełnił podziw.

– Dokonasz tego, Dragarze! Jesteś dość silny, by zabrać mnie Kane'owi! Żaden mężczyzna nie może równać się z tobą odwagą, najmilszy!

Młodzik roześmiał się i zwichrzył jej włosy.

– Żaden mężczyzna? Co ty wiesz o mężczyznach? Myślisz, że ci sflaczali, miejscy lalusie, drżący przed cieniem zgrzybiałego rogacza są mężczyznami? Nie myśl więcej o wślizgnięciu się do wieży Kane'a, nim twój posiadacz nie zauważy, żeś nieobecna. Dziś, dziewczyno, pokażę ci, jak mężczyzna kocha swą kobietę!

Ale dlaczego uważasz, że nie da się opuścić Kane'a? Wiem o tym.

Skąd możesz wiedzieć? Zbyt się go boisz, by spróbować. Wiem o tym.

To jak możesz tak mówić? Bo wiem.

Może owe więzy istnieją tylko w twym umyśle, Dessylyn. Wiem jednak, że Kane nie pozwoli mi odejść.

Takaś pewna – bo próbowałaś już mu uciec?

Próbowałaś, Dessylyn?

Próbowałaś przy pomocy kogoś innego, Dessylyn – bez skutku... Dessylyn?

Nie możesz być ze mną szczerą, Dessylyn? Teraz odsuwasz się ode mnie ze strachem. A więc był inny mężczyzna?

Nie można przed nim uciec – a teraz ty mnie opuszczasz! Powiedz mi, Dessylyn. Jakże mogę ci ufać, skoro ty mi nie ufasz?

Na twą odpowiedzialność. Był inny mężczyzna...

VI NOC I MGŁA

Noc wróciła nad Carsultyal, rozpościerając mglisty płaszcz nad wąskimi uliczkami i sterczącymi wieżami. Odgłosy ulic z piskliwej kakofonii dnia przeszły w stłumiony szmer nocy. Wraz z rosnącym blaskiem gwiazd, przebijających się przez nadpływającą od morza mgiełkę, ulice milkły coraz bardziej – poza dobiegającymi czasem warknięciami i wyciami, jak u niespokojnie śpiącego psa. Potem jaśniejące w mrokach światła zaczynały gasnąć, tak skrycie, iż nikt nie zauważał ich zniknięcia; wiedział tylko, że mrok, mgła i milczenie niepodzielnie władają już miastem. Noc, bliższa tu niż w każdym innym mieście ludzi, wróciła do Carsultyalu.

Leżeli mocno objęci – zaspokojeni, lecz zbyt niespokojni, by zasnąć. Niewiele rozmawiali, słuchali bicia swych serc, przyciśnięci tak mocno, że uderzały one jednym głosem. Chłodne powiewy morza wciskały macki mgły przez szpary w zaryglowanych okiennicach, niosąc zagubione krzyki zakotwiczonych w nocy statków.

Wtem Dessylyn syknęła jak kot i tak głęboko wbiła paznokcie w rękę Dragar, aż na jego napiętych mięśniach powstała bransoletka z purpurowych potoczków. Natężając w mroku zmysły, barbarzyńca opuścił dłoń na rękojęść leżącego przy ich łóżku, wyciągniętego z pochwy miecza. Ostrze zajaśniało niebiesko – bardziej, niżli od odblasków nikłego światła latarni.

W nocy na zewnątrz... Czy to nagły powiew załomotał okiennicami, zbił strumyki mgły w wirujące kłęby? Dźwięk... Czy to uderzały ogromne, skórzaste skrzydła?

Lęk zawisł drżącą pajęczyną nad gospodą, a milczenie wokół było tak głębokie, jakby ich serca były ostatnimi bijącymi w całym nawiedzonym Carsultyalu.

Z dachu dobiegło nagle ślizgające się, metaliczne skrobanie o łupkowe dachówki.

Zguba Czarnoksiężników pulsowała niebieskimi błędnymi ognikami. Lita, nierzeczywista ciemność cofała się przed migoczącym ostrzem.

Napierane potwornie grube okiennice skrzypnęły jękliwie. Dębowe bale wgięły się do środka. Mocne żelazne okucia drżały, potem naraz zatliły się ponurym, rubinowym żarem. Przesyczone nieznanym ludziom morza zapachem opary, wpłynęły przez wykrzywione deski.

Pałanie błyskającego skrami miecza nabrało blasku. Otoczka błękitnego płomienia oderwała się od główki, objęła przykucniętego młodzieńca i jego przerażoną towarzyszkę. Wypełniające pokój falujące, niebieskie promieniowanie zetknęło się z jęczącymi okiennicami.

Odpryski żaru odskakiwały od jarzących cię żelaznych okuć. Z mroku na dworze dobiegło ciche warknięcie – nieziemski krzyk, wyczuwany raczej niż słyszany – prychnięcie bestii dotkniętej bólem i bezsilną wściekłością.

Okiennice cofnęły się z chrząkliwym westchnieniem, gdy nacisk na nie nagle zelżał. W nocy rozległy się ponownie uderzenia straszliwych skrzydeł. Upiorny głos zamarł. Ciemna fala lęku osłabła i odpłynęła z gospody.

Dragar zaśmiał się i machnął mieczem. Zafascynowana Dessylyn – mimo nadal niepewnego wzroku – wpatrywała się w główkę, błyszczącą teraz zwyczajnie, jak dobrze rozgrzana stal. Może to wszystko było koszmarnym snem – pomyślała, wiedząc dobrze, iż tak nie jest.

– Wygląda na to, że czary twego ciemiezcy nie są wcale takie potężne! – zadrwił barbarzyńca. – Teraz Kane będzie wiedział, że jego zaklęcia i tchórzliwe sztuczki nie działają na Zgubę Czarnoksiężników. Twój starożytny zaklinacz kuli się na pewno pod zimnym łóżem, przestraszony, iż trzęsący łydkami mieszkańcy tego miasta któregoś dnia na tyle się odważą, by wykryć jego pozory!

Oto chyba nie musi się obawiać.

– Nie znasz Kane'a – jęknęła Dessylyn, wykrzywiając twarz.

Łagodnie lecz niezdarnie Dragar szturchnął dziewczynę.

– Ciągłe przestraszona legendą? Po tym, gdy zobaczyłaś, jak gwiazdne ostrze pokonało jego czary? Zbyt długo żyjesz w cieniu tego dekadentckiego miasta, dziewczyno. Za kilka godzin będzie jasno, a wtedy zabiorę cię do prawdziwego świata – gdzie ludzie nie zaprzędają dusz duchom starszych ras!

Łzy nie wyschły jednak pod wpływem ciepła i pewności siebie barbarzyńcy. Przez niekończący się czas ciemności Dessylyn czepiała się go z walącym niespokojnie sercem, drżała na każdy dźwięk przenikający noc i mgłę.

W ciemnych ulicach rozległo się kłapanie kopyt.

Odległe, brzmiało tak cicho, jakby było tylko złudzeniem. Gdy zbliżało się, mgła tłumiła uderzenia podkutych kopyt o ceglany bruk. Jeszcze bliżej, puste, rytmiczne stukanie narastało ogłuszające w całkowitej ciszy. Kłap-kłap, kłap-kłap, kłap-kłap, KŁAP-KŁAP, KŁAP--KŁAP. Podchodziło niespiesznie. Nieubłagane zbliżało do spowitej mgłą gospody.

– Co to? – zapytał, gdy zaczęła wpadać w przerażenie.

– Znam ten głos. To kary, kary ogier, z oczami błyszczącymi jak płonące węgle i kopytami stukającymi metalicznie!

– Aha! Znam jego jeźdźca! – prychnął Dragar. KŁAP-KŁAP, KŁAP-KŁAP. Stukot kopyt toczył się i dudnił w dziedzińcu Gospody pod Błękitnym Oknem. Echa grzechotały okiennicami... Czy nikt inny nie słyszy ich przeszywającego chłodem grzmotu?

KŁAP-KŁAP, KŁAP. Niewidoczny koń tupnął i stanął przed drzwiami gospody. Brzęknęła uprząż. Czemu nikt nie krzyczy?

W dużej sali pod nimi rozległo się echem ciche pobrzękiwanie rygli i odsuwanych zasuw, ich stukot o podłogę. Drzwi zewnętrzne otworzyły się ze zgrzytem. Gdzie jest właściciel gospody?

Na schodach rozbrzmiały kroki – miękkie szuranie skórzanych butów po starych deskach. Ktoś wszedł w korytarz prowadzący do ich drzwi; zmierzał prosto do ich pokoju.

Skuliwszy się w bojowej pozycji, Dragar rzucił spojrzenie na

mocno dzierżone nagie ostrze. Główni nie pokrywała aureola płomieni, ostra stal jarzyła się słabo, rzucając odblaski od nienaturalnie przygasłej lampy.

Kroki zatrzymały się przed ich drzwiami. Wydawało się, że zza nich słyhać było oddech.

Pierwsze ciężkie walnięcie w drzwi. Raz. Pojedyncze wezwanie. Pojedyncze wyzwanie.

Nagłym gestem Dessylyn nakazała Dragarowi zachowanie milczenia.

– Kto śmie...! – ryknął ten wściekłym głosem.

Potężne uderzenie spadło na grube drewno. Klamka i zamek wyskoczyły ze swych miejsc w lawinie drzazg i skręconych rygli. Wyrwane niemal z zawiasów drzwi otwarły się, waląc głośno o ścianę.

– Kane! – wrzasnęła Dessylyn.

Masywna postać weszła do środka ze zgubnym wdziękiem ruchów mimo potężnej sylwetki o kwadratowym tułowiu. Ciężki miecz majtał się pozornie niedbale w lewej ręce, ale w płonących śmiertelną wściekłością oczach nie było wahania.

– Dobry wieczór – prychnął Kane z pozbawionym radości uśmiechem.

Zaskoczony, mimo uprzedzeń Dessylyn, doświadczonymi oczy Dragar szybko ocenił przeciwnika. A jednak magia czarownika zachowała go mimo wszystko w rozkwicie sił... Mierzący około sześciu stóp Kane był o kilka cali niższy od wybujałego barbarzyńcy, ale potężne wstęgi

mięśni wydymające skórzaną kamizelę i spodnie wskazywały, iż waży trochę więcej. Długie ręce i mocarne bary wskazywały na szermierza o dużym zasięgu ramion i wielkiej sile, choć młodzieniec wątpił, by Kane dorównywał mu szybkością. Wąska skórzana opaska z czarnym opalem spinała sięgające ramion rude włosy, a twarz z krótko przyciętą brodą była brutalna i dzika, czyniąc postawę czarownika raczej bezczelną niż pańską. Błękitne oczy płonęły piętnem zabójcy.

– Szukasz swej kobiety, czarodzieju? – zgrzytnął Dragan patrząc na jego broń. – Myśleliśmy, że skryjesz się w swej wieży, po tym jak przestraszyłem twoje podkradające się sługi! Kane zmrużył oczy.

– A więc to jest... Zguba Czarnoksiężników, tak chyba to nazywasz. Widzę, że legendy nie kłamały, mówiąc o ochronnej mocy głowni. Chyba nie powinienem był mówić o tym Dessylyn, gdy dowiedziałem się, że zaklęty miecz znalazł się w Carsultyalu. Ale posiadanie go wynagrodzi mi w pewnej mierze przysporzone przez ciebie kłopoty.

– Zabij go, Dragarze, kochany! Nie słuchaj jego kłamstw! – krzyknęła Dessylyn.

– O co ci chodzi? – mruknął młodzieniec, zmieszany słowami Kane'a:

Czarnoksiężnik-wojownik zachichotał sucho.

– Nie domyślasz się, romantyczny niedołęgo? Nie rozumiesz, że sprytna kobieta wykorzystwała cię? Oczywiście, że nie – rycerski barbarzyńca sądził, iż obronił bezbronną dziewczynę. Szkoda, że pozwoliłem Lerocowi umrzeć, po tym jak skłoniłem go do powiedzenia mi o jej grze. Mógłby ci opowiedzieć, jak jego niewinna pani...

- Dragarze! Zabij go! Chce tylko osłabić twą czujność!

– Na pewno! Zabij mnie, Dragarze – jeśli zdołasz! Widzisz, to jej plan. Dzięki moim.. źródłom.. dowiedziałem się o potężnej broni, którą nosisz i o której wspomniałeś Dessylyn. Ale Dessylyn chyba znudziły się moje pieszczoty. Opłaciła sługę, nieszczęsnego Leroca, by odegrał pozorny gwałt, ufając, iż pewien prostak ruszy jej na pomoc. Dobrze uknute, nie sądzisz? Teraz biedna Dessylyn ma śmiałego obrońcę, którego magiczna głownia zdoła ochronić ją przed złymi zaklęciami Kane'a. Zastanawiam się, Dessylyn, czy zamierzasz tylko uciec z tym zakutym durniem, czy też chcesz bym walczył z nim osobiście, licząc, iż zostanę zabity, a bogactwa z mojej wieży staną się twoimi?

– Dragarze! On kłamie! – jęczała rozpaczliwie dziewczyna. – Bo jeśli to drugie, to niestety, twój plan nie jest tak przemyślny, jak sądzisz – dokończył szydlerczo Kane.

– Dragarze! – dobiegło wymęczone i zduszone. Barbarzyńca, w którym uczucia płonęły chaotycznie, zaryzykował bolesne spojrzenie na jej wykrzywioną twarz.

Kane skoczył.

W błyskawicznym odruchu niebacznego Dragara w ostatniej chwili odbił cios Kane'a. Stał tylko ucięta go lekko w bok, zamiast znaleźć się między żebrami. – Przeklęty! – rzucił.

– Ależ tak! – zaśmiał się Kane, parując z łatwością błyskawiczny kontratak młodzika. Jego szybkość była niesamowita, a ogromna siła szerokich ramion wiodła broń śmiertelnie lekko.

Błyskawice biły od dźwięcznych ciosów głowni ich broni. Pokryty runami gwiazdny metal walił o najlepszą stal daleko słynących kuźni Carsultyalu, a brzęk broni brzmiał jak krzyk dwóch wojujących demonów – chrapliwy, pełen bólu i furii.

Pot lśnił na nagim ciele Dragara, a przy oddychaniu pluł pianą spomiędzy zaciśniętych zębów. Tylko kilka razy skrzyżował broń z przeciwnikiem o równej mu sile, ale wtedy większa szybkość młodzieńca zapewniała mu zwycięstwo. Teraz, jakby w niewyobrażalnym koszmarze, stanął wobec wyćwiczonego i przebiegłego szermierza co najmniej dorównującemu mu szybkością – a siłą chyba trochę przewyższającego. Po łatwym odparciu jego pierwszego ataku poczynania Dragara stały się

mniej lekkomyślne, mniej pewne. Ponuro zabrał się do wyczerpywania wytrzymałości przeciwnika, rozumując, iż czarownik nie może dorównywać kondycją zahartowanemu najemnikowi.

Świat wypełniało jedynie dźwięczenie głowni, desperackie ruchy ciał, ochryple wybuchy oddechów. Wszędzie indziej, poza śmiertelną wściekłością ich pojedynku, zastygł czas – gdy tak skakali i rzucali się po nagich deskach pokoju.

Uderzenie, które nie pamiętał jak odbił, zostawiło wąską ranę na lewym ramieniu Dragara. Leworęczne ataki Kane'a były mu niebezpiecznie obce, i tylko rozpaczliwa zasłona ochroniła go przed czymś gorszym. Spostrzegł z niepokojem, że dzierżące broń ramię Kane'a nie słabnie z upływem minut i że sam coraz mocniej spychany jest do obrony. Zguba Czarnoksiężników pokrywała się karbami od uderzeń głowni z Carsultyalu, a rękojeść wilgotniała od potu. Cięższy miecz Kane'a podobnie ucierpiał od niesłabnących cięć, zasłon, pchnięć.

Potem, gdy Kane odbił potężne uderzenie Dragara, młodzieniec szybko pchnął ze skrzętem – wystarczająco, by koniuszek głowni przejechał na ukos przez czoło Kane'a, rozcinając jego opaskę. Płytkie cięcie, ale krew spływała swobodnie, nasycając lepiałe się kosmyki rozpuszczonych włosów. Kane cofnął się, otarł krew i luźne włosy sprzed oczu.

Wtedy Dragar skoczył. Za szybko, by Kane w pełni się zasłonił. Ostrze wyryło bruzdę wzdłuż całego lewego przedramienia czarownika. Długi miecz Kane'a zachwiał się. Barbarzyńca. natychmiast walnął w jego zasłonę.

Miecz wypadł z garści Kane'a, gdy ten niezdarnie odbijał gwiazdną głownię i przez ułamek sekundy zawisł swobodnie w powietrzu. Dragar tryumfując, że wreszcie wytrącił broń z uchwytu Kane'a, uniósł ramię do morderczego ciosu.

Ale prawa ręka Kane'a złapała kręcącą się broń z wywiczoną pewnością. Wiodąc miecz z wprawą niewiele mniejszą niż w zwykłe dzierżącej broń ręce, Kane sparował błyskawiczne cięcie Dragara. Nim zaskoczony barbarzyńca oprzytomniał, miecz Kane'a spadł na żebra Dragara.

Siła uderzenia rzuciła młodzieńca na łóżce. Zguba Czarnoksiężników wypadła z niesłuchających nerwów palców i ześliznęła się na szerokie dębowe deski.

Z gardła Dessylyn wydarł się krzyk niewyraźnego bólu. Rzuciła się ku Dragarowi i złożyła jego głowę na swym podołku. Rozpaczliwie i bezskutecznie przyciskała palce do pulsującej na piersi rany.

– Proszę, Kanie! – łkała. – Oszczędź go!

Kane spojrzał płonącymi oczyma na rozplataną pierś młodzieńca i roześmiał się.

– Zostawiam go tobie, Dessylyn – powiedział butnie. – I oczekuję cię w mojej wieży – oczywiście jeśli nie planujesz nadal uciec ze swym młodym kochankiem.

Krew ściekała po jego ręce i – nieco ciemniejsza – po mieczu, gdy wyszedł z pokoju w nocną mgłę.

– Dragarze! Dragarze! – jęczała Dessylyn, całując wynędzniałą twarz i pokryte pianą usta. – Ukochany, proszę, nie umieraj! Onthe, nie pozwól mu umrzeć!

Przytulała się do jego bladego oblicza, jej łzy spadały mu na twarz.

Nie wierzysz mi, prawda, Dragarze? No to co, że uknułam nasze spotkanie, najdroższy! Nadal cię kocham! Naprawdę cię kocham! Zawsze będę cię kochać, Dragarze!

Spojrzał na nią błyszczącymi oczami. – Suka! – plunął i zmarł.

Ile razy, Dessylyn?

Ile razy grałaś w tę samą grę? (Ale ta była po raz pierwszy!) Pierwszy? Na pewno, Dessylyn? (Przysięgam!... Skąd mogę mieć pewność?)

A ilu po nim? Ile kręgów, Dessylyn?) (Kręgów? Czemu taki mrok w mej głowie?) Ile razy, Dessylyn, zachowałaś się jak Lorelei? Ilu poznało twój przyzywający wzrok.

Ilu słyszało twój syreni śpiew, Dessylyn?

Ile dusz rzuciło się dla ciebie w morze, Dessylyn? Ilu zginęło w cieniach kryjących się w dole, zostało wciągniętych do piekła przez odpływającą falę? Ile razy, Dessylyn?

(Nie mogę sobie przypomnieć...)

VII

„ŻE MUSI UMRZEĆ...”

– Wiesz, że musi umrzeć. Dessylyn pokręciła głową. – To zbyt niebezpieczne.

– Na pewno mniej niż pozostawienie go żywym – wskazał ponuro Mavrsal. – Z tego, co mi mówiłaś, Kane nigdy nie pozwoli ci odejść – to coś zupełnie innego niż ucieczka od jakiegoś zazdrosnego pana. Macki czarownika sięgają dalej niż baśniowej Oraychy. Co do opuszczenie Carsultyalu, jeśli czary Kane'a dościgną nas gdzieś dalej? Nawet na pełnym morzu zdoła dognać nas jego cień.

– Może mu uciekniemy – mruknęła Dessylyn. – Oceany są bez granic, a na falach nie zostają ślady.

– Czarnoksiężnik o mocy Kane'a zawsze znajdzie sposób na śledzenie nas.

– Mimo wszystko to zbyt niebezpieczne. Nie jestem nawet pewna, czy Kane'a *można* zabić! – palce Dessylyn bawiły się niespokojnie szmaragdem na jej szyi; mocno zaciskała usta.

Mavrsal z gniewem patrzył, jak jej dłonie skręcają szeroki kołnierz z jedwabiu i skóry. Damy w Carsultyalu mogły uważać to za szykowne, ale niepokoiło go, iż nosiła tę ozdobę nawet w łóżku.

– Nigdy nie uwolnisz się od niewolniczej obroży Kane'a warknął, wyrażając na głos swą myśl – jeśli ten diabeł nie zginie.

– Wiem – cicho wzdychnęła, a w jej zielonych oczach było coś więcej, niż strach.

– Twoja ręka może go zabić – ciągnął. Jej usta drgnęły, ale nie wydały głosu.

Ciche odgłosy portu dobiegały z mroku, gdy *Tuab* łagodnie kołysał się na falach. Jego belki trzeszczały i jęczały trąc o nabrzeże, uderzając o odbojniki z konopnych odpadków. W oddali chodziła po pokładzie eskorta; cicha rozmowa – ledwo słyszalna – zdradzała obecność innych żeglarzy – jeszcze nie w hamakach, pomimo ciężkiej pracy w dzień. W kabinie kapitana lampa kołysała się wolno wraz z ruchami kadłuba, rzucając miękkie cienie na sprzęty w środku. Osłonięta i odgradzona od morskiej mgły, kabina była niemal przytulna – gdyby tylko mogła ochronić przed mroczną zjawą polującą nocą.

– Kane twierdzi, że cię kocha – nalegał twardo Mavrsal. Nie dopuszcza do siebie, że go nienawidzisz. Innymi słowy, nieświadomie mniej się przy tobie strzeże. Pozwoli ci stanąć za plecami i nigdy nie będzie podejrzewał, że twa dłoń może wrazić mu sztylet w żebra.

– To prawda – przyznała dziwnym głosem.

Mavrsal chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Nie rozumiem, czemu nie spróbowałaś tego przedtem. Ze strachu?

– Tak. Kane mnie przeraża.

– A może jest coś jeszcze? Czy nadal trochę go nieświadomie kochasz, Dessylyn?

Odpowiedziała nie od razu. – Nie wiem.

Zaklął i ujął w dłoń jej brodę. Kołnierz z symbolem poddaństwa Kane'owi doprowadzał go do wściekłości – zerwał go więc brutalnie z jej szyi. Palcami zakryła nagie ciało.

Znów zaklął.

– Czy to robota Kane'a?

Przytaknęła, jej oczy rozszerzyły się odzwierciedlając nagromadzone w niej uczucia.

– Traktuje cię jak niewolnicę, a tobie brak ducha buntu czy nawet nienawiści za to, co ci zrobił!

– To nieprawda! Nienawidzę Kane'a!

– To okaż trochę odwagi! Co ten diabeł może uczynić ci jeszcze gorszego od obecnego losu?

– Nie chcę po prostu byś i ty umarł! Kapitan zaśmiał się ponuro.

– Jeśli pozostajesz jego niewolnicą, by ratować mi życie, to warto za ciebie umrzeć! Ale umrze tylko Kane – jeśli udadzą się nasze plany. Spróbujesz, Dessylyn? Czy zbuntujesz się przeciwko tyranowi – sama zdobędziesz swą wolność i miłość nas dwojga?

– Spróbuję, Mavrsalu – obiecała niezdolna umknąć jego oczom. – Ale nie mogę zrobić tego sama.

– I żaden mężczyzna by tego od ciebie nie żądał. Czy zdołam dostać się do wieży Kane'a?

– Żadna armia nie zdołałaby napaść na tą wieżę, gdyby Kane chciał jej bronić.

– Tak słyszałem. Ale czy mogę dostać się do środka? Kane musi mieć potajemne wejście do swej kryjówki.

Walnęła się w pięść.

– Znam jedno. Może zdołasz wejść bez jego wiedzy.

– Zdołam, jeśli ostrzeżesz mnie przed ukrytymi strażnikami czy zapadniami – powiedział z większą pewnością niż czuł. Chcę też spróbować, gdy będzie mniej czujny niż zazwyczaj.

Skoro chyba dość regularnie możesz wymykać się z wieży, nie widzę powodów, dlaczego w takich samych okolicznościach nie miałbym zakraść się do środka.

Dessylyn przytaknęła, jej twarz zdradzała teraz mniejszy lęk. – Gdy zagłębi się w nekromancję, Kane zapomina o wszystkim innym. Znów zaczął jakąś swą czarną magię – będzie tak zajęty do jutrzejszej nocy, kiedy ta zmusi mnie do uczestnictwa w swym mrocznym rytuale.

Mavrsal wybuchnął oburzeniem.

– No to po raz ostatni wybierze się do krainy demonów nim pošlemy go na zawsze do Piekła! Naprawy są już niemal zakończone. Jeśli pogonię ludzi i przyspieszę zaopatrzenie, Tuab będzie mógł wyruszyć wraz z odpływem następnego poranka. A więc jutrzejsza noc, Dessylyn. Gdy Kane będzie wyczerpany i zajęty swą czarną magią, wśliznę się do jego wieży.

Bądź wtedy ze mną. Jeśli zobaczy mnie nim uderzę, poczekaj, aż obróci się, by odeprzeć mój atak – wtedy uderz go tym! Wyciągnął wąski sztylet z pochwy umocowanej pod wezglowiem koi.

Jakby zahipnotyzowana tymi słowy i lśniącem srebrem stali, Dessylyn obracała sztylet w dłoniach, wciąż i wciąż, patrząc na błyski światła na jego ostrej krawędzi.

– Spróbuję. Na Onthe, spróbuję tak, jak powiedziałeś!

– Musi umrzeć – zapewnił ją Mavrsal. – Wiesz, że musi umrzeć.

VIII

WYPIJ OSTATNI KIELICH...

Daleko w dole rozciągał się Carsultyal, mgła kłębiła się w jego szerokich ulicach i krętych, plugawych zaułkach, pokrywała brudne domy, dwory i pałace – tylko butne wieże przecinały jej zasłonę i sięgały ku gwiazdom z pańską wyniosłością. Zrodzona z dwóch pierwiastków – powietrza i wody – mgła kłębiła się i płynęła, pragnąc zadusić trzeci pierwiastek – ogień, ale mogła jedynie zasnuć łzami jego tysiące jarzących się oczu. Światła Carsultyalu – plamki ciemnej żółci w mętnych oparach – dawały złudzenie ruchu, tak iż nie sposób było stwierdzić, czy patrzy się w dół na zasnutą mgłą miasto, czy w górę na zagubione w chmurach gwiazdy.

– Jesteś dziś w dziwnym humorze, Dessylyn – zauważył Kane, skrupulatnie regulując ogień pod potrójnym alembikiem. Odsunęła się od okna wieży.

– Dziwi cię mój humor, Kanie? Cud, że to zauważyłeś. Niezliczoną ilość razy mówiłam ci, że nekromancja mnie mierzi, ale dotąd moje odczucia nigdy nic dla ciebie nie znaczyły.

– Twoje odczucia znaczą dla mnie wiele, Dessylyn. Ale żądając byś była przy tym obecna, robię to, co muszę.

– Jak to! – syknęła ze wstrętem, wskazując na okaleczone ciało młodej dziewczyny.

Kane ze znużeniem podążył za jej gestem. Ból wykrzywił mu czoło, skinął ręką i szczeknął serię chropawych sylab. Cień przesłonił otwarte okno i opadł na wypatroszone zwłoki. Gdy się usunął, wymęczona postać zniknęła, a stłumiony łopot skrzydeł zamilkł w ciemnościach.

– Dlaczego starasz się ukryć swe potworne zbrodnie przed moim wzrokiem, Kanie? Czy myślisz, że o nich zapomnę? Czy myślisz, że nie znam zła wchodzącego w skład diabelskiego leku, do picia którego mnie zmuszasz?

Kane skrzywił się i wpatrzył w wirującą w retorcie fosforyzującą mgiełkę oparów.

– Czy masz na sobie żelazo, Dessylyn? W aurze jest asymetria. Mówiłem ci, byś nie nosiła żelaza w czasie wytwarzania eliksiru.

Sztylet nieziemsko mroził ciało jej uda.

. – Mylisz się, Kanie. Noszę tylko te pierścienie.

Zlekceważył ją, by unieść pokrywę i pospiesznie nabrał miarkę ciemnego, na wpół skrzepniętego płynu. Alembik syczał i drgał, jakby usiłując wybuchnąć światłem wewnątrz swych purpurowych, kryształowych ścianek. Kropla fluorescencji objęła substancję w pobliżu odbiornika płynu. Kane szybko podniósł . kielich, by złapać spadającą kroplę.

– Kanie, czemu zmuszasz mnie, bym to piła! Czy więzy lęku nie dość wiążą mnie z tobą?

Niesamowite spojrzenie spoczęło na niej, i choć być może jedynie alchemiczne ognie wywołały takie wrażenie, te ze zdziwieniem dostrzegła zmęczenie i ból naznaczające jego rysy. Jakby niezliczone stulecia, którym Kane umykał, dopadły go nareszcie. Jego włosy falowały dziko, twarz ocieniła się i zapadła, a skóra jakby nabrała chorobliwego odcienia fosforyzujących oparów.

– Dlaczego musisz w to grać, Dessylyn? Czy raduje cię patrzenie, do czego się posuwam, aby cię zatrzymać?

– Radowałoby mnie tylko jedno, Kanie, wyzwolenie się od ciebie. – Kochałaś mnie kiedyś. Znów mnie pokochasz.

– Bo tak mi rozkażesz? Jesteś głupi, jeśli w to wierzysz. Nienawidzę cię, Kanie. Będę cię nienawidzić do końca życia. Zabij mnie teraz albo trzymaj tu, nim się nie zestarzeję i zbrzydnę. Umierając będę cię nienawidzić.

Westchnął i odwrócił się od niej. Szeptał do płomieni.

– Zostaniesz ze mną, bo cię kocham, a twe piękno nie przeminie, Dessylyn. Z czasem może zrozumiesz. Czy zastanawiałaś się kiedyś nad samotnością nieśmiertelności? Czy zastanawiałaś się kiedyś, o czym musi myśleć człowiek skazany na wędrówki po stuleciach? Człowiek przeklęty przez los na samotne, nie mające kresu istnienie – budzący lęk w każdym i nienawidzony przez każdego wymawiającego jego imię. Człowiek, który nigdy nie zdoła zaznać spokoju, który pozostawia ruiny wszędzie tam, gdzie padnie jego cień. Człowiek, który zaznał; iż każdy triumf przemija, a każda radość jest ulotna. Wszystko, co zapragnie posiadać, zabiorą mu lata. Jego imperia upadną, pieśni zostaną zapomniane, ukochane obrócą się w proch. Pozostanie z nim jedynie pustka wieczności, śmiejący się szkielet odziany we wspomnienia dręczące go dniami i nocami.

Taki człowiek, tak przeklęty – czy ulęknie się użycia swej mrocznej mądrości dla zatrzymania czegoś, co kocha? Skoro sto jaskrawych kwiatów musi zwiędnąć i paść w jego dłoni, czy to źle, jeśli ma nadzieję zatrzymać jeden, tylko jeden pączek na dłużej niż krótka chwila wyznaczona mu przez Czas? Choćby nawet kwiatek nienawidził go za wydarcie z ziemi, to czy przez to człowiek będzie mniej pragnął zachować jego piękno?

Ale Dessylyn nie słuchała Kane'a. Wybrzuszenie gobelinu, gdzie nie wiał wiatr, przykuło jej wzrok. Czy Kane mógł dosłyszeć niemal bezszelestne zgrzytanie ukrytych zawiasów? Nie, zatonął w jednym ze swych szalonych rozmyślań.

Próbowała zmusić swe trzepoczące serce by, biło ciszej a szybki oddech do utraty gorączkowości. Widziała, gdzie stoi Mavrsal, zastygły w cieniu gobelinu. Wydawało się niemożliwe, by zdołał podkraść się bliżej, nim nadprzyrodzenie wyostrzone zmysły Kane'a nie wyczują jego obecności. Ukryty sztylet palił jej udo, jakby wgłębiał się w ciało. Ostrożnie obeszła Kane'a, chcąc, by odwrócił się plecami do Mavrsala.

– Ale widzę, że eliksir jest już gotowy – oznajmił Kane, otrząsając się ze swego nastroju. Odmierzywszy kilka bursztynowych kropeł do płynu, ostrożnie uniósł kielich jarzącego się napoju.

– Masz, wypij to szybko! – nakazał, wyciągając kielich. – Nie wypiję więcej twych zatrutych leków.

– Wypij to, Dessylyn! – Spojrzał jej w oczy.

Jak w powracającym koszmarze – a byty inne koszmary Dessylyn wzięła puchar. Uniosła go do ust, poczuła jak gorzki napój dotknął jej języka.

Nóż mignął przez komnatę. Wytracony z jej odrętwiałych palców kryształowy puchar roztrzaskał się o kamienie na tysiące błyszczących skorup.

– Nie! – krzyknął Kane demonicznym głosem. – Nie! Nie! – Z oszołomieniem i przerażeniem wpatrywał się w niknącą fosforescencję.

Wyskoczywszy z ukrycia Mavrsal rzucił się na Kane'a pragnąc zatopić swój kord w sercu wroga, nim ten oprzytomnieje. Nie docenił niesamowitej szybkości czarownika.

Udręka i rozpacz Kane'a wybuchła nieludzką furią w chwili, gdy odwrócił się, by spotkać skrytobójcę. Bezbronny skoczył na kapitana. Mavrsal przekreślił ostrze zwykłym pchnięciem w dół, porzucając f.nea;ę wobec nieuzbrojonego przeciwnika.

Z nieuchwytną szybkością Kane zanurkował pod ciosem i lewą ręką złapał opadający nadgarstek. Mavrsal usłyszał krzyk wymykający mu się z ust, gdy jego ramię zostało powstrzymane w połowie skreću – to mocarna lewa ręka Kane'a zacisnęła się wokół jego nadgarstka i zatrzęsała kośćmi pod zdruzgotanymi mięśniami. Kord poleciał bez celu po kamieniach.

Z twarzą wykrzywioną zwierzęcą wściekłością Kane mocował się z kapitanem. Mavrsal, doświadczony w walce na oślep, poczuł się miotany jak słabe dziecko. Drugą ręką czarownik zacisnął długie palce wokół jego gardła, tłumiąc mu dech. Żeglarz rozpaczliwie starał się uwolnić z

uchwyty Kane'a, bił go poszarpaną ręką, gdy ten z dzikim śmiechem włókł go do ściany, trzymając za kark jak złamaną lalkę.

Czerwona mgła zaćmiła mu wzrok – ból ryczał w uszach... Kane dusił go powoli, zabijając rozmyślnie, naigrywając się z jego bezsilności.

Potem upadł.

Kane otworzył szeroko usta i wykręcił plecy, gdy Dessylyn utopiła sztylet w jego ramieniu. Krew spryskała jej błyszczącą od potu pięść. Gdy Kane wywinął się spod jej ciosu, wąskie ostrze tkwiło mu w łopatce. Złapał za rękojęść.

Dessylyn krzyknęła, gdy cios na odlew rzucił ją na kamienie. Gorączkowo czołgała się do rozciągniętego na podłodze Mavrsala – oszołomionego, lecz nadal przytomnego.

Kane zaklął i oparł się o stół, obalając alembik, który rozpękł jak zgniła dynia.

– Dessylyn! – jęknął z niedowierzaniem. Krew tryskała z jego ramienia, rozlewała się po załamanej postaci. Miał okaleczoną lewą rękę, ale pozostawał śmiertelnie groźny jak zraniony tygrys.

– Dessylyn!

– Na co liczyłeś? – warknęła, próbując podnieść Mavrsala. Ciężkie uderzenia wpędzały kłęby mgły przez okno. Kane krzyknął coś w nieludzkim języku.

– Jeśli zabijesz Mavrsala, to od razu zabij i mnie! – krzyczała Dessylyn, czepiając się kapitana, gdy ten niezdarnie stawał na kolana.

Rzucił wzrokiem na leżący miecz. Za daleko.

– Zostaw ją, czarowniku! – wychrypiał Mavrsal. – Jediną jej zbrodnią jest nienawiść do ciebie i miłość ku mnie! Zabij mnie teraz i skończ z tym, ale nigdy nie zmienisz jej ducha!

– Myślę, że ty też ją kochasz – powiedział Kane wymęczonym głosem. – Ty głupcze. Czy wiesz, ilu innych zabiłem – innych głupców myślących, że wyzwalają Dessylyn ze złych objęć czarownika? Często grała w tę grę. Od pierwszego głupca... to była tylko gra. Bawi ją urąganie mi swą niewiernością, planami porzucenia dla innych mężczyzn. Skoro ją to bawiło, pobłażalem jej. Ale cię nie kocha.

– To dlaczego wraziła mą stał w tve plecy? – Rozpacz rozzuchwiała Mavrsala. – Nienawidzi cię, czarowniku – i kocha mnie! Pocieszaj się kłamstwami w swym szaleństwie. Twoje czary nie zdołają odmienić uczuć Dessylyn wobec ciebie – ani prawdy, którą musisz widzieć! Zabij mnie więc i bądź przeklęty – nie zdołasz umknąć rzeczywistości żalosnym czepianiem się czegoś, czego nigdy nie będziesz miał!

Głos Kane'a był dziwny, a twarz odzwierciedlała dręczącą go rozpacz. – Zejdź mi z oczu! – zacharczał. – Wynoście się stąd, oboje!

Dessylyn, daję ci twą wolność. Mavrsalu, daję ci miłość Dessylyn. Weź swój łup i opuść Carsultyal! Wierzę, że niewiele będziesz miał powodów, by mi dziękować!

Gdy kuśtykali ku ukrytym drzwiom, Mavrsal zerwał zdobny szmaragdem kołnierz z szyi Dessylyn i rzucił go na osuwającą się postać Kane'a.

– Masz swą obrożę niewolnika! – warknął. – Wystarczy, że zostawiasz swe blizny na jej gardle!

– Ty głupcze – odparł cicho Kane.

– Jak daleko jesteście od Carsultyalu? – szepnęła Dessylyn.

– Kilkanaście mil. – ledwo się ruszyliśmy – odpowiedział Mavrsal drżącej przy nim dziewczynie.

– Boję się.

– Cii. Zerwałaś z Kane'em i całą jego magią. Niedługo nadejdzie świt i wkrótce znajdziemy się daleko od Carsultyalu i całego zła, jakie tu zaznałaś.

- Obejmij mnie mocniej, kochany. Tak mi zimno.
- Morski wiatr jest chłodny, ale czysty – powiedział. Prowadzi nas ku nowemu życiu.
- Boję się.
- To obejmij mnie mocniej.
- Chyba sobie teraz przypominam...

Ale wyczerpany kapitan zasnął. Głęboki sen – ostatni nieprzerwany sen jakiego doznał.

Bo o świcie obudził się w objęciach trupa – rozsypujących się zwłok dawno zmarłej dziewczyny, która powiesiła się z rozpacz po śmierci swego barbarzyńskiego kochanka.

„ZACHÓD DWÓCH SŁOŃC”
(Przełożył Marek MICHEWICZ)

SAMOTNY WŚRÓD WICHRÓW NOCY

Posępne, czerwone słońce chowało się za horyzontem. Jak okiem sięgnąć wirował rozrzucony na wszystkie strony piasek pustyni. Przez cały dzień promienie słoneczne wypaliły doszczętnie resztki życia panującego na powierzchni. Pojawił się pełny, ciemnoczerwony księżyc. Ukazując się przedwcześnie, wydawał się drwić swym silnym blaskiem z pogrążającego się słońca. Tak jak chciwy spadkobierca zakłócał spokój swemu dobroczyńcy, oczekując niecierpliwie jego szybkiej śmierci. Panował półmrok. Na horyzoncie świeciły jednocześnie dwie kule. Kane pomyślał, że gdyby nie wybrał się w długą podróż przez pustynię, nigdy nie udałoby mu się zobaczyć, jak dwa słońca tlą się na niebiosach. Nieziemski teren przyprawiał go o zimne dreszcze. Wydawało mu się, że za każdym kamieniem kryją się duchy powieszonych.

Kane opuścił Carsultyal nie mając przed sobą określonego celu. Chciał w ten sposób znaleźć się daleko od miasta. Niektórzy twierdzili, że jego siła została doszczętnie zniszczona przez kolegów-magików, a on sam wygnany przez nich. Był bardzo długo u szczytu sławy. Zaczął nawet praktykować obce, mroczne dziedziny. Zazdrosnym byłym towarzyszom nie podobało się to. Kane nie uważał swego odejścia za dobrowolne, mimo to doszedł do wniosku, że sam również tego chciał. Mógłby z łatwością obronić się przed atakiem dawnych przyjaciół, chociaż nie posiadał wstawiennictwa ani u boga, ani u szatana. Ostatnio ludność największego miasta trawił marazm. Duch odkrycia, który sprowadził Kane'a zaniknął. Magik nie był z natury spokojny. Nie ograniczał się do myślenia o Carsultyalu i lądów znanych ludziom. Fakt, że wybrał się na wędrowkę przez pustynię bez większych zabezpieczeń, nasuwał przypuszczenia, iż posiada coś więcej oprócz dwóch garści złotych monet, szybkiego konia i ostrego miecza. Nie żałował sławy, którą posiadał w mieście. Wydawała mu się strzałą bez ostrza. Właśnie to ostrze miał cały czas ze sobą.

Wraz ze zmierzchem wiatr przybierał na sile. Wyjący, chłodny podmuch niszczył wierzchołki gór z piasku. Ciągle jeszcze płonęły od ostatnich promieni słońca, które schowało się już za horyzontem. Kane drżał z zimna. Zapiął pod szyją swój ciemnobrunatny płaszcz, z żalem wspominając ciepły kożuch, o który biją się pewnie w tej chwili śmieciarze w Carsultyalu. Pustynia była pusta i zimna. W nocy temperatura spadała poniżej zera. Ubranie magika, składające się z zielonej wełnianej koszuli, czarnej skórzanej bluzy i spodni, nie było na tę noc odpowiednie. A do tego jeszcze zimny wiatr...

Poprzedniego dnia zjadł swój ostatni posiłek – kawałki suszonych owoców. Zabranego ze sobą pożywienia starczyło mu zaledwie na tydzień. Z wodą było lepiej. Miał jej jeszcze pół bukłaka. Opróżnił go, nim znalazł się na pustyni, ale opatrność czuwała nad nim. Udawało mu się, podążając wyznaczonym szlakiem znajdować studnie z wodą.

Uważano, że południowo-wschodnie pustynne posiadłości Carsultyalu graniczą z zapomnianymi, dawnymi królestwami. Krążyły opowieści o starożytnych miastach, pogrzebanych w pustynnych wydmach. Kane natknął się na coś, co mogłoby być śladem zaginionych pustynnych szlaków, prowadzących do bajecznych gór we wschodniej części kontynentu. Zdecydował się jechać tym szlakiem. Od czasu do czasu odkrywał kamień, na którym widniały zamazane hieroglify, przypominające te nakreślone w księgach starej wiedzy o świecie. Chociaż mogły być także artystycznym oszustwem wiatru i lodu. Mimo męczarni, jakie przechodził, nie mógł nic wymyślić, aby przerwać jednostajną pustkę. Widział tylko rozrzucone karłowate drzewka i rzucające się w oczy słupy z agatowego drewna. Na wierzchołkach słupów rosło trochę trawy. Przyjemny widok dla

człowieka, który przez wiele dni nie spotkał nawet jaszczurki. Może próba przebycia pustyni, o której nikt nic nie wiedział, nie była rozsądną decyzją? Przydałoby się przynajmniej więcej żywności. Ale magik nie myślał o tym, co zrobi, gdy okoliczności przestaną mu sprzyjać. Od lat realizował swoje dziwne i nieodpowiedzialne pomysły, nie przejmując się tym wcale. Ze spokojem pogratulował sobie drogi, jaką wybrał. Dzięki niej nie ścigał go żaden z jego nieprzyjaciół.

Zza rzadkiej mgły wyłoniły się góry. Wyglądały jak rząd bezbarwnych i zniszczonych zębów. Ich pojawienie się było powodem do optymizmu. Kane ucieszył się, że przynajmniej przekroczył pustynię. Ale nadzieja zniknęła, kiedy późne, popołudniowe słońce ukazało bardziej pionowe zbocza niż przypuszczał. Okazało się, że na kruszejących skałach i urwiskach pokrytych piaskiem nie było żadnego życia. Jedyne czarne grupy podwójnych krzewów urozmaicały krajobraz. Od skośnej skały odbijały się promienie słoneczne. Tęczowy blask padał na dużą płytę skamieniałego drewna, która wyglądała jak ogromny, błyszczący klejnot.

Ciemność przyniosła niespodziewany zapach palącego się drewna – dobrze znany, jakby domowy – niezwykle w tej rozległej pustce. Kane dotknął lekko swej brudnej rdzawej brody, okalającej tak samo brudną twarz. Wyrwał kilka pasemek powiewających rudych włosów, wychodzących na czoło spod skórzanej opaski, pośrodku której błyszczał lazurowy kamień. Wciągnął nocne powietrze z niewiarą w powodzenie tej wyprawy. Wspinaczka posuwała się naprzód. Robiło się coraz ciemniej. U podstawy gór zapraszająco migotał płomień zwykłego ogniska. Nie było powodu, aby uważać je za coś specjalnego. Biorąc pod uwagę odległość, musiało być dosyć duże.

Kane prowadził swego konia. Ostrożnie, przy świetle księżyca, szukał najlepszej drogi przez piasek. Poczł skręcający ból w żołądku. Pewnie ruszył w kierunku obozowiska, ciągle obliczając długość odcinka oddzielającego go od niego. Nic nie wskazywało na to, że ktoś tutaj zamieszkuje. Na takim pustkowiu życie wydawało się niemożliwe. Chyba tylko inni wędrowcy mogli rozpaść to ognisko. Kane nie domyślał się nawet, kim byli i co mogło ich tu sprowadzić. Wiadomo, kto zasiedla północno-zachodni półksiężyc Wielkiego Południowego Kontynentu. W tej części, wraz ze świtem, mogły pojawić się istoty odmienne od ludzi.

Kimkolwiek był ten, który rozpaść ogień, jadł teraz gotowane mięso i nie musiał być zupełnie obcy. Po rozmiarze ogniska Kane sądził, że to jakieś spotkanie koczowników lub dzikich, prawdopodobnie pochodzących z osady, która nie leży w górach. Opanowany myślą o gorącym posiłku, magik oblizwał wyschnięte wargi. Uwolnił swój miecz z siodła i przewiesił go przez plecy tak, że znana mu rękojeść wysunęła się pewnie do przodu ponad prawym ramieniem. Dotknięta pochwa puściła zabezpieczenie. Teraz wystarczyło tylko chwycić za rękojeść, aby za pomocą sprężyny ostrze uwolniło się samo.

Kane ostrożnie zbliżył się do obozowiska.

II DWÓCH PRZY OGNISKU

Do nosa Kane'a doleciał zwierzęcy zapach. Bardziej cierpki niż ostry. Palące się drewno i gotowane mięso. Trzaskające ognisko zasłaniało skurczoną postać. Magik trącił lekko konia i przejechał w miejsce, z którego miał lepszy widok. Chciał upewnić się w swych przypuszczeniach. Ściągnął twarz, jakby coś sobie przypominał. Tylko jeden człowiek siedział przy płomieniach jeżeli giganta można nazwać człowiekiem.

Kane widywał się z tymi istotami i rozmawiał podczas swych wędrówek, ale ostatnio nie było łatwo natknąć się na nie. Wiedział, że giganci są dumni i nierozmowni. Trzymają się w grupie składającej się z kilku osób. Gardzą wysoką pozycją ludzkiej cywilizacji. Żyją na pół dziko. Osiedlają się na terenach nieodwiedzanych przez ludzi. To prawda, że krążyło wiele opowieści o osobliwych gigantach, którzy okupowali ludzkie osady, ale takie postępowanie było zakazane przez prawo ich rasy. Opowiadano też historie o straszliwych potomkach olbrzymów – potworów.

Ten gigant okazał się niegroźny. Kiedy usłyszał uderzenie końskiego kopyta o kamień, nie przyjął wrogiej postawy, tylko z zainteresowaniem zwrócił się ku przybyszowi. Nie dlatego, że dla kogoś z jego budową pojedynczy jeździec i koń nie stanowiły większego zagrożenia. Obok niego leżał zakrzywiony topór, którego spiżowe ostrze mogłoby służyć jako kotwica na statku. Kane zdawał sobie sprawę, że jego zbliżenie będzie obserwowane spoza ogniska. Olbrzym nadal zachowywał się spokojnie. Splunął w ogień i obrócił na drugi bok całe, nienaruszone zwierzę, wyglądające na kozę. Gorące, soczyste mięso...

Głód wziął górę nad ostrożnością. Kane usiadł wygodnie w siodle i pocwałował w stronę giganta. Z pełną szybkością dojechał do miejsca, gdzie blask ognia zakreślał krąg, i zatrzymał się.

– Dobry wieczór – przywitał się spokojnie, mówiąc całkiem płynnie językiem jego rasy. – Twój obóz był widoczny z dużej odległości. Zastanawiałem się, czy nie mógłbym się do ciebie przyłączyć.

Gigant odchrząknął i, przysłoniwszy oczy dłonią większą o łopaty, powiedział: – Co się dzieje? Człowiek, który mówi Starym Językiem? Nie wiadomo, skąd się wziął w krainie, którą nawet duchy omijają. Czegoś takiego nie można zlekceważyć Usiądź przy ognisku, dzielny człowieku. Podzielę się z tobą gościnnie miejscem.

Jego głos, chociaż mocny jak krzyk człowieka, miał spokojny, matowy dźwięk.

Kane wymamrotał słowa podziękowania i zsiadł z konia. Zdecydował się postawić na widoczną u olbrzyma życzliwość. Przystanął przed ogniskiem, gdzie obejrzeni siebie nawzajem z wielkim zainteresowaniem. Kane miał ponad sześć stóp wysokości i przeszło trzysta funtów wagi. Silny i muskularny, rzadko bał się czegoś w sensie fizycznym. Tej nocy był sam na pustyni i stał przed kimś, kto mógłby pokonać go jak małe, słabe dziecko.

Kane oszacował wzrost giganta na około piętnaście stóp. Ciężko mu było dokładnie określić jego wysokość, olbrzym siedział bowiem skurczony – z podciągniętymi kolanami – na ziemi. Owinięty był w okrycie ze skóry niedźwiedziej, które wyglądało jak zniekształcony i owłosiony namiot. Gdyby nie rozmiar giganta, niewiele różniłby się on od człowieka. Był mocno umięśniony, o ogromnej wadze. Na nogach miał mało eleganckie buty wielkości koszów, które wiesza się na koniu. Pod okryciem widać było fragmenty źle uszytego płaszcza i nogawki ze skóry. Ręce i łydki pokrywała gruba, nieoczyszczona szczecina. Może był zbyt kościsty, żeby nie powiedzieć – skalisty. Ogólnie jego cechy zewnętrzne nie wywoływały nieprzyjemnych odczuć – włochata broda, ciemne włosy ściągnięte do tyłu w krótki warkoczyk na karku i również ciemne oczy błyszczące na inteligentnej twarzy.

Gigant patrzył na Kane'a jak na zbląkanego psa. Jego wzrok zatrzymał się na twarzy magika. Zamyślony, wpatrywał się w jego błękitne oczy. Nad czymś się zastanawiał.

– Nazywasz się Kane, prawda? – spytał, a właściwie stwierdził po dłuższej chwili.

Kane'a замуrowało. Roześmiał się gorzko. „Tysiąc mil od miast ludzkich, a gigant mówi do mnie po imieniu”.

Olbrzym wydawał się mieć dobrą zabawę.

– Och, musiałbyś odejść bardzo daleko, aby być naprawdę anonimowym. My, giganci, znamy szaloną historię waszej rasy. Pamiętamy, że ród ludzki został poroniony, a mimo to ośmielił się dorosnąć, zamiast być nic nie znaczącym płodem. Dla człowieka tych parę wieków trwa od niepamiętnych czasów, a dla naszej rasy wszystko to wydarzyło się wczoraj. Pamiętamy bardzo dobrze klątwę Kaina i ciągle powtarzamy jego znaki.

– Ta historia była wiele razy przekręcana – wymamrotał Kane, na chwilę spuszczać oczy.

– Kain w starszych domach ludzkich stał się mistyczną legendą, a w nowych krainach, tam gdzie panują ciemności, odszedł w zapomnienie. Podróżowałem przez kraje, których mieszkańcy nie znali tego imienia.

– I ciągle wędrujesz, aby nauczono się go bać – wyciągnął wnioski olbrzym. – No cóż, nazywam się Dwassllir i byłbym szczęśliwy, gdybym wymyślił legendę o sobie samym, siedzącym przy ognisku.

Kane wzruszył ramionami z ironicznym potwierdzeniem.

– A co z pieczeniem z tego ogniska? – głodny patrzył na ociekający tłuszczem rożen.

– Przyniosłem tę kożę dziś po południu. Bardzo ciężko znaleźć w tej okolicy dobrą zwierzynę. Czy mógłbyś podać mi mięso?

Kane z ledwością uniósł rożen, chwytając za stronę mniej upieczonej.

– Zamierzasz zjeść to wszystko? – zapytał niejasno, zbyt głodny, aby być dumnym.

Dwassllir mógł zignorować pytanie i sam wszystko skonsumować, ale widać było, że jest zadowolony z towarzystwa. Oderwał hojnie duży kawałek boku zwierzęcia. Obejrzał go i stwierdził, że jest wystarczająco duży, aby całkowicie zaspokoić głód Kane'a. Przed oczami magika ponownie pojawiła się wizja zbląkanego psa, ale burczenie w brzuchu nie pozwalało mu się buntować. Mięso było twarde, w połowie surowe, ciągnące się jak guma. Można je było zjeść tylko będąc w kompletnym oszołomieniu. Kane jednym okiem ciągle obserwował giganta. Ten obgryzał drugi bok ze smakiem, popijając stęchłą wodą ze swego bukłaka.

Po zjedzeniu swej części Dwassllir wstał i przeciągnął się. Gigant oblizął palce, otarł twarz rękoma, po czym wyczyścił je sypkim piaskiem. Kiedy stał wyprostowany, miał ponad osiemnaście stóp wysokości. Czując się swobodnie, odciął to, co zostało ze zwierzęcia.

Chcesz jeszcze? – zapytał.

Kane potrząsnął głową, ciągle jeszcze męcząc się z porcją, którą otrzymał wcześniej. Szybkim pociągnięciem gigant oderwał tylną nogę kozy. Rozsiadł się wygodnie i wzdychając z zadowoleniem, obgryzał udziec.

– Ciężko spotkać zwierzynę łowną na tym terenie – stwierdził, wymachując kością. – Wątpię, czy znalazłbyś coś na tej pustyni. Prawdopodobnie musiałbyś zjeść swego konia. Chyba, że dostałbyś się na wschodnie równiny.

– Myślałem o tym, żeby go zjeść – przyznał Kane. – Ale na piechotę miałbym niewielkie szanse wydostania się stąd. Dwassllir parsknął lekceważącym śmiechem. Przy jego rozmiarach patrzył na konia jak na jeszcze jedno zwierzę do zjedzenia.

– Słaba jest twoja rasa. Pozbawić człowieka narzędzi, a staje się bezradny wobec otaczającego

go świata.

– Za bardzo to wszystko upraszczasz – sprzeciwił się Kane. – Ludzkość opanuje świat. Przez ostatnich parę wieków widziałem, jak nasza cywilizacja przemieniła się z rozproszonych, barbarzyńskich plemion w obszerne i połączone imperium miast, miasteczek i wiosek. Rozwijamy się najszybciej na tym świecie!

– Tylko dlatego, że człowiek korzystał z dorobku lepszych ras, żyjących wcześniej. Ludzie to pasożyty – grzyby czerpiące żywotność ze śmierci geniuszów, na których trupach wykiełkowały.

– Zgadzam się z tobą. Były mądrzejsze rasy, ale to ludzie utrzymują się na szczycie. Miarą bogactwa człowieka jest jego umiejętność ratowania dorobku poprzednich cywilizacji, co jednocześnie niezmiennie pomaga mu w dalszym rozwoju. W ten sposób Carsultyal z małej, rybackiej wioski stał się największym znanym miastem na świecie. Ponownie odkryta wiedza nadała kształt obecnej cywilizacji.

Dwassllir chwycił gwałtownie kość biodrową i wyssał z niej szpik.

– Cywilizacja! Szczycisz się tym, że jest głównym dokonaniem człowieka. Ale ona jest tylko przerostem ludzkiej słabości. Jesteście zbyt słabymi i niegodziwymi stworzeniami, aby żyć wspólnie z innymi. Musicie zasłaniać się nauką i opierać się na niej. Moja rasa uczy się żyć w prawdziwym świecie. Chcemy współżyć z otoczeniem. Nie potrzebujemy żadnej cywilizacji. Jesteście kukiełkami, które obnoszą się ze swoją słabością. Chowacie się za murami swoich osiągnięć, ponieważ nie macie tyle siły, aby stanąć twarzą w twarz z przyrodą, jako częścią naturalnego otoczenia. Zamiast żyć z naturą jak z partnerem, kryjecie się w miastach. Unikacie prawdziwego życia. Zmieniacie wszystko dookoła aby pasowało do waszych wad. Ostrzegam, że otoczenie nie będzie walczyć z tymi zachciankami. Pewnego dnia zniszczy rasę ludzką jak szkodnika. Nawet ciebie, Kane, najbardziej niebezpiecznego człowieka na ziemi. Czy mógłbyś samotnie przejść przez pustynię, jak to właśnie zrobiłeś, nie posiadając konia, odzieży i broni? Prawie każdy z mojej rasy mógłby tego dokonać. Żyjemy dłużej na tym świecie. Stawaliśmy się już dojrzałymi, kiedy szalony bóg niemądrze się zabawił i stworzył człowieka z bydlęcego łajna. W młodości wędrowaliśmy po całej ziemi. Jest bardziej dzika niż możesz to sobie wyobrazić. Wasza cywilizacja jest jak skorupa jajka. Nie uchronicie jej. Moi przodkowie opierali się skutecznie burzom, lodowcom, różnym nieszczęściom, które zmiatały wasze miasta jak wiatr suche liście. Stawiali nadzy przed bestiami bardziej dzikimi niż kiedykolwiek mogłeś zobaczyć. Walczyli i zwyciężali własnymi zębami ogromne leniwce, niedźwiedzie, mamuty i inne stworzenia, których siła i okrucieństwo nie są znane w naszych łagodnych czasach. Czy człowiek przeżyłby w takich warunkach? Wątpię w to. Nawet spryt i kręactwo nie uchroniłyby go od szybkiej śmierci.

– Masz rację, ale twoja rasa ma znaczną przewagę fizyczną – argumentował Kane, zastanawiając się nad mądrą odpowiedzią. – Gdyby długość mojego kroku była taka jak twojego, nie potrzebowałbym konia, aby przebyć pustynię. Chociaż przypuszczam, że nie okazywałbyś pogardy, gdybyś znalazł rumaka tak wielkiego, by móc go dosiąść. Obszedłbym się bez miecza, gdybym posiadał tak olbrzymią siłę, by jednym uderzeniem powalić lwa. Jesteś dumny z tego, że twój rozmiar stawia cię ponad otaczającymi niebezpieczeństwami. Tak samo dumne są duże i silne zwierzęta. Kto jest dzielniejszy – twój przodek, który gołymi rękoma dusi mniejszego od siebie niedźwiedzia, czy człowiek, dzidą zabijający o wiele silniejszego tygrysa?

Umilkł na chwilę, czekając, aż gigant przystąpi do ataku. Jednak Dwassllir nie był porywczy. Pełen żołądek, ciepłe stopy i towarzystwo drobnej, energicznej istoty wprowadziły go w dobry nastrój.

To prawda, że twoją rasą jest dużo starsza od mojej ciągnął Kane. – Ale powiedz mi, czy

posiadacie jakieś osiągnięcia? Jeżeli gardzicie budowaniem miast, pływaniem po morzach, zasiedlaniem dzikich terenów, a także zdobywaniem wiedzy pokoleń przedludzkich, to czym się zajmujecie? Czy interesuje was sztuka, poezja, filozofia?

– Naszym osiągnięciem jest umiejętność życia w pokoju z otoczeniem. Potrafimy być częścią natury, zamiast prowadzić z nią wojnę – spokojnie oświadczył Dwassllir.

– W porządku. Zgadza się z tym – Kane był uparty. Może odnajdujecie pełnię w prymitywnym stylu życia. Jednak miarą uzdolnienia danej rasy jest możliwość pomyślnego rozwoju wybranej przez nią roli. Jeżeli jesteście tacy wspaniali, to dlaczego wciąż zmniejsza się wasza liczebność, podczas gdy ludzie rozprzestrzeniają się na całą ziemię? Nigdy nie byliście najliczniejsi, a w tej chwili coraz rzadziej można spotkać giganta. Z czasem znikniecie z ziemi. Giganci będą znani tylko z legendy o walkach ich przodków z dzikimi bestiami. Co pozostanie z waszej wspaniałości?

Dwassllir zasmucił się i Kane pożałował swych argumentów. – Wy, ludzie, wydajecie się być zadowoleni z tego, że czy mierzycie liczbami. Nie mogę całkiem odeprzeć twego rozumowania. Ubywa nas od wieków i nie mam pojęcia, dlaczego ta się dzieje. Żyjemy długo. Nie jestem tak młody, jak pewnie przypuszczasz. Nie spieszymy się z łączeniem w pary i wychowywaniem dzieci, ale tak było zawsze. Wszyscy nasi prawdziwi wrogowie wykruszyli się. Mamy lekarstwa, które skutecznie chronią nas od chorób i leczą rany. Nie, umieralność w mojej rasie nie wzrasta.

Myślę, że nasz ród jest już bardzo stary i zmęczony. Może powinniśmy podążyć do królestwa cieni za ogromnymi bestiami z barbarzyńskiej przeszłości. Przynajmniej nasi odwieczni wrogowie wyginęli. Przeżyliśmy już swoje i teraz umieramy z nudów. Jesteśmy jak wasi królowie, którzy zwyciężyli wszystkich swoich przeciwników i zostali tylko ze swoim starym, posepnym, zadającym cierpienie wiekiem.

Moja rasa wyrosła w bohaterskich czasach, Kane. To były naprawdę wielkie dni olbrzymów. Ale odeszły na zawsze. Nie ma już tych ras, których wojny wstrząsały podstawami gór. Ziemię odziedziczyły mało znaczące istoty. Człowiek wypełznął z ruin wspaniałych czasów i uważa siebie za nowego pana ziemi. Być może utrzyma się na niej, bezprawnie ją sobie przywłaszczając. Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że zniszczy sam siebie, szukając władzy nad sekretami – odkrytymi – ale nie opanowanymi przez dawne rasy, posiadające ogromną potęgę.

Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie dzień, w którym człowiek zostanie panem ziemi, nas już nie będzie. Jesteśmy rasą bohaterów, którzy przeżyli swój czas, i nie chcemy znosić takiego upokorzenia. Czy możesz winić nas za to, że czujemy się zmęczeni życiem w wieku chełpliwych karzełek?

Zapadła okropna cisza. W końcu odezwał się Kane.

– Rozumiem, co czujesz. Ale oddawanie się rozpacz przy wspomnieniu minionej wspaniałości nie wydaje się być bohaterstwem.

Przerwał. Nie chciał, żeby jego myśli poddały się do końca melancholii. – Czy mogę zapytać, co cię sprowadziło w te dzikie i martwe skały – Kane próbował zmienić temat. – Może góry, których nazwy nie znam, graniczą z twoją krainą?

Dwassllir poruszył się. Wrzucił wyrwany z korzeniami krzew do ogniska. Palące się liście syczały przenikliwie i jak czerwone gwiazdki uwalniały się z krzaka, znikając w ciemnościach.

– Czego szukam? To żadna tajemnica, chociaż powód może ci się wydać mniej zrozumiały niż moim przyjaciółom.

Przed wiekami, kiedy ta ziemia nie była jałowa, znajdowały się tutaj tętniące życiem wioski mojej rasy. Leżały u podstawy gór i nazywane były Antamareesi. Poniżej tych gór rozciągały się ogromne pieczary, których moi przodkowie używali jako schronienia, dopóki nie zaczęli wznosić domów. Później wydobywali stamtąd bogactwa mineralne, odkryte wewnątrz. Klimat był gorący.

Dookoła pełno zieleni i zwierzyzny. W tamtych czasach miejsce to doskonale nadawała się do zasiedlenia.

Wspaniałe dni. Życie wtedy wypełniała walka pomiędzy barbarzyńskim starożytnym światem a nieustępliwą potęgą naszej rasy. Czy potrafisz sobie wyobrazić niesamowitą energię, tkwiącą w tamtym narodzie? Stawali twarzą w twarz przeciwko dzikiemu, wrogiemu światu i zwyciężali go. Ich bogami byli przeciwstawni sobie Lód i Ogień – obydwaj bezlitośni. To oni rządzą światem. Wrogami moich przodków były nie tylko siły natury i ogromne bestie. Niektóre ze starszych ras miały nad nimi również przewagę fizyczną.

Może to oni sprawili, że kraina, którą zostawili, jest jałowa i bez życia. Nasze legendy opowiadają o bitwach z osobliwymi gatunkami posiadającymi niesamowitą broń. Tutaj zwycięzcami byli również moi przodkowie. Bohater jednej ze znanych bitew, Król Brotemllain, panował właśnie w tych górach. Pewnie słyszałeś o nim – był największym królem w historii mojej rasy. Spoczywa teraz w spokoju w jednej z pieczar, a na jego czole znajduje się korona narodu. Już wtedy liczyła wiele lat, a przekazano mu ją po śmierci w zamian za nieśmiertelną chwałę jego rządów.

Dwassllir płonął. Jego chwilowe przygnębienie wyparte zostało przez intensywny, żarliwy zapach. Zauważył, że Kane się zamyślił. Po chwili wahania z powagą ciągnął dalej.

– Szukam legendarnego grobowca Brotemllaina. Sądząc po znakach, jestem bliski znalezienia go. Przypuszczam, że odzyskam również jego koronę – symbol dawnej chwały naszego narodu. Chociaż nasze wojny i królowie są już przeszłością, wierzę, że zmartwychwstanie tego symbolu pozwoli moim towarzyszom odnaleźć w sobie energię życia. Wielu wyśmiewa się ze mnie i nazywa mnie głupcem lub marzycielem, ale ja dokonam tego. Ta relikwia, pochodząca z bohaterskich czasów, na pewno rozpali płomień chwały w duszach moich współziomków.

Nie sugerowałbym tego innej osobie z twojej rasy, Kane, ale ponieważ jesteś taki a nie inny, chciałbym, abyś przyjął moją propozycję wspólnych poszukiwań. Byłbym bardzo zadowolony, gdybyś się zgodził. Może lepiej zrozumiesz mój naród, kiedy zetkniesz się osobiście z zapomnianą przez całe lata wspaniałością.

– Dziękuję za zaproszenie – uroczyście powiedział Kane. To przedsięwzięcie zaintrygowało go, a poza tym wydawało się, że gigant jada całkiem nieźle. – Będę dumny, idąc dalej w twoim towarzystwie.

III

KORONA MARTWEGO BROTEMLLAINA

Przez dwa dni Kane podążał za Dwassllirem wzdłuż postrzępionych grzbietów górskich. Jego koń dorównywał niespokojnym krokom olbrzyma. Trzeciego dnia krzyk Dwassllira wspomagany echem oznajmił koniec poszukiwań. Obydwaj udawali, że odkrycie nie zrobiło na nich wrażenia. Weszli w głęboką dolinę i skierowali się na jej czoło, gdzie przechodziła w wąwóz. Kane niespokojnie rzucał okiem na głazy rozsiane po urwisku. Wisiały ponad ich głowami. Od czasu do czasu Dwassllir z zainteresowaniem oglądał rzeźby, niszczone latami przez wiatr, tak że pozostały z nich tylko okrągłe monumenty. Przy niektórych mało ujmujących wzgórkach zatrzymywał się na chwilę. Piasek, który zasypał ociosany kamień, skorupa z porcelany, fragmenty pomalowane węglem drzewnym i kawał wysuszonego drzewa wszystko było tak stare, że wydawało się bardziej martwe niż kamienie.

– To miejsce jest wejściem do grobowca Króla Brotemllaina – powiedział Dwassllir, wskazując jamę w ścianie wąwozu. Otwór miał około dwudziestu pięciu stóp wysokości i połowę tego szerokości. Wzdłuż wejścia leżały duże kłody z pociętego drewna, niektóre z nich pokryte były mchem. Przypominało to przedsionek, który nie oparł się czasowi. Był to także dowód budowy wolnomularskiej.

– Jestem pewien, że właśnie o tej dolinie mówią nasze legendy – zadudnił wesoło gigant. – Przejście prowadzi do rozległego systemu pieczar. To był naturalny otwór. Moi przodkowie tylko go powiększyli. Poza szczątkami starych pomników powinna znajdować się komora, stworzona przez naturę w kształcie kopuły. Tam, od wielu lat siedzi na tronie trup Brotemllaina.

Kane, zaglądając w ciemny otwór, zmarszczył czoło. Szmer niepokoju przebiegł przez jego myśli. – Nie liczyłbym na znalezienie czegoś więcej poza kurzem i nietoperzami. Czas i powszechne chylenie się ku upadkowi pochłonęły życie mniej świętych złodziei. Czy ten grobowiec nie ma przypadkiem własnych strażników? To chyba niemożliwe, żeby sławnego króla i legendarnego skarbu nie strzegły jakieś zaklęcia.

Dwassllir potraktował przecucia Kane'a wzruszeniem ramion. – Niemożliwe dla twojej rasy. Być może. Ale dla nas jest to najświętszy relikwiarz. Poza tym, kto odważyłby się okraść grób giganta? Chodź, zapalimy pochodnie i sobaczymy, czy Król Brotemllain ciągle jeszcze utrzymuje swój dwór.

Podczas gdy Kane rozpałił ogień, gigant pobiegł poszukać zastępczego kawałka drewna. Wrócił z wyrwanym drzewem grubości uda Kane'a. Biorąc ze sobą kilka oberwanych gałęzi, magik poszedł za Dwassllirem do pieczary.

Po chwili zatrzymali się. W wąskim przejściu znajdowała się mieszanina pokruszonej skały. Kawał rozwalonej ściany blokował im dalszą drogę.

Dwassllir badał przeszkodę w zamyśleniu.

– Przekopanie tego zabierze nam sporo czasu – zakończył cierpko swe oględziny.

– Przypuszczając, że twoje wysiłki nie ściągną na nasze głowy całej góry – złowróźnie dodał Kane. – Tutaj brakuje skały. Nie mogła się więc przerwać. Jeżeli pieczary rozszerzały się, tak jak mówisz, muszą być wady w każdej z nich. Z czasem pęknięcia powiększały się i dalej osłabiały skałę, tak że teraz przypomina ona zepsuty ząb. Dziwne, że góry jeszcze się nie rozsypały.

Gigant podniósł pochodnię do góry. Jego kark znalazł się na wysokości szczeliny.

– Tam dalej jest przejście. Sądzę, że może nas doprowadzić do głównej pieczary. – Przez chwilę poważnie oglądał beznadziejną przeszkodę, a potem wlepił oczy w człowieka.

– Wiesz, Kane, mógłbyś precyzyjnie powiedzieć do niego. – Zobaczyłbyś, co jest dalej. Jeśli nic nie znajdziesz, to wracaj. Gdybyś jednak natknął się na grobowiec Króla Brotemllaina, sprawdziłbyś, czy na jego czole znajduje się jeszcze korona.

– Kane zastanawiał się przez chwilę. W końcu powiedział z nieszczerym wyrazem twarzy: – Mogę to zrobić.

– Chciał pokazać olbrzymowi, że panuje nad sobą tak jak on. – No cóż, skoro nie ma innego wyjścia, pójdę poszukać nieboszczyka bez ciebie.

Szczelina była ciut za wąska dla dobrze zbudowanego Kane'a. Przeciskając się przez najwęższy odcinek, starł sobie ubranie i podrapał ciało. Ściana nie spadła w całości. Tylko odpadające kawałki kamienia rozpryskiwały się bez określonego porządku. Przeszkoda stworzona została z małych, szorstkich okruchów skalnych.

W końcu popchnięta do przodu pochodnia zaświeciła dużo wyraźniej, i Kane ujrzał czysty, niezasypany korytarz. Szybko zarzucił pochwę na plecy, nagie ostrze zostawiając w lewej ręce.

Przeszedł parę kroków i natknął się na pieczarę. Znajdowała się trochę wyżej niż korytarz. Tę różnicę wypełniały dwa eleganckie stopnie zbyt wysokie dla człowieka. Magik poświecił dookoła pochodnią. Poczul wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo. Nic tutaj nie mogło się ukryć, ale niejasne uczucie zagrożenia nie chciało go opuścić. Wymachując głownią, aby bardziej rozniecić płomień, nie mógł dostrzec granic komory. Wydawała się rozciągać na setki stóp.

Sople zwisające z góry tworzyły potworne, wielozębne paszcze.

– Właśnie wszedłem na język bestii – wymamrotał Kane, wdrapując się po wysokich stopniach pokrytych pyłem. Pieczara była długo nieodwiedzana.

– Co widzisz, Kane? – krzyknął zza szczeliny Dwassllir. Wysoko u góry poruszyły się nietoperze.

Mimo że magik przyzwyczał się do zagłuszającego głosu giganta, ruszył naprzód, nerwowo rzucając okiem na wysoki pułap komory. Pochodnia płonęła w jego rękach. Podnosił miecz na wszystko, co znajdowało się w ciemnościach.

Wreszcie zatrzymał się. W świetle pochodni zobaczył siedzącą postać. Dreszcz przeniknął jego ciało.

– Dwassllir! – krzyknął w podnieceniu, nie zwracając uwagi na grzmiące echo. – On jest tutaj! Znalazłeś grobowiec! Król Brotemllain siedzi na tronie, a na jego głowie spoczywa korona!

Przyświecając sobie dokładniej, ujrzał ogromny, ciosany kamień, na którym w grobowym majestacie spoczywał szkielet króla. W zimnej, suchej pieczarze trup przetrwał całe wieki. Na wysuszonym kościotrupie wisiały łachmany, które teraz zastępowały mu skórę. Nagie kości błyszczały spokojnie przez dziury w kolczudze. Palce, wyglądające jak sękaty, dębowy korzenie, trzymały się jeszcze oparcie tronu, podczas gdy kawałki zwierzęcej skóry tworzyły pleśniejący wzgórek. Odstępująca czaszka zachowała wystarczająco dużo ciała, aby w połowie maskować śmiertelny uśmiech. Grymas twarzy sugerował, że stłumiono go na siłę, przymykając usta. Oczy pogrążone były w ciemnych dołach, których głębokich cieni nie mógł przeniknąć nawet blask pochodni Kane'a.

Na koronie znajdowały się dwa rubiny wielkości pięści. Błyszczały czerwonym blaskiem jak zachodzące słońca. Klejnoty zrobiły na nim niemałe wrażenie. Kane zaklął cicho, jednocześnie odczuwając władczy majestat króla. Złotem z korony można by opasać stanik tancerki, a z dwóch wspaniałych kamieni zrobić dziesięć mniejszych, rozmiaru orzechów włoskich. Stary skarb olbrzymów.

Myśląc o drogocennej koronie żałował, że powiadomił o odkryciu giganta. Mógłby teraz

powiedzieć, że pieczara jest pusta i pewnie trafiłaby się okazja, aby przemycić samemu skarb. Albo wróciłby po niego później. Ale niestety, Dwassllir wiedział już o wszystkim i czekał przy jedynym wejściu do grobowca. Kane stwierdził, że próba szukania domniemanego wyjścia w labiryncie pieczar byłaby samobójstwem. Ale przyniosłaby mniej zła niż posiadanie bogactw przez olbrzyma. Kane, ciągle żałując, badał skarb. A gdyby tak potajemnie go zamordować...

– Kane! – ryczenie olbrzyma przerwało jego rozmyślania. – Co z tobą? Czy to naprawdę Król Brotemllain?

– A czy mógłby być ktoś inny, Dwassllirze? – odkrzyknął Kane. Echo zniekształciło jego słowa. – Jest właśnie tak jak w twoich legendach! Potężny, kamienny tron, stojący na środku pieczary, a na nim spleśniały szkielet o wysokości dwudziestu stóp! Jego czoło zdobi korona z dwoma ogromnymi rubinami! Poczekaj jeszcze chwilę, a wdramię się i wezmę ją dla ciebie!

– Nie! Zostaw wszystko na miejscu! – w krzyku olbrzyma słychać było pożądanie. – Chcę to sam zobaczyć!

Zza bariery doleciał odgłos przerzucanych kamieni.

– Do diabła! Poczekaj! – Kane wyjął, usiłował dostać się do przejścia. – Chcesz spuścić na nas całą górę? Wezmę dla ciebie koronę!

– Zostaw to! Tu nie chodzi tylko o zabranie skarbu! To coś więcej niż posiadanie korony! Od bardzo wielu lat marzyłem, żeby stanąć przed tronem Króla – tam, gdzie nie było żadnego giganta od bohaterskich czasów mojej rasy! Przyszedłem do jego ducha po siłę, która zwróci nam utraconą wspaniałość! Dlatego muszę stanąć przed Królem Brotemllainem i własnymi rękoma ściągnąć z jego czoła koronę! A kiedy powrócę, moi towarzysze zobaczą, usłyszą i będą wiedzieć, że opowieści o naszej dawnej sławie nie są bajką, lecz historią!

Czy mógłbyś przyjść tutaj i pomóc mi poszerzyć szczelinę? Oczyść ją z mniejszych kamieni. Pieczara znajduje się tutaj od tysiącleci. Nie możemy ryzykować jeszcze kilku minut.

Kane przeklął i zaczął pomagać przy barierze. Zdał sobie sprawę, że nie ma sensu spierać się z fanatycznym olbrzymem. Szybko wyciągał materiał i rzucał go za siebie.

Nagły, rozdierający jęk i trwożne dyszenie Dwassllira dały mu wyraźne ostrzeżenie. Kane odskoczył do tyłu w momencie, gdy niepewny kawał skały sprzeciwił się nadużyciom z ich strony. Jak cios przeznaczenia, płaska tafla oderwała się od ściany i rozbiła po przeciwnej stronie korytarza.

Ogłuszony wstrząsem i obsypany odłamkami, Kane wykonał obrót, aby wydostać się z najbardziej niebezpiecznego miejsca. Oszołomionego i potłuczonego rzuciło w kierunku wejścia do pieczary. Przez chwilę wydawało się, że i ono zostanie zasypane. Kane wskoczył do komory z niesamowitą szybkością.

Kiedy przebrzmiało echo tłukących się kamieni, usiadł niepewnie, aby obejrzeć swe rany. Bolało go wszystko, ale obeszło się bez złamanych kości. Na lewym ramieniu miał długą, ciętą ranę. Ręka – w której cały czas trzymał miecz – ścierpła, przygnieciona podłużnym kawałkiem skały. Żeby zatamować upływ krwi, trzeba było ją opatrzyć. Biorąc pod uwagę fakt, że mógłby wyglądać gorzej od Króla Brotemllaina, oszacował swe straty na niegodne uwagi.

Nadal posiadał miecz. Podczas skoku wypadła mu pochodnia, a w komnacie było tak ciemno jak może być tylko w grobowcu. Kane nawet w takich warunkach zdawał sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znajduje. Brak chociażby jednego promyka światła mówił o wszystkim. Grobowiec Króla Brotemllaina był teraz niedostępny, tak jak powinien być każdy grobowiec.

IV

OSTATNIA KORONACJA

Kane ruszył korytarzem w kierunku zawalanej ściany. Leżały tam głazy większe od niego. Przestrzenie pomiędzy nimi wypełniał drobniejszy materiał. Paru ludzi ze sprzętem mogłoby oczyścić wąskie przejście. Dwassllir pewnie również zdołałby przekopać się przez zaporę, ale prawdopodobnie leżał przygnieciony.

Przesuwając po omacku rękoma, Kane natrafił na wygaszoną, ale jeszcze gorącą pochodnię. Wyciągnął ją spod gruzu, usiadł i próbował zapalić. Zapłonęła raz jeszcze i w jej świetle mógł ujrzeć solidną zaporę. Ze złością kopnął w głaz.

Podmuch wiatru rozniecił płomień, który pochylił się w kierunku grobowej pieczary. Pamiętając o tym, że znajduje się tutaj wiele takich komnat, Kane niecierpliwie podążył tam, skąd powiewał słaby wietrzyk.

Przeszedłszy pieczarę, obejrzał skutki obsunięcia skały. Nagła, rozgniatająca siła wstrząsnęła słabym wnętrzem góry. Ciężkie stalaktyty pospadały ze swego wiecznie ciemnego nieba. Jeden z nich o mało nie rozbił Brotemllaina.

Jęczący wiatr owiewał nieboszczyka przez dość duży otwór, znajdujący się na końcu pieczary. Wstrząs, spowodowany obsunięciem skały, nie był urojeniem. Najwyraźniej w wyniku reakcji łańcuchowej duży jej kawał przebił kruchy kamień i z wysokiego sufitu spadł tutaj. Siła uderzenia przebiła dno tej pieczary, wpadając do pomieszczenia znajdującego się niżej. „*Jamy w tych górach muszły być przekopane jak kręte korytarze robaków*” – pomyślał Kane, zaglądając w głąb otworu.

Lekki podmuch przyniósł niezdrowy zapach wilgoci – stęchły, nieczysty, zwierzęcy zapach, który zaintrygował Kane'a. Wydawało mu się, że słyszy szum płynącej wody. Prawdopodobnie głęboki, podziemny strumień. Wiatr odbijający się od szczelin w górach dodawał Kane'owi optymizmu. Przynajmniej miał nadzieję, że jego przypuszczenia są słuszne.

Dno niższej pieczary znajdowało się około siedemdziesięciu pięciu stóp pod nim. Zrzucony kamień chaotycznie poleciał do przodu. Wydawało się, że będzie można iść dalej.

– Znalazłem nową drogę do piekła – zamruczał głośno Kane. Usłyszał szum za plecami. Odwrócił się, aby sprawdzić skąd dochodzi. Wtedy nabrał pewności, że stoi na samym progu piekła. Po krawędzi światła biegł karaluch – niewiarygodnie kościsty, biały karaluch długości jednego jarda. Z wielką uwagą dotykał nosem martwego nietoperza i wymachując czułkami, sprzeciwiał się padającemu na niego światłu. Kane z niewiarą rzucił kamieniem i karaluch chrobocząc zniknął w ciemnościach.

Kane wrócił do dziury. Oświetlił ją pochodnią. Blisko pochyłej podstawy dwa białe owłosione stworzenia podniosły ślepe oczy do światła i z piskiem uciekły przerażone. Kane poznał w nich szczury wielkości szakali.

Magik rozumiał wszystko. Woda, powietrze i okropnie wykrzywione stworzenia. Może te niewymiarowe potwory są potomkami mieszkańców okolicy, którzy zostali schwytani przed wiekami albo sami schronili się tutaj, gdy ziemia stała się pustynią. Ciągłe w ciemnościach, bez pór roku i światła, uległy metamorfozie. Dawne kształty dostosowały do dzikiego otoczenia. Spadające kamienie zgniotły nietoperze i inne bezimienne stworzenia. Nęcący zapach krwi przyciągał teraz podziemne potwory.

„Co jeszcze żyje poniżej?” – niespokojnie zastanawiał się Kane. Odszedł od otworu. Postanowił, że wejdzie tam tylko wtedy, gdy nie znajdzie innego sposobu wyjścia z podziemia. Nawet przekopywanie się przez korytarz wydało mu się lepszą perspektywą.

Wracając do bariery, usłyszał tarcie kamienia o kamień. Przestraszył się, ale nic złego się nie stało. Niepokój ustąpił miejsca zwątpieniu. Szybko doszedł do zapory i zaczął rytmicznie uderzać w nią kawałkiem kamienia.

Zrobił małą przerwę. Na jego lekkie stukanie odpowiadało niezrozumiałe echo z przeciwnej strony. Czyżby gigant zdołał wydobyć się spod lawiny? Ze swoją siłą mógłby oczyścić korytarz.

Kane ochoczo zabrał się do pracy. Nie dopuszczając do siebie myśli o możliwości kolejnej katastrofy, wkładał całą swą energię w przetaczanie małych kamieni. Rozdzierał palce, zagrabiając gruz. Na szczęście nie była to mocna, kamienna półka, lecz słaba warstwa popękanej skały.

Czas mijał niezauważalnie. Jedynie po wypalającej się pochodni i głębokości wykopu widać było, że upłynęło go już dużo. Ręce Kane'a były obdarte ze skóry i całe w pęcherzach, kiedy po wyciągnięciu następnego kamienia ujrzał promyk dziennego światła. Mimo odległości i kurzu, był dla jego oczu oślepiająco jasny.

– Dwassllir – krzyknął Kane, zaglądając do powstałej szczeliny. Wielka głowa ukazała się pomiędzy dwiema bryłami. Jeszcze tylko kilka stóp oddzielało ich od siebie.

Ogromne, brązowe oko wpatrywało się w magika.

– Kane? – gigant był mile zaskoczony. – Jednak uniknąłeś zgniecenia, odważniaku! Legenda mówi prawdę! – ciężko cię zabić!

– Czy możesz mnie stąd wyciągnąć?

– Mogę, jeżeli sam się tam dostanę! – Dwassllir uparcie trzymał się swoich wcześniejszych planów. – Sądzę, że odsunę te wielkie kamienie, tak abyśmy mogli wykopać otwór, przez który precisnęłoby się moje ciało.

– Jedną z cech wyższych form życia jest zdolność uczenia się przez doświadczenie – mrucał Kane, wkładając całą swą siłę w odsuwanie kolejnej partii kamieni. Ale decyzja giganta była tak nieustępliwa jak skała przed nimi.

Powoli szczelina stawała się obszerniejsza. Przedostawało się przez nią coraz więcej światła.

Żmudna praca wydawała się mniej męcząca. Pozostała jedynie niepewna mieszanina brył skalnych.

Tym razem ostrzeżenie przyszło za późno. Nagły hałas wywołany był rozsypującą się skałą. To Dwassllir niedbale wyciągnął jeden z głazów. Uwolniona od podpierającego ją ciężaru płyta skalna poleciała do przodu jak wystrzelony pocisk. Kane z krzykiem przerażenia rzucił się do ucieczki. Zmęczony nadludzkim wysiłkiem, był zbyt powolny, aby uniknąć szybko posuwającej się lawiny.

Zagrzmiało od uderzenia. Głaz odskoczył od kupy gruzu i z szaloną szybkością rozbił się za taflą skały. Ta przyjęła uderzenie, ale olbrzymia siła popchnęła ją do przodu, przyszpilając uda Kane'a do ściany.

Krew popłynęła z rozerwanej skóry i skapywała do jego butów. Skręcając się z bólu, magik próbował uwolnić nogi. Z ulgą stwierdził, że kości wyszły z tego bez szwanku.

Reszta zapory cudem nie poruszyła się. Dwassllir ostrożnie drażył otwór.

– Kane? Do diabła! Łatwiej zabić węża niż ciebie! Możesz stamtąd wyjść?

– Nie mogę – chrząknął Kane, starając się z całych sił odsunąć skałę. – Powpadało tutaj bardzo dużo drobnych kawałków. Moje stopy są przyciśnięte! – przeklął i przekreślił się. Jedyńm wynikiem było więcej zdrapanej skóry.

– Dobra. Wyciągnę cię stamtąd, jak tylko się przekopię powiedział pewnie Dwassllir i jął zмагаć się z pozostałością bariery.

Gruchotanie kamieni, które słyszał Kane, nie pochodziło od giganta. W grobowcu jakieś ciężkie ciało wspinało się po kamieniach.

Kane zacisnął wyzywająco zęby. Rzucił złe spojrzenie w kierunku komnaty.

Początkowo myślał, że trup Króla Brotemllaina stanął na kościstych członkach. W ciemnościach zdołał zauważyć jedynie, jak dwa rubinowe kamienie zeszły z korony, która pozostała na miejscu i posępnie żarzyła się dookoła tronu.

Zobaczył prawdziwe oczy, które wpatrywały się w niego nieszczęsnym wzrokiem. Z otworu na dnie pieczary wyszło jak z otchłani nocy jakieś stworzenie.

Nocna mara – szablozębny tygrys i stygijska ciemność. Wielkie stworzenie, wychodzące z wiecznie pogrążonej w ciemnościach pieczary, było zmutowaną wersją swoich naturalnych przodków. Podobnie jak te zwierzęta, które Kane widział wcześniej, było co najmniej dwa razy większe od swych strachliwych protoplastów. Kroczył z otwartą, ociekającą śliną paszczą. Głodny, wyzywał przeciwników warczeniem. Szablozębne szczęki mogłyby chwycić Kane'a jak kot szczura.

Jedynie lord Tloluin mógłby wiedzieć, co to za niesamowite demony kroczyły po swym piekielnym królestwie. Wiedziałyby także, jakie to zepsute okrucieństwo ciemnego świata kary i pokuty wyhodowało bestie dziwacznej wielkości. Zwabiony hałasem i zapachem krwi, potwór opuścił swoje bezsłoneczne legowisko. Dotarł do krawędzi obszaru należącego od niepamiętnych czasów do jego demonicznego rodu.

Czuł swoją ofiarę.

Nie mogąc się uwolnić, Kane wydobył miecz, choć nie miał nadziei na zwycięstwo. Stworzenie zlokalizowało go – w ciemnościach jego zmysł myśliwego musiał być nadzwyczaj bystry – ale wahało się zaatakować, zaskoczone bladymi promieniami słońca, wkraczającymi do jego królestwa.

Pomiędzy skałami, niemal w zasięgu Kane'a, leżała pochodnia. Po serii desperackich pchnięć mieczem, w końcu przebił ją lekko i przyciągnął do siebie. W odpowiedzi na warczenie szablozębnego, wymachiwał palącą się jasno głownią. Kot nieco odstąpił ciągle czając się na swą uwięzioną ofiarę – niepewny jak poradzić sobie z migocącym płomieniem, który zamykał mu i tak niewidzące oczy.

– Dwassllir! Czy możesz przedrzeć się do końca? – większa część pochodni wypaliła się, i ciągle zmniejszający się płomień parzył palce Kane'a.

Szablozębny zawarczał gniewnie i skubiąc swój szorstki ogon, posunął się krok do przodu. Wkrótce jego głód zwycięży ostrożność. Chory ze strachu, Kane wiedział, że kot rozgniecie go swym mamucim ciężarem. W ciągu najbliższej minuty skoczy na niego i rozpląszczy go na ścianie.

Oczy błyszczały dziką nienawiścią. Kane ważył w ręce swój miecz. Czasu wystarczy tylko na jedno beznadziejne pchnięcie. Nieodparty skok kota rozetnie mu klatkę piersiową, miażdżąc ją całkowicie. Ale Kane sądził, że jego zabójca poczuje ostrze miecza.

– Kiedy skoczy, przebiję mu gardło – wrzasnął dziko Kane. – Zranię go tak mocno, jak tylko będę mógł. Wycofaj się, Dwassllir! Poszukaj dużej belki, abyś zdołał się tutaj przedostać. Jeżeli mój miecz przebiję go głęboko, zacznie krwawić. Będiesz mógł wtedy zabić bestię swoim toporem. Korona Brotemllaina czeka na ciebie! Kiedy powrócisz do swoich towarzyszy, powiedz im, jaką cenę trzeba było zapłacić za wygraną.

Dwassllir z furią rzucał kamienie. Kane nie zaryzykował spojrzenia w jego stronę.

– Kane! Trzymaj kota daleko od siebie tak długo, jak tylko będziesz mógł. Głos olbrzyma stał się przytłumiony. – To ja cię w to wciągnąłem i nie zostawię tutaj! Nie jestem tchórzem!

Pochodnia się wypaliła. Pozostała jej i magikowi tylko chwila życia. Słysząc było ciche dudnienie przesuwanego gładu, ale Kane wpatrywał się nieruchomo w rozwścieczone oczy kota. Tygrys ruszył, lecz zatrzymał się w pół kroku, zaniechawszy ataku. Kane naprężył się, aby przyjąć śmiertelny cios, lecz nagle ujrzał ze zdziwieniem, że szablozębny odchodzi.

Długi, płonący pień drzewa przesunął się po kamieniach. Spod skalnej tafli wydobywał się basowy ryk giganta. Odwróciwszy się z niedowierzaniem, Kane zobaczył wyglądającą zza skały brudną twarz Dwassllira, triumfalnie szczerzącą do niego zęby.

– Dokonałem tego – ryczał gigant zadyszany. Przeciągnął swoje olbrzymie cielsko przez norę, którą sam wykopał.

– Podparłem tę okropną skałę toporem. Skrzypiał trochę, ale został pod nią. Prawdopodobnie będzie tam leżał, dopóki stąd nie wyjdziemy.

Nagle pojawienie się potężnej istoty sprawiło, że szablozębny uciekł w ciemności pieczary. Dwassllir popchnął pochodnię trochę dalej i pochylił się nad Kane'em. Siłą swych potężnych ramion odciągnął przygniatający go głaz.

Kane rzucił się do przodu. Przegryzając z bólu wargi, wyśliznął się ze szpary.

– Czy możesz chodzić, odważniaku?

Krzywiąc się, cierpiący magik zrobił kilka chwiejnych kroków.

– Tak. Chociaż wolałbym jechać. Olbrzym chwycił mocno pochodnię.

– Pójdę zobaczyć Króla Brotemllaina – oznajmił.

– Dwassllirze, nie bądź głupi. Bez topora nie dasz sobie rady z potworem! Nie odegnałeś go daleko. Ciągle grasuje w pieczarze. Będziemy szczęściarzami, jeżeli wydostaniemy się stąd, zanim zdecyduje się zaatakować!

Gigant wzruszył ramionami.

– Czekaj! Przynajmniej wyjdźmy na chwilę i dajmy kotu szansę odejścia. Przez ten czas możemy znaleźć belkę i wyciągnąć twój topór. Potem pójdziemy po koronę.

– Nie. Dostyc już straciliśmy czasu. – Dwassllir był stanowczy. – Tak naprawdę wcale nie przypuszczam, że go odzyskam. Zrobię drugi, a ten zostawię pod skałą na wieki. Nie mogę nawet zaryzykować, próbując wyciągnąć go stamtąd. Pochodnia utrzyma bestię na tyle daleko, żeby zabrać koronę. Poza tym tygrys nie jest jedyny. Za nim pojawią się inne demony. Nie można dłużej zwlekać. Kane przeklął i utykając poszedł za nim.

– Hej, Szablozębny! – ryczał Dwassllir, zagarniając kawał rozłupanego stalaktytu. Odpowiedziało mu warczenie z wgłębienia w pieczarze. – Szablozębny! Czy wiesz, kim jestem? Moi przodkowie byli twoimi wrogami. Zabijali was i robili dla swych kobiet naszyjniki z waszych pięknych kłów. Słuchaj mnie, bestio! Chociaż jesteś trzy razy większa od swych przodków, nie boję się ciebie! Nazywam się Dwassllir ostatni prawdziwy syn starych królów. Przybyłem po moją koronę! Schowaj się do dziury! Inaczej wyjdę stąd nie tylko z koroną! Zabiorę też ze sobą białe futro!

Wyznanie giganta rozniosło się po całej pieczarze. Słysząc było warczenie rozwścieczonego tygrysa. Gdzieś w mroku stąpał na swych ciężkich łapach, ale z powodu echa nie można było go zlokalizować. Spanikowane nietoperze przypuściły atak. Pył i kawałki kamieni spadły na Kane'a i Dwassllira. Magik niespokojnie wyciągnął miecz, nie wiedząc jak oddać cios.

– Król Brotemllain! A jednak legenda nie kłamała – wyszeptał Dwassllir. Zafascynowany, stał przed tronem dawno już nieżyjącego bohatera. Jego twarz promieniowała wizją dawnej chwały. -W oczach giganta odbijał się purpurowy blask rubinowej korony. Odrzucił stalaktyt i wyciągnął się aby jej dotknąć. Delikatnie zerwał koronę z zaskorupiałego czoła.

– Panie! Twoje dzieci potrzebują...

Przerażająca lawina kości i kłów. Szablozębny wyskoczył z ciemności. Niwecząc ciszę swym zabójczym rykiem, nieoczekiwanie rzucił się na plecy giganta. Zaskoczony Dwassllir obrócił się w ostatniej chwili, tak że połowicznie uniknął silnego uderzenia. Przeciwnicy znaleźli się na podłodze naprzeciw tronu.

Szczęki zacisnęły się na ramieniu Dwassllira. Tygrys zagrabił z furją jego plecy. Pazury głęboko rozcięły ciało. Kane podbiegł szybko – błysnęło ostrze miecza. Ale jego ruchy były niezdarne i kot natychmiast odrzucił go swoją łapą. Kane poczuł ociążałość. Potrzęsnał mętną głową, aby dojść do siebie.

Kłęcząc, Dwassllir wył z bólu. Swoimi wielkimi rękoma rozpaczliwie usuwał mordercze pazury. Jego dłoń natrafiła na pochodnię. Olbrzym rozpoznał ją natychmiast i grzmotnął palącym się końcem w twarz potwora. Przypalony oślepiającym żarem, Szablozębny popuścił śmiertelny uścisk z wściekłym wrzaskiem. Karzące kopnięcie giganta odrzuciło ich od siebie.

Z zakrwawionego żołądka kota kopcilo się. Purpurowa ciecz trysnęła z głęboko zranionego ramienia giganta.

Stań ze mną twarzą w twarz, tygrysie – dziko ryczał Dwassllir. – Chowasz się w ciemnościach, skradasz tchórzliwie! Ośmielisz się zaatakować swego pana z przodu?

Gdy tygrys sprężył się do skoku, Dwassllir również wyskoczył da góry, wywijając zranioną lewą ręką. w której trzymał pochodnię. Chwycili się mocno w powietrzu. Pieczara wydawała się drżeć od zderzenia dwóch ogromnych cielsk. Przewracali się złączeni, podczas gdy Kane na chwiejących się nogach próbował odzyskać równowagę. Gigant walczył z zaciętością, odpierając okropne pazury. Sd~rkręcał większe cielsko Szablozębnego. Monstrualne szczęki gryzły pustkę, ale ostre pazury wycinały okropne rany na ciele giganta.

Dwassllir użył całej swej siły, by zamknąć głowę kota w uścisku. Wrzeszczał jak s, ulany. Kłął z bólu. Z furją złapał zębami ucho bestii i złośliwie się śmiejąc, odgryzł kawałek. Futro załała czerwona posoka. Ciągłe wyjąc i szydząc, intonował fragmenty starych wierszy – sag jego rasy – i tłukł łbem bestii o kamień.

Usiadł na kocie okrakiem. – Teraz zginiesz, tygrysie – zaryczał. – Zginiesz z rąk swego pana!

Wbił kolana w zebra stworzenia i ścisnął piętami jego brzuch. Bestia próbowała się wywinąć, zrzucić go, ale nie było to takie proste. Wielkie pięści zaplatały się w jej kłach. Gigant trzymał szczęki tygrysa daleko od siebie. Zwarł ramiona i pociągnął głowę kota do tyłu; nozdrza zwierzęcia parsknęły ciężkim, sapiącym oddechem. Nie miał już sił atakować. Po raz pierwszy od wieków Szablozębny poczuł strach.

Z naprężonych pleców giganta spływała krew. Nie mógł się nawet oprzeć. Bezlitośnie złamał kotu kręgosłup. Słysać było tylko ciche chrupnięcie, i przeciwnik został pokonany.

Śmiejąc się, Dwassllir przekręcił głowę Szablozębnego. Splunął w jego umierające oczy.

– Teraz korona Króla Brotemllaina! – zasapał.

Zataczając się, odszedł od poskręcane go ciała. Zachwiał się, ale pozostał wyprostowany. Miał postrzępione ubranie – brudne i lepkie. Z obszernych ran tryskała krew. Wisiały na nim postrzępione kawałki mięsa, a gdy się poruszał, błyszcząły poźółkłe kości.

Doszedł do tronu, jęknął i upadł na plecy. Kane doszedł do siebie na tyle, aby podejść i klęknąć przy leżącym gigancie. Jego zręczne ręce odkryły inne rany. Szukał sposobu zatamowania jasnej krwi, tryskającej z zagłębień po kłach tygrysa – bez skutku. Kane był weteranem zbyt wielu bitew, żeby nie wiedzieć o śmiertelności ran giganta.

Dwassllir uśmiechał się odważnie. Jego blada twarz była cała spryskana krwią.

– W ten sposób moi przodkowie pokonywali olbrzymie bestie, Kane.

– Żaden gigant nie zwyciężył tak potwora – przysięgał Kane. – Żaden nie zabił tak olbrzymiej bestii gołymi rękoma. Olbrzym słabo wzruszył ramionami. – Wcale tak nie myślisz, odważniaku. Znasz opowieści o naszej rasie a one są prawdziwe. Teraz wiem o tym na pewno. Ogień i Lód. To były bohaterskie dni...

Kane rozejrzał się po pieczarze. Zgiął się, aby podnieść leżący krąg ze złota. Rubiny migotały jak krew Dwassllira. Korona bardzo ciążyła Kane'owi. I chociaż trzymał w swych rękach fortunę, nie pragnął już więcej skarbu Króla Brotemllaina.

– Jest teraz twoja – wymamrotał, wkładając koronę na pochylone czoło Dwassllira.

Głowa giganta uniosła się po raz ostatni. Widać było na jego twarzy dziką dumę i smutek.

– Mogłem poprowadzić moich towarzyszy ku wielkiej sławie – szeptał. – Ale zrobi to ktoś inny z mojej rasy. Ktoś, kto przejmie moją wizję wspaniałego wieku.

Skinął głową, żeby Kane go zostawił. Jego oczy patrzyły już poza pieczarę. Znajdował się w innym świecie.

– To był wiek, w którym mogłem żyć – chrypiał. – Wiek bohaterów.

Kane stanął u jego stóp.

– Wspaniała rasa. Wiek bohaterów – to prawda – potwierdził rozczulony. – Szkoda, że ostatni z herosów właśnie odchodzi.

MRO CZNA MUZA
(Przełożyła Agnieszka JANKOWSKA)

PROLOG

Pulsujące barwy i wibrujący jęklonie dźwięk zlały się dochodząc do ekstazy. Tomy stały się bardziej niewyraźne, przycichały, oddalały się. Powróciły za to obrazy uwięzionego światła. Iskrzące się kształty, które migotały w rytm śpiewu syren, barwy o porażającej jasności, iskierki dźwięku przesywające nagłym dreszczem jego zmysły. Jego świadomość zalewana była falami przechodzącej wytrzymałość ekstazy. Z pulsującego chaosu kolorów i brzmień zaczęły, powoli wyłaniać się jakieś konkretne kształty.

Ujrzał lśniące sylwetki nagich piękności, które poruszały się w wibrującym tańcu. rysując wzory o oślepiającej doskonałości. Zawieszony gdzieś w beczasowej przestrzeni podziwiał niepokalaną piękność ruchów i kolory, zmieniające się niczym w kalejdoskopie. Jego świadomość poczęła łączyć się z wirującą, skrzącą się mozaiką. Ten taniec, piękno tego tańca... to był szarpiący duszę cud, który zagłuszał ostre głosy bólu i przerażenia jazgoczące na skraju jego świadomości. Nieskończone sylwetki bogini – czy może nieskończone wizerunki bogini – przepływały falami przez krystaliczną mgłę pulsujących barw.

Teraz zrozumiał, że są to jednak nieskończone odbicia jednej bogini – bogini piękna, migoczącej we wszystkich lustrach wszechświata. Zapragnął ujrzeć jej prawdziwy wizerunek i jego duch wznosił się poprzez wirujące wzory i ruszył na poszukiwanie prawdziwego piękna. Czas mijał. Nagle, jak drobina gwiazdowego pyłu porwana przez nieodpartą siłę przyciągania czarnej gwiazdy, zaczął spadać ku centrum nieustannie zmieniającego się labiryntu.

W środku pulsującego wiru światła poszukiwanie zakończyło się. Jego świadomość zstąpiła przed prawdziwy obraz piękna. Wpatrywał się w promieniujące porcelanowo doskonałe ciało bogini, alabastrowy majestat nieskazitelnej formy, który emanował ciepłym blaskiem nieopisanego koloru. Jej piersi miały delikatność orientalnych roślin, ręce złożyła miękko, jakby robiła piruet w wirującym tańcu. Zobaczyła go. Jej szkarłatne usta rozchyliły się w gorącym powitalnym uśmiechu, w jej fiołkowych oczach rozblęskło zaproszenie do tańca.

Barwy o bolesnej jasności otoczyły ich błyszczącą przedzą niczym pajęczyną. Cofnęła się ku miękko falującym liściom paproci, wyciągając ku niemu ramiona i rozchylając czerwone wargi. Ruszył ku niej, zachwycony promieniującą doskonałością kształtów, żywym ogniem jej ciała, czarodziejskim ciepłem i aksamitem skóry.

Jej uśmiech zmienił się, na ustach pojawił się grymas bólu... albo okrucieństwa. Piersi wznosiły się wraz z biciem serca, drżała od wysiłonego oddechu. Nagle, jej alabastrowy tors rozpękł się przez środek na dwie części, zebra wyskoczyły na zewnątrz jak prostujące się pręciki kwiatów, zachwiały się w podmuchach dźwięku. Wysmukłe, wijące się ramiona falowały ku niemu, niczym pędy drapieżnej rośliny. Uśmiech rozszerzył się i nieprawdopodobnej długości język pełzł ku jego gardłu. Zadrzał w bolesnej udreće, w nagłym przerażeniu szamotał się z jej uściskiem, rwał obejmujące go, duszące ramiona. Jej pazury rozorały mu twarz, ostry jak igła język przebił mu gardło, kiedy chwycił jej bezkościstą szyję w duszący uchwyt, walcząc desperacko, by nie dać się pochłonąć ekstazie śmierci...

Raptownie sen rozwiął się.

Czując płynącą z rozoranej twarzy krew, zdrętwiały Opyros wytrzeszczył oczy na bezwładną postać, której gardło mocno ścisnął rękoma. Z tępą bezmyślnością uwalniał palce, jeden po drugim. Sina twarz Ceteol odzyskała kolory, kiedy świszczący oddech przedostał się przez jej zakrwawione usta. Jej serce biło silnie pod dłonią Opyrosa, choć nie dawała jeszcze znaku powracającej

świadomości. Czując nieokreśloną ulgę, że nie zabił dziewczyny, Opyros niedbale narzucił pościel na jej nieruchome ciało i wstał, by znaleźć swoje ubranie. Pokój falował w narkotycznych oparach, z każdego kawałka boazerii z ciemnego dębu patrzyły jakieś twarze – tak, że musiał odpocząć chwilę na krawędzi łóżka, dopóki nie przejaśniło mu się w głowie, a nogi nie przestały drżeć.

Humor jego kochanki był trudny do przewidzenia. Młody arystokrata pomyślał, że lepiej wyjść zanim się obudzi. Jego palce dotykały garderoby jak czegoś obcego i dziwnego, naciągnąwszy spodnie i koszulę na swe kościste ciało, porzucił próby odszukania sandałów i opuścił komnatę boso. Wieczór był ciepły, niemniej jednak nie był pewien, który to jest wieczór. Ten nowy narkotyk zostawił w ustach uczucie suchości i nieświeżości, a umysł przeżarty i wypalony. Potrzebował piwa i rozrywki...

Zbudowana bez planu rezydencja leżała cicha i pusta, kiedy snuł się przez korytarze. Jego służba – czy dał im wolną noc? Zbyt wiele luk miał w pamięci – może przypomni sobie coś później. Zabrawszy z zaśmieconej pracowni foliał nieoprawionych pergaminów, Opyros potykając się, opuścił pałac i popłynął poprzez mrok Enseljos w poszukiwaniu Kane'a.

I

POETA W NOCY

Tłuste światło sączyło się na wilgotny bruk z wejścia do „Tawerny Stancheka”, oświetlało kłęby żółtego dymu wypływające przez podartą skórzaną zasłonę. Opyros kroczył na chwiejnych nogach przez ciemną ulicę, omijając dziury w zniszczonej drodze. Kolory i kształty ciągle tańczyły mu przed oczami, a z kałuż czarnej wody wyglądały ku niemu jakieś twarze. Niedawno musiał padać deszcz, choć teraz rozciągające się nad Enseljos nocne niebo było czyste i gwieździste. Równie czyste jak w owo jesienne przedpołudnie, kiedy on i Ceteol rozpuścili w dzbanie wina kilka ziaren nowego narkotyku. Czy to byt ciągle ten sam dzień? Opyros stracił poczucie czasu. Jedynie lekkie uczucie głodu mówiło mu, że musiało minąć już sporo godzin.

Z ciemnego zaułka sąsiadującego z tawerną dobiegły go nagle odgłosy zaczepki i zgrzyt wyciąganej broni. Zasłaniając się folią jak tarczą, Opyros po omacku szukał noża przy boku. Ale w zaułku coś się poruszyło i drugi głos burknął – zostaw go Hef. Nie poznajesz szalonego poety?

Opyros minął chyłkiem uliczkę, zastanawiając się, kto go zaczepił – złodzieje czy strażnicy miejscy. Ów Hef musiał być tu obcy, skoro nie rozpoznał Opyrosa – częstego gościa „Tawerny Stancheka”. Żaden szyld nie wisiał nad mrocznym wejściem, ale spelunka ta od zawsze nazywana była imieniem jej wyrachowanego właściciela. Gromadząca się tu kompania знаła dobrze drogę. Nawet w tak awanturnicznym mieście jak Enseljos zyskała sobie jak najgorszą reputację. Straże miejskie rzadko zapuszczały się w tą najstarszą dzielnicę Ensejlos. Jej dowódca zadowalał się comiesięcznym haraczem i nie zamierzał narażać swych ludzi na ryzyko utraty życia w tych uliczkach, gdzie ze świecą można by szukać uczciwego człowieka. Prawomyślny lud miał swoje gospody i tawerny, i chroniące go liczne szeregi żołnierzy Halbrosa – Serrantko. Nawet najbardziej chciwi i żądni przygód mieszkańcy, woleli odwiedzać mniej ponure miejsca rozrywki: „Czerwonego Niedźwiedzia”, „Pojmanego Bandytę”, „Sforę i Leoparda”, „Złego psa” czy nawet „Yardarm”. „Tawerna Stancheka” to było siedlisko zła, gdzie ściągaly najgorsze szumowiny podziemia Enseljos, a także ci, których rola była może mniej oczywista, ale dokonania również wątpliwe.

Foliał zaplątał się w podarte fałdy, kiedy Opyros pchnął brudną zasłonę i wpadł do wnętrza, z trudem łapiąc równowagę. Sześćdziesiąt par oczu obserwowało jego gwałtowne wejście, zlustrowało go przez chwilę uważnie i powróciło do własnych spraw. Poeta zszedł po kilku zniszczonych, uginających się stopniach do znajdującego się poniżej pokoju. Kiedyś budynek ten był miejską rezydencją jakiegoś bogatego kupca. Teraz pozostał z niej tylko zapadnięty centralny pokój z wysokimi, sklepiionymi sufitami i biegnącą dookoła łukowatą galerią, zbudowaną w zupełnie innym stylu. Tylko na środku podłogi widoczne były miejscami oryginalne kafle, brudne i zatarte, a niezgrabne i toporne kolumny podpierały przekrzywione galerie. Wejście prowadziło na galerię lub do piwnic, które biegły połączonym ciągiem, zatarasowane na końcu kamiennym rumowiskiem. W tych mrocznych, zrujnowanych salach załatwiano interesy najbardziej podejrzanej natury. Opyros, choć bywał tam niejednokrotnie, z ulgą pomyślał, że tej nocy nie musi zapuszczać się w ten ciemny labirynt. Dostrzegł już Kane'a. Siedział przy narożnym stole naprzeciw wejścia – ale blisko ziejącej czeluści prowadzących w dół schodów. Opyros nie miał wątpliwości, choć światło było małe, a jego wzrok ciągle zmacony. Nie można było przeoczyć tej masywnej sylwetki o kwadratowym torsie, lśniących miedzią włosach i krótkiej brodzie. Kane nie był sam. Obok niego rozwalala się przy stole bandycka trójca o nieokreślonym pochodzeniu. Dwóch z nich, których niezgrabna postawa i posępne rysy twarzy zdradzały pokrewieństwo, molestowało tancerkę, by zatańczyła dla nich. Trzeci, którego szczupła postać zdawała się składać tylko z kości i mocno napiętych mięśni, pochłonięty był

obserwacją piątego mężczyzny przy stole. Ten ostatni, nieznajomy o ostrej twarzy i ubraniu zakurzonym od długiej podróży, dyskutował gorliwie z Kane'em.

Kiedy Opyros wsunął się do kąta, osiągnięto właśnie jakieś porozumienie. Kane skinął głową swemu szczupłemu towarzyszowi, a ten wyjął ciężki portfel i pchnął go w kierunku podróżnego. Mężczyzna rozluźnił sznurki i rzucił okiem na błyszczące złoto. Potem szeroka ręka Kane'a zamknęła się na pakunku, i pociągnęła go z powrotem przez stół. Nieznajomy wydawał się być zadowolony. Podniósł się z krzesła. Kane wydał zwięzłe instrukcje swym trzem towarzyszom. Szczupły mężczyzna wziął portfel i wraz z krzepką parą i nieznajomym opuścili pokój.

Opyros skinął im na powitanie głową, gdy go mijali, a potem opadł na krzesło obok Kane'a. Opuszczona przez swych wielbicieli tancerka rzuciła Opyrosowi niespokojne spojrzenie, ale nie znajdując w jego oczach zainteresowania, odeszła z ulgą, szeleszcząc jedwabnymi spódnicami i podzwaniając dzwoneczkami. Na skinienie Kane'a nadbiegła hoża dziewczyna. Z głuchym odgłosem postawiła na stole dzban i zaczęła sięgać po puste naczynia. Kane potrząsnął głową, gdy wyciągnęła rękę po kufle stojące obok niego i wskazał ten używany przez nieznajomego. Dziewczyna chwyciła naczynie, obtarła jego brzeg skrawkiem zatłuszczonego, porwanego fartucha, napełniła ciemnym piwem z dzbana i pchnęła w kierunku poety. Opyros połknął zawartość kufła w czasie, gdy napełniała naczynie Kane'a i podsunął jej naczynie ponownie.

Zimne, niebieskie oczy Kane'a przyglądały się podrapanej twarzy poety, sardoniczny grymas wykrzywił jego brutalną twarz.

– Spodziewałem się ciebie raczej ostatniej nocy – skomentował.

– Co zdarzyło się ostatniej nocy. Próbowałem nowego narkotyku – odparł Opyros.

– I wróciłeś zdać sprawozdanie – zauważył Kane. – Nie byle jaki wyczyn, jeśli Damatjyst sporządził proszek dokładnie według formuły, którą ci dałem.

Opyros niedbale oparł foliał na odpasnym mieczu Kane'a leżącym na stole.

– Było to chociaż warte zachodu?

– Myślę, że tak – odparł Opyros. Piwo zdawało się uciszać przeraźliwy jazgot gdzieś na skraju jego świadomości. – Miałem kilka ciekawych wizji i inspirujących pomysłów, które pospiesznie zanotowałem. Myślę, że przydadzą mi się do „Nocnych Wiatrów”, choć ciągle brak mi natchnienia. – Pogrzebał w luźnych kartkach. – Masz trochę... czy będziesz zajęty dziś w nocy?

Kane nieuważnie zeszkrobywał paznokciem brązowe, łuszczące się plamy, które przyłgnęły do rzeźbionej trupiej główki na rękojeści jego szpady. – Nie robię nic, czym nie mogliby się zająć moi ludzie. Zapowiada się nudna noc, chyba że interesuje cię oglądanie jak Eberhos przepuszcza w kości dziesięcioletnie zarobki. Rankiem Damatjyst stwierdzi, że jest biedakiem dzięki swemu Pierwszemu Asystentowi.

– Więc przeczytam ci kawałek – zaproponował Opyros. Zmarszczył brwi pochylając się nad luźnymi stronami, odwracał pergaminowy arkusz, by znaleźć najlepsze światło. – O tutaj, rozwinąłem trochę ten fragment „Bogów w Ciemności”, który mi podrzuciłeś.

W ich zamku poza granicą nocy

W ich lochach, gdzie zte ognie płoną

Zgromadzeni Bogowie gasneci w porrvroce A Ciemność faluje cieniówv zasloną...

– Nigdy tego nie napisałem – zaprotestował Kane.

– Ceteol to zrobiła – wyjaśnił Opyros – ona ma wycucie rymu i stopy wierszowej.

– Brzmi to dosyć przyjemnie, ale rym nie przystaje dokładnie do sensu wiersza. Myślałem, że jesteśmy zgodni, iż należy dążyć do logiki obrazu bez ingerencji rymu. Metrum będzie już wystarczająco natrętne...

– Po prostu myślałem, że chciałbyś usłyszeć jak to można zrobić – przerwał Opyros obronnie. – Ja zawsze twierdzę, że wiersz nadający się do śpiewania, jest daleko bardziej efektowny niż wiersz, który się dobrze czyta i nieskończenie przewyższa prozę. Poezja jest ekspresją piękna, a piękno jest dziedziną emocji. By ocenić wartość piękna, trzeba zaangażować wszystkie zmysły. Inaczej nie uzyska się u publiczności żadnego oddźwięku. Ty, Kane traktujesz wyobraźnię w sposób intelektualny. Nie potrafisz oddzielić jej od rozumu. U ciebie wiara intelektualna i uczuciowa stymulacja są nierozłączne.

– Na Boga! Jesteś dziś w głębokim nastroju – zauważył Kane sarkastycznie. – Jesteś choć pewny swej intuicji? Narkotyki i piwo zwykle są pożywką dla prorocत्व i filozofii, których nie wymyśliłby trzeźwy umysł.

– Możliwe – odparł Opyros – ale czasami otwierają drogę do prawd ukrytych za uporządkowanymi myślami – zaczął składać pergaminowe arkusze, jego ożywienie przygasło.

Kane zrobił przeproszający grymas.

– Chciałbym usłyszeć resztę tego, co napisałeś – poprosił i skinął na przechodzącą kelnerkę. Jego długie palce wyrwały z rąk kelnerki dzban i postawiły przed poetą.

Opyros ostrożnie napełnił swój kufel i pochylił się ponownie nad gęsto zapisanymi liniami. Zaczął czytać cichym głosem, raz za razem zwilżając gardło. Od czasu do czasu Kane przerywał, by spierać się o składnię lub inne rzeczy – dopóki Opyros, zastanowiwszy się nad jego wskazówkami, nie zrobił na marginesie notatek za pomocą metalowego pióra, maczanego w rozlanym piwie i pocieranego o kawałek atramentu. Potem zaczęli czytać dalej.

Poeta dawno już zrezygnował z jakichkolwiek wysiłków, żeby zgłębić zasłonę tajemnicy, która spowijała Kane'a. Nawet tak prosta sprawa, jak wiek Kane'a nie dawała się rozstrzygnąć z pewnością – fizycznie wydawał się być niewiele starszy od trzydziestoletniego Opyrosa. Było to jednak złudne, gdyż doświadczenie Kane'a wskazywało, że musi być starszy. Był zagadką, a Opyros cenił jego przyjaźń zbyt wysoko, by zadawać niedyskretne pytania. Zaakceptował tajemnicę, dumając tylko prywatnie nad oczywistymi posępnymi sprawami, które wyłaniały się z cienia przeszłości Kane'a.

Już ponad rok minął od czasu, kiedy Opyros po raz pierwszy go spotkał. Błądził właśnie o zmierzchu wśród zarośniętych lasem ruin Starego Miasta. Wyczuwając w nieznanym ducha pokrewieństwa mimo odpychającej powierzchowności, Opyros zagadnął go. Mężczyzna oddał pozdrowienie uprzejmym głosem z nieokreślonym akcentem, ale w pierwszej chwili Opyros dostrzegł morderczy ziąb w jego niebieskich oczach. Wymienili parę zdawkowych uwag o Starym Mieście. Opyros był zdumiony, z jaką nonszalancją nieznanomy rozprawia o historii, tajemnicach i naukach w czasach Starego Miasta. Mówił o rzeczach, których poeta był tylko mgliście świadomy, choć chciwie dotąd zgłębiał wiedzę w tych dziedzinach. Opyros wymienił kilka hipotez na temat opuszczenia Starego Miasta przez mieszkańców ponad dwa wieki temu. Kane w odpowiedzi śmiał się tylko dziwnie. Bardziej zaciekawiony, niż urażony tym zachowaniem, Opyros starał się podtrzymać rozmowę. Kane udzielał wymijających odpowiedzi, aż do chwili, kiedy Opyros przedstawił się. Kane natychmiast wyraził zainteresowanie pracą poety i tracąc trochę swojej roztargnionej rezerwy, zaproponował zacieśnienie znajomości przy stole w tawernie.

Przypadkowe spotkanie rozwinęło się w przyjaźń i Opyros rychło obznajomił się z ciemnymi zaułkami i ukrytymi ścieżkami Enseljos, gdzie regularnie poszukiwał towarzystwa Kane'a.

W dokładną naturę interesów Kane'a w północnej dzielnicy Opyros starał się nie wnikać, choć czuł, że musi to być gra o wiele bardziej subtelna, niż kontrola, którą sprawował Kane nad tutejszym światem podziemia. Była to jeszcze jedna tajemnica otaczająca nieznanomego – obok jego

niespodziewanie głębokiej wiedzy, znajomości poezji i historii obcych krajów i minionych wieków.

Krytyczne zdolności Kane'a oceniał Opyros bardzo wysoko. Jego logiczne i precyzyjne uwagi sprawiały, że poeta niejednokrotnie zmieniał fragmenty swoich prac, wdawał się w wymianę argumentów i dyskusje zazwyczaj trwały od zapadnięcia ciemności do świtu.

Opyros bardzo cenił sobie tę przyjaźń i miał nadzieję, że Kane podziela jego uczucia. Poeta był wyrzutkiem wśród arystokracji Enseljos, wśród której się urodził, lecz o której płytce towarzystwo nie dbał. Choć jego twórczość zaczynała być szeroko znana na Północnym Kontynencie, a geniusz niekwestionowany, makabryczny kierunek jego zainteresowań wyrobił Opyrosowi ciemną reputację wśród intelektualistów i dyletanckiej publiczności. W ten sposób literacki aplauz umknął mu – choć rozgłos nie – i Opyros nie był kochany ani przez tych z aspiracjami do kultury, ani przez tych, którzy pysznili się swym pochodzeniem i bogactwem. Wiedział, że nic go nie łączy z wyższymi klasami społeczeństwa, które traktowały go jak szaleńca. Społeczna dezaprobata dla jego życia i pracy chwilami przysparzała goryczy, ale nie stanowiła przeszkody do pisania. Dziedzic posiadłości i ogromnej fortuny był w stanie ignorować to wyobcowanie i kroczyć po niezbadanych ścieżkach, po których prowadził go jego geniusz. Często przychodziło Opyrosowi na myśl, że jest poza prawem, tak samo, jak Kane i te ciężko patrzące kreatury, które krążyły wokół nich.

– A co z „Nocnymi Wiatrami”? – spytał Kane, kiedy Opyros skończył czytać.

Jego towarzysz zrobił niezadowoloną minę.

– Och, prawie nic nie napisałem – kreśliłem i zaczynałem na nowo chyba setki razy. Ciągle nie mogę zbliżyć się do tego, o co mi chodzi.

Kane chrząknął współczująco. Opyros zmagał się z „Nocnymi Wiatrami” od dwóch miesięcy, przeciążając swój umysł wysiłkiem, by stworzyć coś, co miało być arcydziełem, doskonałym udokumentowaniem jego koncepcji sztuki. Jak to zwykle bywa, gdy podejmuje się próbę stworzenia arcydzieła w sposób świadomy, dążność do perfekcji przygniotła twórcze możliwości artysty. Opyros podejmował niezliczone próby, przepracował się aż do nerwowego wyczerpania, spędzał całe dni opętany obsesją perfekcyjnego wyczyszczenia pojedynczego wersu, a „Nocne Wiatry” rozwinęły się niewiele ponad początkowy potok inspiracji, który wyłonił się z rozpalonych gorączką snów. Myśląc, że należałoby zrelaksować trochę poetę po tej intensywnej koncentracji, Kane zasugerował kilka pomysłów, które mogłyby zostać wykorzystane w innym wierszu. Opyros sumiennie pracował nad „Bogami w Ciemności” dla Kane'a, wykorzystując swoje i jego projekty, ale „Nocne Wiatry” nadal zaprzętały jego wyobraźnię.

– Dobrze, posłuchajmy jak to wygląda – podsunął Kane. Opyros nerwowo przesunął ręką po włosach i twarzy, mimochodem zauważył kilkudniowy zarost na szczękach tam, gdzie nie sięgała kozia bródka. Jaki to dzień? Znowu napełnił kufel; piwo uspokajało wrzaskliwe obrazy w jego umyśle. Bez wstępu chwycił jeszcze jedną poplamioną i pogryzmołoną kartkę i czytał:

„W nocy, gdy sen nie przychodzi

I ciemność opada grubymi, duszącymi fałdami, Dławiąc mój oddech, miażdżąc serce w mej piersi,

I przysiadając na mym brzuchu jak gorący, opady demon; Kiedy leżę płonąc w niespokojnej, bolesnej tęsknocie, Słuchając uderzeń tętna, walenia mego serca

I czuję bez niepokoju, że to jest ostatnia godzina, Nadciągają nocne wiatry.

Więc przyjdźcie do mnie nocne wiatry

Wiejcie przez otwarte okno, zdmuchnijcie płomień chorej namiętności,

Dotknijcie zimnym powiewem tego rozpalonego gorączką ciała,

Pieście chłodnymi pocałunkami osmalony gorączką umysł, Weźcie moją zatrutą duszę w

*wasze ozdrowiające objęcia, Wiedźcie mnie do obcych krajów, pokażcie mi niewidziane
ludzkim okiem krajobrazy,*

*Prowadźcie wzdłuż nietkniętych ludzką stopą ścieżek, Których tajemnicę znacie tylko wy i
gwiazdy*

*Choć śmierć jest celem waszej podróży, nie będę błagał o zwłokę, Kiedy nocne wiatry
nadciągają.*

Więc zabierzcie moje nocne wiatry

Podnieście mojego okaleczonego ducha na waszych ogromnych, czarnych skrzydłach,

A wzbiję się z wami poprzez cień;

Szeptajcie cicho w mych spustoszonych myślach, A nauczę się mądrości mroku;

Muśnijcie waszymi palcami moje ośleple oczy, A zobaczę sekrety świata nocy;

I z wami zbadam tamte zagubione i ukryte miejsca – Gdzie tylko nocne wiatry wieją.”

Opyros czytał z wahaniem tak, że poemat stał się jeszcze bardziej fragmentaryczny – bardziej, niż można by wnosić z zacytowanych tu kawałków. Jego na pół uformowane wersy mówiły o piasku dryfującym przez pustynny grobowiec i o tym, dlaczego jest on pusty; o wietrze w lesie, gdzie leży umierająca bogini, o zniszczonych blankach murów obronnych i bladej piękności, która się po nich przechadza; o czarnej fali rozbijającej się o kły urwiska i cieniu tam przyczajonym, o górach pokrytych wiekuistym lodem, gdzie trwa pogrążony we śnie stary ród...

Skończył z bolesnym grymasem. Gniewnie poskładał kartki, chwycił swój kufel i opróżnił go jednym wielkim haustem, który przeszył dreszczem jego gardło. – I tyle.

Zachowanie Kane'a było wymijające. – Myślę, że to uporządkujesz – ale to, co jest, podoba mi się. Obrazy, które proponujesz mają tym razem pewną siłę przyciągania. Nastrój zaczyna się kształtować – prawie nie zauważa się, że świadomie montujesz napięcie. Kompozycyjnie jest to jeszcze dość szorstkie, choć wywiera na mnie wrażenie podobne...

– Wymuszone! – prychnął Opyros. – Sztuczne i wymuszone! To jest ciągle wstępny szkic, choć od miesiąca leżę bezsennie rozmyślając nad tym. Moja wyobraźnia jest albo bezsilna albo zbyt mglista. Nie mogę uzyskać wrażenia realności nastroju!

– Ależ wszystko zaczyna się już układać – zaprotestował Kane. – Nastrój będzie się wyłaniał w miarę postępowania pracy, jak sądzę. Do diabła, połącz tych kilka fragmentów, daj temu jakieś zakończenie, nawet jeśli w pierwszej chwili wydaje ci się to niedoskonałe. Pozbądź się kawałków chropawych i potem osądź, co trzeba z tym zrobić – przynajmniej będziesz mógł się uchwycić czegoś konkretnego. Myślę, że jesteś już naprawdę blisko napisania równie znakomitego utworu, jak poprzednie!

Opyros prychnął pogardliwie prosto w swój kufel. – Tak, równie znakomity, jak poprzednie – równie niedoskonały, masz na myśli! Psiakrew, Kane raz jeden chciałbym czuć, że napisałem coś doskonałego! Nie, nie zaczynaj jednej z tych zgrzytliwych filozoficznych dyskusji o nieistnieniu doskonałości. Sądzę, mam nadzieję, że przynajmniej raz będę w stanie stworzyć poemat, który sam mógłbym nazwać doskonałym – do diabła z innymi punktami odniesienia. Nie ma ani jednej rzeczy, którą zrobiłem, a z której jestem całkowicie zadowolony. Wszystkie są wynikiem kompromisu między tym, co chcę stworzyć, a tym, co jestem w stanie stworzyć. Wiem, kiedy wers nie jest dokładnie taki, jak powinien, ale, cholera, nie mogę zrozumieć jak wznieść się ponad tę granicę.

– Co to jest dla ciebie – perfekcja? – spytał Kane ironicznie, myśląc, że ta rozmowa jest tylko jedną z wielu, kiedy zdzierali sobie gardła do rana.

– Doskonały poemat – zadeklarował temat ten bez zająknięcia – jest wtedy, kiedy kompletnie wciągnie publiczność w całość utworu. Powinna to być całkowita uczuciowa i emocjonalna

projekcja umysłu artysty w umysł słuchacza. Powinien on w pełni zidentyfikować się z perspektywą, rzeczywistością poematu – dzielić myśli, czuć atmosferę, widzieć obrazy, jednoczyć się z nastrojem. Każdy w miarę uzdolniony głupiec może stworzyć wiersz, którego inny głupek może wysłuchać; dobry poeta może stworzyć wiersz, który wzruszy wrażliwego słuchacza... Ale stworzyć wiersz, który może totalnie wciągnąć nawet stępioną wyobraźnię w swoje czary – to, Kane, jest doskonała sztuka i to jest dzieło prawdziwego geniusza!

– Intrygująca teoria sztuki – skomentował Kane po krótkiej pauzie. – Myślę jednak, że wyniszczysz się emocjonalnie, jeśli będziesz nadal poszukiwał niemożliwej do zdobycia perfekcji. Mam wielki szacunek do twego talentu, Opyros, ale wydaje mi się, że genialne dzieło, które proponujesz, przewyższa ludzkie możliwości.

– Nie do wiary – Kane nagle głosi pobożną doktrynę o nieuniknionym niepowodzeniu ludzkim, ilekroć ośmieli się człowiek zaatakować te szczyty, gdzie tylko Bóg może przebywać – zadrwił Opyros i natychmiast pożałował swych słów.

Niesamowite oczy Kane'a zatrzymały się na nim na chwilę z zimnym namysłem, rozważając na ile była to przypadkowa złośliwość. – Nie to miałem na myśli, chyba wiesz – odpowiedział z lodowatym spokojem. – Mówiąc bez ogródek, sądzisz, że twój „geniusz” może sprostać temu zadaniu?

Opyros wpatrywał się w zaciśnięte dłonie Kane'a.

– Nie wiem – wyznał, unikając jego wzroku. – To mnie dręczy. Technicznie wiem, jak to zrobić – rytm, stopa, słowa, obrazy. Rozumiem, jak materiał powinien być utkany – tylko ciągle nie mogę uchwycić nici przewodniej. Potrzebuję natchnienia – błysku intuicji – czegoś, co wydobędzie moją wyobraźnię z tego grzęzawiska pospolitych idei. Czego użyć, by zniszczyć moją zdolność produkowania kolejnych wierszy podobnych do poprzednich – te same zmęczone obrazy, te same nudne emocje? Mój poemat to ma być nowość absolutna – muszę stworzyć go z idei i obrazów jedynych w swoim rodzaju, a nie po prostu przepisać myśli, na które wpadli już inni artyści.

Zamruczał coś kapryśnie pod nosem i sięgnął znowu po dzban. Zdziwiał, ktoś go już opróżnił...

II

MUZA SNU

Kane w zadumie przyglądał się zgarbionej postaci swego przyjaciela. Usługująca, nie proszona, postawiła na stole kolejny napełniony po brzegi dzban. Zdecydował, że najlepiej pozostawić go chwilowo własnym myślom. Sięgał właśnie po piwo, by napełnić na wpół pusty kufel Opyrosa, kiedy zauważył, że ktoś zmierza w ich kierunku.

Przysadzista postać Eberhosa, Pierwszego Asystenta alchemika Damatjysta, zatrzymała się nerwowo przy stole Kane'a. Jego twarz była spocona i napięta, głęboko osadzone oczy rzucały niespokojne spojrzenia. Zdawał się obawiać, że wszyscy w tym zatłoczonym pokoju obserwują jego nerwowe zachowanie i chcą wiedzieć, jaki interes go tu sprowadził. Choć Eberhos nie był częstym gościem w „Tawernie Stancheka”, Kane znał go dość dobrze z powodu licznych swych interesów z Damatjystem. Teraz oparł się wygodnie na krześle i czekał, aż Eberhos pierwszy zacznie rozmowę.

– Przyszedłem prosić cię o przysługę, Kane – zaczął Erberhos oblizując blade usta. – Przysługę, która zostanie wynagrodzona dwukrotnie jeszcze dziś w nocy!

– Chcesz po prostu pożyczyć pieniądze – odparł Kane sucho.

Asystent alchemika wytarł ręce o silne, muskularne uda. Jego spodnie poplamione były płynami i proszkami, które przygotowywał w pracowni swego mistrza.

– Chcę – przyznał – ale mógłbyś to potraktować raczej jako inwestycję. Chwilowo nie wiedzie mi się w grze. Straciłem wszystkie pieniądze. Ale jeszcze kilka rzutów i szczęście znowu do mnie wróci. Tylko, że te sukinsyny nie chcą dać mi kredytu.

– Wcale się im nie dziwię. W dziesięć godzin straciłeś tyle, ile wynoszą roczne dochody największego kupca. Dlaczego mieliby przyjmować weksel od biedaka – a przy tym pechowca? Zamiast wyrzucić więcej pieniędzy, zastanów się raczej, jak wyjaśnisz właścicielowi, że przepuściłeś jego złoto. Bo wątpię, by to były twoje oszczędności.

Eberhos zbladł. – Nie jestem złodziejem – warknął. – Z całą pewnością nie jesteś dobrym graczem.

Ignorując fakt, że Kane w sposób oczywisty chce się go pozbyć, Eberhos opadł na krzesło i pochylił się konfidencjonalnie. – Słuchaj Kane! Mówię ci o tym tylko dlatego, że nie ma tu nikogo innego, na kogo mógłbym liczyć, że podeprze mnie finansowo przy tym wejściu w grę. Zaplanowałem to sobie już dawno i właśnie na dzisiaj – to nie jest przypadkowa hulanka. Od tygodni obserwuję gwiazdy – dziś jest odpowiedni układ. Zrobiłem wszystkie wróżby, których nauczył mnie Damatjyst. Odpowiedź jest zawsze ta sama – dziś w nocy fortuna mi sprzyja. W żadnej hazardowej grze nie mogę przegrać!

– Więc teraz wiemy, że nie jesteś dobrym astrologiem

skomentował Kane okrutnie. Nigdy nie przepadał za asystentem Damatjysta. Ten człowiek był służalczy i fałszywy. Płaszczyl się przed swym panem – ponurym brutalem, podobnie jak inni podwładni alchemika. Za przymilną fasadą Eberhosa, dostrzegał Kane zachłannego i chciwego ducha.

Desperacja wykrzywiła twarz Eberhosa gniewnym grymasem. – Możesz sobie szydzić. Przyznaję, że fortuna nie faworyzuje mnie od kiedy jestem u Stancheka. Ale to nie jest pierwsze miejsce, które odwiedziłem tej nocy. Myślisz, że wybrałem albo ukradłem pieniądze, które tu straciłem? A więc mylisz się! Słuchaj! Zacząłem w „Sforze i Leopardzie” dziś wieczór, mając jedynie dziesięć złotych monet i trochę srebra zaoszczędzonego z tych psich pieniędzy, które płaci mi

Damatjyst. W pewnej chwili zostało mi już tylko srebro, ale zatrzymałem je, a kiedy wychodziłem, inni byli załamani, a ja miałem blisko setkę w złocie. W „Yardarm” było tak samo. Myśleli, że oskubią mnie co do grosza, ale szybko nikt nie był w stanie grać przeciw mnie i miałem już ponad pół tysiaca w srebrze i złocie. Więc przyszedłem tutaj, gdzie mogę grać o wysoką stawkę. Jeszcze raz zdaję się zbliżać do kompletnej przegranej. Ale pożycz mi, ile potrzebuję, a dam słowo, że trzeba będzie dwóch niewolników, by udźwignąć moją wygraną. Pożycz mi pół setki, a dostaniesz całą z powrotem jeszcze tej samej nocy.

Kane roześmiał się tylko w odpowiedzi. Zdesperowany Eberhos spojrział na Opyrosa, który trwał zapatrzony hipnotycznie w dno swego kufła. Poeta był bogaty, ale nigdy nie nosił przy sobie więcej niż kilka monet. Widząc, że nic nie wskóra i że chcą się go tylko pozbyć, asystent alchemika chwycił się ostatniej szansy.

– A jeśli zaproponuję coś w zastaw?

– Co możesz zaproponować za pół setki w złocie? – zapytał Kane bez zainteresowania.

Drżącymi palcami Eberhos wydobyl z torby u pasa niewielką paczkę. Bez słowa pchnął ją do Kane'a. Ze sceptycznym zainteresowaniem Kane rozwinął miękką skórę. Z ukrycia potoczył się na jego szeroką dłoń migoczący kształt. Oczy Kane'a zwięziły się na chwilę, a potem szeroko rozwarły.

– Mroczna muza – szepnął zdumiony.

– Co? – spytał Opyros, budząc się z zamyślenia. Wyciągnął szyję.

Na otwartej dłoni Kane'a leżała wyrzeźbiona w czarnym onyksie figurka nagiej dziewczyny wielkości pięciu cali. Kamień był bez skazy, a wykonanie absolutnie mistrzowskie. Leżała na wznak, jakby rozleniwiona odpoczynkiem, choć zupełnie przytomna. Jej głowa, okryta masą falujących loków spoczywała na lewej ręce, drugie ramię było uniesione lekko w zapraszającym, czy może powitalnym geście. Smukłe nogi lekko ugięte i pochylone na bok. Jej oczy rzucały spojrzenie o nieodpartym uroku, a wargi rozchyłały się w tajemniczym uśmiechu. Zdawały się kryć jakiś sekret, a może ciche zaproszenie? A jednak była w tej pięknej twarzy nuta okrucieństwa, która kładła się cieniem na pełnym obietnic uśmiechu i kazała zastanawiać się, do jakich przyjemności wzywa ta czarodziejka. Zmienne błyski światła gładziły miękko i pieszczotliwie jej arystokratyczną twarz, opływały piersi, szczupłe biodra i długie nogi. Wydawała się być boginią zamrożoną w hebanowej miniaturze.

– Znasz więc tą rzeźbę – wyszczerzył zęby w nerwowym uśmiechu Eberhos.

– To jest Klinure, muza marzenia sennego, którą niektórzy nazywają mroczną muzą – oznajmił Kane. – Nie można się pomylić, to jest podobizna Klinure – jedna z szesnastu muz wyrzeźbionych wieki temu przez maga Amderina. Jego sztuka jest łatwa do rozpoznania, a te rzeźby są legendarne. Większość z nich przypuszczalnie zaginęła. Słyszałem pogłoskę, że kilka z nich znajduje się w posiadaniu Damatjysta... ale przecież ty nie jesteś złodziejem?

Eberhos zacisnął usta. – Nie zauważy jej braku tak od razu. Wziąłem ją z pudełka tylko dlatego, że myślałem, iż taka sytuacja może powstać. Ta figurka jest bezcenna, wiesz o tym. Pożyczysz mi setkę w złocie pod jej zestaw? Oddam ci podwójną sumę za godzinę.

Kane wzruszył ciężkimi ramionami. – Ja nie mam powodu, by przekraczać próg marzenia. Nie mam też ochoty przetrzymywać ukradzionych dzieł sztuki nawet przez godzinę.

– Daj mu te pieniądze, Kane – wstawił się Opyros z nagłym ożywieniem. – Pokryję twoją stratę, jeśli przegra.

– Wyłożymy po połowie sumy – powiedział Kane rzucając na poetę zdumione spojrzenie.

– W ten sposób będziesz czuł tylko połowę żalu, kiedy wrócisz do przytomności.

Eberhos chciał zaprotestować, ale ucichł obawiając się, by nie zmienili zdania. Ciężkie złote

monety potoczyły się zygzakami przez stół, mocząc się w rozlanym piwie. Alchemik zgarnął je i pospieszył z powrotem do gry.

– Opowiedz mi o niej, Kane – zażądał Opyros. – Kiedy powiedziałaś „przez próg marzenia” wydawało mi się, że coś pamiętam. Jaka jest jej historia?

Kane pchnął onyksową rzeźbę w stronę poety i zapatrzył się w niego ze skupieniem. – Amderin był jednym ze znakomitszych magów schyłkowych lat Carsulyal, a także rzeźbiarzem o wielkim talencie. Nie chciał pogodzić się z tym, że nie może przewyższyć ludzkich możliwości we wszystkich dziedzinach. Stworzył więc podobizny szesnastu muz. Każda z nich, przywołana, miała wspomagać go w jakiejś określonej sferze życia i tworzenia. Mógł z powodzeniem stać się pierwszym prawdziwym uniwersalnym geniuszem.

– Dlaczego nie został?

– Umarł niedługo potem, jak jego projekt został zakończony.

– Samobójstwo?

Kane spojrzał na niego ostro. – Dziwne przypuszczenie. Nie, choć jego śmierć była zagadkowa. Jego ciało znaleziono leżące w poprzek łóżka – zmiażdżone i połamane, jakby spadł z dużej wysokości. Potem rzeźby przechodziły przez wiele rąk, uległy rozproszeniu tak, że dziś wiadomo o istnieniu zaledwie kilku z nich.

– A to jest Klinure – zamruczał Opyros, obracając statuetkę delikatnie – muza marzenia sennego.

– Mroczna muza – dodał Kane – wyrzeźbiona w czarnym onyksie, czarna jak bezgwiezdna noc, noc w której ona mieszka, noc, z której ona woła. Żyje w mroku niekończących się snów, z których my budzimy się i do których nigdy nie możemy wrócić. Ich widma czekają zawsze w otchłani, niedokończone wizje, których człowiek nigdy nie zrealizuje.

– Wydaje się zapraszać do czegoś.

– Zaprasza cię, byś przekroczył próg marzenia sennego. – Jej twarz jest dziwnie uśmiechnięta.

– Sugeruje sekretną mądrość ukrytą za zasłoną snu. – Kpi z czegoś.

– Z fałszywej mądrości i wyobrażeń, które mają marzyciela pozorami prawdy.

– W jej oczach jest okrucieństwo.

Kane roześmiał się gorzko i ostro. – Okrucieństwo? Tak bowiem wiele snów to nocne zmary. Pójdź w jej objęcia, a zamiast cudów, które zdaje się obiecywać, ciemna muza wciągnie cię w bezdenny wir czarnego przerażenia.

Spojrzał w kierunku wyjścia. Prześlizgując się przez zadymione przejście weszło trzech mężczyzn, którzy siedzieli z nim wcześniej. Po nieznanym podróżniku nie było śladu. Niedbale przeszli przez zatłoczony pokój do narożnego stołu, gdzie opadli na krzesła i natychmiast zajęli się piwem. Opyros, który spotykał ich już wcześniej często, wymruczał niewyraźne pozdrowienie.

– Żadnych problemów, Levaros? – spytał Kane.

Jego zastępca o wyglądzie truposza, potrząsnął głową. – Nie martw się. Chcesz to zobaczyć?

– Nie teraz. Stanhek wie, że to jest tutaj?

– Tak. Przejrzał to. Zdaje się być zadowolony z interesu. Kane skinął i porzucił temat. Zamyślony melancholijnie Opyros podjął przerwana rozmowę o onyksowej figurce. Webbre i Haigan, przyrodni bracia pochodzący z jakiejś zagubionej górskiej osady, pochylili się ciekawie naprzód, by zobaczyć przedmiot rozmowy. Widok nagiej dziewczyny musiał im coś przypomnieć, bo Webbre, młodszy z braci, zszedł w dół po schodach, by odszukać tancerkę.

Jakoż niebawem pojawił się ciągnąc za sobą dziewczynę – jej twarz była mocno zaczerwieniona, a suknia w nieładzie. Kostki prawej ręki Webbrego były pokrwawione i kiedy pokazał pięść bratu, obaj wybuchnęli głośnym śmiechem. Wystraszona dziewczyna protestowała, że

nie może tańczyć bez muzyki. Roześmiani bracia wyciągnęli w odpowiedzi fujarki i zaczęli dmuchać w nie, wydobywając nieharmonijne dźwięki. Wzdychając bezradnie, ciemnowłosa dziewczyna tańczyła, starając się dostosować do niezgrabnej melodii.

Opyros próbował rozmawiać przekrzykując dysonansowe tony fujarek. Kane gestem nakazał braciom, by usunęli się dalej. Nie przerywając gry Webbre i Haigan wstali i ciężkim krokiem sunęli do kąta, gdzie stanęli koło złapanej w potrzask dziewczyny i kontynuowali swe dzikie wyczyny. Levardos potrząsnął głową i pozostał na miejscu. Jego twarz wyrażała jak zwykle, jedynie obojętną czujność.

Opyros pochylił się ku przodowi. – Pytałem, czy sekrety Amderina umarły wraz z nim?

– Sekrety?

– Przywoływanie muz za pomocą tych posążków.

– Och, to. Nie, nie umarły. Wywoływanie muz to dosyć proste czary. Geniusz Amderina polegał na stworzeniu tych wizerunków; z ich pomocą każdy obznajomiony z wiedzą okultystyczną może przywołać muzę.

– Znasz te czary – spytał poeta napiętym głosem. Zaciskając usta z namysłem, Kane przyjrzał się swemu przyjacielowi, zastanawiając się, jak wiele Opyros może się domyślić. – Znam – oznajmił.

Opyros milczał długą chwilę. Słysząc było tylko kakofoniczne zawroscenie fujarki, brzęczenie dzwoneczków i zachrypnięty oddech dziewczyny. Hałas tawerny zdawał się odbijać od niewidocznej ściany; ostre krzyki graczy w kości były dalekie i przytłumione.

– Gdybym mógł przekroczyć próg snu – zaczął Opyros wolnym głosem – gdybym mógł ujrzeć narodziny snu, iść śladem duchów snów, których czarów nie można pojąć umysł śniącego w momentach przytomności... Na Siedem Oczu Pana Throelleta, Kane! Możesz sobie wyobrazić potok inspiracji, który pochłonąłby moją duszę?!

– I prawdopodobnie unicestwił ją – warknął Kane. Przypuśćmy nawet, że twój duch nie zostanie natychmiast zniszczony przez zanurzenie w świat bezforemnych myśli i pierwotnego chaosu obrazów. Co będzie jednak, jeśli Klinure poprowadzi cię w sferę nocnych koszmarów? Co będzie, jeśli zamiast ujrzeć kilka nieśmiertelnych wizji nieziemskiego piękna, znajdziesz się w potrzasku bezbożnych zmór nocnych, które wielu śmiazków wpędziły w gorączkę i obłąd? Ciemna muza nie troszczy się, czy jej sny ukazują eteryczne piękno, czy bezrozumny horror.

Poeta uśmiechnął się beztrosko. – Mogłoby mnie to zmartwić, gdybym chciał napisać wiersz o słońcu, kwiatkach i miłości. Ale znasz moje pragnienia dość dobrze. Będę układał moje wersy na cześć mocy, będę sławił ciemne rzeczy, które unoszą się poprzez bezimienne otchłanie – będę tworzył poezję makabry, podczas gdy inni paplają o przyziemnych rzeczach. Psiakrew, Kane wiele nocy przegadaliśmy o tych sprawach i zawsze byliśmy zgodni, że prawdziwe piękno leży po ciemnej stronie życia – w śmierci, w tajemnicy – w wielkości tego, co zbadane. Doznawanie czystego piękna jest tak samo paraliżujące uczuciowo, jak ślepy strach. Uczucie niewysłowionej miłości szarpie duszę tak samo, jak doznawanie niezgłębionego przerażenia. W chwili najwyższej rozkoszy najprzyjemniejsze uczucia są nieznośnie bolesnymi błyskami; ekstaza i agonia są nierozłączne.

– Nie jestem w stanie pisać „Nocnych Wiatrów”, bo nie mogę otworzyć tego mrocznego świata. Nie potrafię zrozumieć uczuć, które próbuję odtworzyć. Szukałem inspiracji wszędzie – czytam nudne księgi, porzuciłem głupie nałogi, odwiedzam odludne miejsca, używam przedziwnych narkotyków... I niczego się nie nauczyłem. Gdybym mógł nakłonić Klinure, by dała mi inspirację, poprowadziła ku zagubionym snom, zaryzykowałbym każdy koszmar – co mówię, powitałbym go z entuzjazmem jeśli tylko znajdę w ten sposób twórczą energię potrzebną mi do stworzenia doskonałego poematu!

Kane zmarszczył brwi. W gruncie rzeczy był zbyt podobny duchowo do Opyrosa, by szczerze

odradzać mu eksperyment, niemniej jednak niepokoił się. – Decyzja należy oczywiście do ciebie. Ale chcę, byś dobrze uświadomił sobie, jakie ryzyko oczekuje cię poza progiem snu. Właściwie nie będzie to sen. Znajdziesz się w uścisku Klinure i nie będziesz mógł wyrwać się z tego kręgu nocnych koszmarów, będziesz trwał w bezsennym obłądnie. Są na przykład sny o spadaniu, z których budzisz się w chwili upadku...

Opyros zamyślił się na moment.

– O Bogowie? – szepnął ze zrozumieniem. – Więc myślisz, że Amderin...?

– To jest ryzyko – tylko jedno spośród wielu, których natury nie możemy sobie nawet wyobrazić.

Wrzawa przetoczyła się przez tawernę i tłum przy stole do gry zafalował nagle. Podniósł się gwar wielu głosów – krzyki gniewu, protestu, niezadowolenia, gratulacje. Kiedy tłum rozproszył się trochę, ukazała się krępa postać Eberhosa. Postępował w ślad za jasnowłosym najemnikiem – Waldannem, którego szerokie ramiona uginały się pod ciężarem wypchanej skórnej torby.

Zaczerwieniona twarz Eberhosa jaśniała szerokim uśmiechem. – Wygrałem wszystko! – oświadczył. – Nikt nie miał dość złota ani odwagi, by grać ze mną dalej. – Nonszalanckim gestem sypnął garść złota na stół – Tu masz swoją setkę, a tu masz kolejną, tak jak obiecałem: I nie nazywaj nikogo pochopnie głupcem. A teraz rzeźba, proszę.

Dźwięki fujarki umilkły raptownie. Eberhos napotkał spojrzenie zimnych oczu Kane'a i jego szydery triumf nagle przygasł. Nie patrząc na złoto. Kane pchnął je z powrotem do asystenta alchemika. – Nie jesteś mi nic dłużny – wyjaśnił. – Zdecydowałem się zatrzymać figurkę. Już ci za nią zapłaciłem.

Cień zmartwienia wkradł się na rozświetloną uczuciem zwycięstwa twarz Eberhosa.

– Nie sprzedałem jej, Kane – to była tylko dodatkowa gwarancja. Ja dopełniłem mojego zobowiązania. Tu jest setka w złocie, jak obiecałem, a teraz potrzebuję rzeźby. – Zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po onyksową figurkę leżącą przed Opyrosem.

– Nie robiłbym tego – poradził Kane.

Eberhos łamał palce, zdenerwowany i gniewny. Ale jednak nie odważył się sięgnąć po rzeźbę. – Muszę dostać ją z powrotem, zanim Damatjyst zauważy jej brak – wyjaśnił.

– No cóż, po prostu powiedz swojemu panu to samo, co powiedziałbyś, gdybyś przegrał pieniądze, które ci dałem – zaproponował Kane bez współczucia. – Albo, skoro jesteś teraz bogaty, dlaczego nie zobaczysz, czy któreś z miast na południe nie potrzebuje kolejnego alchemika?

– Dobrze, dam ci za nią dwieście.

Kane potrząsnął głową, obojętny uśmiech pojawił się na jego ustach.

– Dwieście pięćdziesiąt – nie więcej!

– Ale wcześniej uznałeś, że rzeźba jest bezcenna.

– Wymień swoją cenę, psiakrew! Nie odważę się narażać na gniew Damatjysta.

– Mój gniew może się okazać groźniejszy – odparował Kane. Żył nabrzmiały na grubej szyi rozwścieczonego Eberhosa, sięgnął ręką do rękojeści miecza. Stojący za nim Waldann niespokojnie przesunął obciążone złotem torby. Webbre i Haigan nonszalancko zbliżyli się i stanęli z obu boków Kane'a – ich brutalne twarze uśmiechały się do alchemika szydery. LevarDOS, nie zmieniając kamiennego wyrazu twarzy, cofnął swoje krzesło. Szybki rzut oka dookoła ujawnił, że pozostali ludzie Kane'a przybliżają się z wolna, kładąc ręce na broni. Przysadzistą postać Stancheka można było zobaczyć, jak mamrocze instrukcje swojemu pomocnikowi, który ruszył bez pośpiechu, by zamknąć drzwi.

Kane wziął rzeźbę ze stołu i zaczął obracać ją w palcach; uśmiechał się urągliwie, a z jego oczu

patrzyła śmierć. I Eberhos wiedział, że śmierć krąży naprawdę blisko.

– Do diabła co mnie obchodzi gniew Damatjysta – roześmiał się nagle. Zabrzmiało to jak agonalne rżenie. – Nauczyłem się wszystkiego, czego stary skąpiec mógł mnie nauczyć. Mam dosyć złota, żeby ułożyć moje życie jak zechcę. Zatrzymaj przekłętą rzeźbę, jeśli sprawia ci to przyjemność, Kane – jeśli Damatjyst chce ją mieć, niech sam szuka. Mam zamiar znaleźć kolejną tawernę i kilku bogatych głupców, którzy zagrają ze mną.

Drżącymi palcami zebrał złote monety, i uśmiechając się służalczo ruszył do drzwi. Przerażony Waldann przylgnął do jego pleców niczym cień i obaj znikli za podartą kurtyną.

Webbre i Haigan zaśmiali się, zagwizdali i ścisnęli przestraszoną tancerkę między sobą. Opyros wziął rzeźbę z rąk Kane'a i przypatrywał się jej ze czcią. Levardos pozwolił sobie na słaby uśmiech.

Kane spostrzegł kpiarskie gesty Stancheka i potrząsnął głową z dezaprobatą. – Jego szczęście go uratowało – odparł na milczące pytanie w oczach Levardosa. – Kilka tysięcy w złocie, jeden człowiek do ochrony i sukinsyn wyszedł stąd żywy. Stanchek myśli, że miałem zamiar się tym zaopiekować.

– Możemy go jeszcze znaleźć – zaproponował jego zastępca, podnosząc się.

– Nie licz na to – poradził Kane. – Niemniej jednak zrobiłem sobie śmiertelnego wroga, a kiedy miałem szansę, pozwoliłem mu odejść. Levardos, czy kiedykolwiek przedtem byłem tak nieostrożny?

– Nie – przyznał tamten i wsunął swój sztylet z powrotem w ukrytą w rękawie pochwę.

III

PRZED ŚWITEM

Kane ciągle wpatrywał się ponuro w zasłonięte wejście. Opyrosowi przyszło na myśl, że jego fascynacja czarną figurką może sprowadzić na Kane'a nieprzewidziane kłopoty. Ostatecznie Kane miał liczne interesy z alchemikiem, a było prawie pewne, że Damatjyst dowie się, w czyje ręce wpadła rzeźba.

– Nie martw się Eberhosem – uspokoił go Kane, kiedy poeta podzielił się swymi wątpliwościami. – Jeśli nie jest głupszy niż myślałem, jeszcze tej nocy będzie daleko od Enseljos. Damatjyst z pewnością obwini go o kradzież, a w tych sprawach jest bardzo pamiętliwy.

– Teraz rzeźba jest twoja i ciekaw jestem, co chcesz z nią zrobić?

Ale poeta już podjął decyzję. – Jak powiedziałem, mam nadzieję wezwać Klinure – by pójść jej śladem w tajemnicze królestwo snu. Będę wdzięczny, jeśli pokażesz mi odpowiednie czary. Myślę, że twoja wiedza o tych rzeczach jest daleko głębsza niż zechciałeś wyjawić. Ale jeśli jesteś temu przeciwny, będę szukał wiadomości o tych czarach na własną rękę i gdzie się tylko da.

– Odkrycie ich mogłoby wymagać trochę wysiłku – powiedział Kane. – Nie, jeśli jesteś przekonany, zrobię czego chcesz. Ale stopień ryzyka jest niewiadomy. Myślę, że możesz poczekać, aż twoje myśli będą trochę jaśniejsze niż dzisiaj.

– Mam ochotę spróbować tego jak najszybciej – stwierdził Opyros. Nappełnił swój kufel starannie. – Ale dobrze, poczekam. Chcę, żeby moje myśli rozchmurzyły się przed tą próbą. Spróbujemy jutro?

– Jutro w nocy, jeśli sobie życzysz – zgodził się Kane. Noc jest królestwem Klinure. Wydam odpowiednie zarządzenia. – Gdzie? Moja pracownia będzie dobra?

Kane potrząsnął głową. – Myślę, że znajdziemy lepsze miejsce. Atmosfera jest rzeczą niezmiernie ważną, potrzebujemy samotności – miejsca wolnego od złych emanacji, gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Sny pozostają pod wpływem otoczenia, w jakim znajduje się śniący. Genius loci Enseljos nie sprzyja marzeniom, których szukasz. Myślę, że Stare Miasto posiada nastrój, jakiego pragniesz; jedna z jego świątyń powinna zachować jeszcze okultystyczne fluidy, umożliwiające łączność duchową z mroczną muzą.

– Świątynia Vaula jeszcze stoi – zasugerował Opyros.

– To wojowniczy bóg o nieco zimnej i prozaicznej naturze – zaprotestował Kane. – Myślałem o świątyni Shenan. Księżycowa bogini powinna sprzyjać tej próbie.

– Nie wiedziałem, że jej kult sięga tak daleko na północ. Gdzie jest jej świątynia?

– Pokażę ci – wymijająco obiecał Kane i zaczął rozprawiać o kulcie Shenan w czasach Starego Miasta.

Rozmawiali do późna w nocy. Levardos opuścił ich na chwilę, by wypełnić jakieś polecenie. Kiedy wrócił i wdał się na stronie w cichą rozmowę z Kane'em, Opyros poczuł się zmęczony i zaczął ziewać. Niezliczone kufle piwa, w końcu przytępiły jego storturowane przez narkotyki nerwy, wyгнаły z jego umysłu głosy i obrazy. Opyros zdecydował, z niespodziewaną rzeczowością, że jest dostatecznie pijany.

– No myślę, że będę ruszał do domu i trochę odpoczną ogłosił tłumiąc czkawkę. – Czy może lepiej tego nie robić? Może powinienem wytrwać jak najdłużej, żeby móc zasnąć jutro w nocy?

– Nie, odpocznij trochę – powiedział Kane. – Jeśli wszystko się nam powiedzie, nie będziesz potrzebował zasypiać. Klinure sama poprowadzi cię poza bramy snu.

– A więc do jutra wieczorem – wycedził poeta, nieporadnie zabierając swoje luźne kartki. Onyksową figurkę już wcześniej zapakował i przymocował do pasa.

– Poczekaj. Pójdę z tobą – zaproponował Kane. Skinął na swoich ludzi, by szli za nim. – Gdybyś przypadkiem wpadł na Eberhosa, mógłbyś drogo zapłacić za ryzyko, na jakie go dziś naraziłeś.

Kiedy opuścili „Stancheka”, świt był już blisko. Niebo było jeszcze ciemne, ale gwiazdy zaczynały już blednąć. Było zimno i bardzo cicho. Świeże nocne powietrze, wdychane po zadymionej, stęchłej atmosferze tawerny, oszałamiało niczym alkohol. Przechodniów spotykało się niewielu; była to ta godzina, kiedy nawet ci, którzy gardzili snem, załatwiali swoje sprawy za drzwiami.

Z pewnością nie była to pora dnia, kiedy Kane mógł spodziewać się, że zostanie zaczepiony przez żebraczkę. Najpierw usłyszeli w ciemności jej zawodzące szlochanie, a potem dobiegł ich odgłos powłóczenia nogami. W mdłym blasku latarni dostrzegli jej postać, która wkroczyła w blask pochodni trzymanej przez Haigana.

– Proszę, miły panie, proszę, ofiaruj monetę biednej matce. Grosz dla biednej matki i jej dziecka. – Nie była stara, choć brudne łachmany i wynędzniała twarz dodawały jej wiele lat. Dziecko, tak owinięte w szmaty że przypominało bezkształtny tobołek, ssało pierś, z twarzą nakrytą jej szalem.

Haigen ruszył, by ją przegnać, ale uderzony szalonym blaskiem jej oczu zdecydował się przepuścić kobietę.

– Kane! Czy to naprawdę ty, panie – jęknęła przysuwając się do niego. – Ach, Kane, będziesz skąpił grosza na pomoc matce i jej choremu maleństwu? Ono jeszcze ma co jeść, ale jeśli nie znajdę pieniędzy na chleb i mięso, ono także będzie musiało szukać pożywienia gdzie indziej.

Jej blada twarz wydawała się Kane'owi znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją spotkał.

– Dlaczego żebrzesz w nocy, gdy nie ma ludzi na ulicy mruknał szturchając ją palcem.

– W dzień niknę w tłumie. Poza tym uczciwi ludzie nie chcą mnie widzieć na ulicach – jęknęła.

– Strażnicy nie mają litości nad biedną matką i jej synem. – Otaczał ją ciężki odór nie tyle nędzy, co kostnicy.

Choć jego palce natrafiły na drobną monetę, nagły kaprys pchnął Kane'a, by powierzyć w wychudzone ręce kobiety trochę złota. To pozwoli kupić żywność i odzienie na wiele miesięcy.

– Niech Pan Thróellet roztoczy nad tobą skrzydła swej opieki – błogosławiła go. ściskając kurczowo monetę, jakby chciała ją zmiażdżyć. Przysunęła się bliżej.

Zniżyła głos. – Za zakrętem jest ośmiu mężczyzn, którzy czekają w zaułku. Dwóch ma kusze. Mówili o tobie.

Szybko prześliznęła się obok nich, nucąc coś cicho dziecku. Przełożyła je, by mogło ssać drugą pierś; niemowlę wydało krótki okrzyk – bardziej warknięcie niż kwilenie. Kane usłyszał niepokojący furkoczący dźwięk przypominający trzepotanie skrzydeł. Potem słyszeli tylko zanikające w ciemnościach nucenie kobiety.

. Dziwne – zauważył Opyros – błogosławiła cię imieniem demona.

Mówiła o zasadzce – powiedział Levardos, który stał na tyle blisko, że wszystko usłyszał. – Powinniśmy może wrócić po więcej ludzi, albo pójść inną drogą. Do diabła – to ten sukinsyn Eberhos – zasadził się na nas na ulicy, która prowadzi do domu Opyrosa.

– Też tak myślę – odburknął Kane. – Ale jeśli to nie jest Eberhos, chcę wiedzieć kto się na to ośmielił. Nie, nie będziemy tracić czasu wracając po więcej ludzi – jeśli zobaczą naszą pochodnię,

będą bardziej podejrzliwi i mogą zmienić pozycję. Od kiedy wiemy, że nas oczekują, pułapka może się zwrócić przeciwko nim.

– Przewyższają nas liczebnie i mają kusze – zwrócił uwagę Webbre.

– Nie płacę ci za to, by słuchać jak dmuchasz w fujarkę odparł Kane.

Haigan położył rękę na ramieniu brata.

– Nie martw się, mały braciszku. Wybiorę dla ciebie specjalnie najmniejszego.

Webbre wyszczerzył zęby i odepchnął go. – Troszcz się o tę przekłętą pochodnię.

– Uciszcie się! – warknął Kane. – Koniec tego stania, bo zaczną coś podejrzewać. A teraz słuchajcie. Ja pójdę dookoła i zajmę się kusznikami. Wy idźcie wolno do zakrętu z pochodnią, tak by mogli zobaczyć zbliżające się światło. Zatrzymajcie się, zanim was zobaczę – Opyros, ty ryknij, że upuściłeś rzeźbę – i wszyscy wróćcie ze światłem i udawajcie, że szukacie. To powinno dać mi dość czasu na dostanie się do zaułka od drugiej strony. Kiedy krzyknę, biegnijcie do mnie prędko.

Widzę, że zrozumieli, Kane bezszelestnie zniknął w mroku, biegnąc jak mógł najszybciej bez robienia hałasu.

– Widzi w nocy jak kot – mruknął Levardos, kiedy Kane przepadł w głębokim cieniu.

Enseljos było zbudowane bez jakiegokolwiek konsekwentnego planu. Kręte aleje krzyżowały się na zasadzie zupełnego przypadku, z równie chaotycznie biegnącymi ulicami. Między tą splątana siecią leżały wysepki posiadłości miejskich.

Dzielnica, w której się znajdowali, była w całości przeznaczona na sklepy i małe mieszkania – często połączone – z centralnym wewnętrznym dziedzińcem. Zaułek, gdzie przyczaili się napastnicy miał wejście na takie właśnie wewnętrzne podwórko – brudne odludzie ze stertami odpadków, małą działką warzywną i zagrodą dla zwierząt.

Kane bez wahania wybierał najkrótszą drogę dookoła bloku budynków. Jego bieg wydawał się pozornie nierozważny, ale wszystkie zmysły trwały w ostrym pogotowiu, gotowe reagować na najmniejszy znak niebezpieczeństwa. Trzymał się głębokiego cienia rzucanego przez ściany – gdzie nie docierało nawet przyćmione światło gwiazd, przesuając się szybko i cicho jak cień. On ryzykował najwięcej, ale nie miał ochoty powierzać tego zadania żadnemu ze swoich ludzi. Ciche warknięcie skradającego się drapieżcy poruszyło usta Kane'a, a gniew zapalił błękitne błyski w jego oczach mordercy.

Raptownie zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Przypomniawszy sobie, że ten budynek stał pusty od kilku miesięcy. Ciężka kłódka zabezpieczająca drzwi umieszczona została bardziej dla ochrony przed dzikimi lokatorami niż złodziejami, bo budynek nie miał specjalnej wartości. Sforsowanie drzwi nie wymagałoby wiele wysiłku – wystarczyłoby raz się natężyć, aby wyrwać zamek razem z klamrami. Ale nie obeszłoby się bez hałasu, a miasto leżało w ciszy. Kane wy dobył z buta cienkie metalowe ostrze; po chwili drzwi stały otworem. Ostrożnie pchnął je i wszedł do pustego sklepu. Przywitała go tylko cisza i miękko toczące się kłęby kurzu.

Skradającym się krokiem posuwał się przez pusty pokój w stronę zaplecza. Kolejne drzwi prowadziły na podwórko. Ciężka drewniana sztaba zablokowała się. By wydostać się na zewnątrz, musiał ją odkręcić. Zgrzyt zabrzmiał w ciszy niczym eksplozja, ale wątpił, czy mogło to zaniepokoić tych w zaułku. Myśląc o oczekujących go kusznikach wetknął szpikulec w zawiasy, potem stopniowo otwierał drzwi – bezgłośnie – na tyle, by móc się przez nie przecisnąć.

Żadna niewidoczna strzała nie wbiła się w jego ciało. Zadowolony, że podwórze zapchane jest jakimiś odpadkami, prześlizgnął się przez wejście i pochylił nisko ku ziemi. Rozejrzał się uważnie, ale w kwadracie podwórza nie krył się żaden wróg. Z precyzyjną szybkością, nie zwracając uwagi na ciemności i przeszkody, przemykał się przez dziedzińec.

Przy wylocie zaułka podwoił uwagę. Dostrzegł już niewyraźne postacie skulone na przeciwległym końcu uliczki, nie więcej niż 60 stóp od niego. Przynajmniej dwóch patrzyło w jego stronę, ale nie zauważyli skradającej się postaci. Nienaturalna wręcz zdolność widzenia w ciemnościach umożliwiła Kane'owi rozpoznanie dwóch mężczyzn, którzy oczekiwali z napiętymi kuszami. Ich uwaga skupiała się na ludziach Kane'a, których głosy zbliżały się wśród nocy. Ale w każdej chwili mogli wyczuć śmierć podkradającą się ku nim od tyłu.

Kane wkroczył w zaułek. Z obu butów wyciągnął noże dwa spłaszczone ostrza, przymierzył się do rzutu. Jego lewe ramię wykonało błyskawiczny ruch, niczym atakująca kobra; niemal w tej samej sekundzie prawe ramię odwinęło się z identyczną śmiertcionołą precyzją.

Zaczajonym napastnikom zdawało się, że morderczy upiór stanął pomiędzy nimi. Tępe uderzenie i śmiertelny, przerażający ryk – noże osiągnęły swój cel. Dwóch kuszników zatoczyło się i runęło na ziemię z ostrzami tkwiącymi w plecach. Zakończone żelazem strzały, wypuszczone przez skurcz ich palców, uderzyły w bruk krzesząc snopy iskier.

Z dzikim okrzykiem Kane porwał miecz w lewą rękę i skoczył w zaułek. Jego przeciwnicy czekali w ciemności; niewyraźnie mignęła przed nimi sylwetka napastnika. Błysk stali i odgłos uderzenia – kolejny przeciwnik runął z poszarpaną pierśią, nie zobaczywszy nawet twarzy swego mordercy.

Potem ktoś wyciągnął latarnię, ukrytą za kilkoma kamieniami. Jej blask na moment oślepił wszystkich. Po chwili pięciu zaskoczonych morderców ujrzało stojącego na przeciw nich tylko jednego człowieka. Ale nim uświadomili sobie kim jest ich wróg, wirujące ostrze miecza Kane'a przebiło gardło kolejnego z nich. Teraz byli już tylko w czwórkę.

Podnosząc ostrza ruszyli na Kane'a. Pierwszy, który się zbliżył, stracił miecz wraz z ręką i uciekł z wrzaskiem w noc, obryzgując bruk strumieniami krwi. Potem Kane skrzyżował ostrze stali z bardziej doświadczonego napastnikiem. Teraz musiał walczyć z gorączkową szybkością, by obronić się przed atakami pozostałych dwóch. Odpierał ich ciosy nożem trzymanym w prawej dłoni, zwinnie unikając desperackich pchnięć.

Ale w tej sekundzie jego ludzie wpadli do zaułka i włączyli się w bijatykę.

Levardos szybko uporał się z jednym z napastników, w tym samym czasie Kane zagłębił wreszcie swe twarde ostrze w sercu walczącego z nim człowieka. Ostatni z napastników uciekł na podwórze; Webbre i Haigan pospieszyli jego śladem. Rozległ się hałas wywracanych śmieci, agonalny krzyk i bracia wrócili z minami pełnymi satysfakcji.

– Nie sądzę, że zostawiliście go przy życiu, bym mógł zadać mu pytanie? – wysapał Kane.

Bracia spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Nie szkodzi, Kane – powiedział Levardos, trzymając pochodnię nad twarzą zabitego mężczyzny. – To jest Waldann był u Stancheka razem z Eberhosem.

Kane chrząknął. – Ten zasrany skurwysyn użył swego złota, by wynająć tę zgraję szcurków ściekowych. Musiał się domyślić, że Opyros nie będzie wracał sam. Ale na Boga, to nie było nasze ostatnie spotkanie!

IV ZA BRAMĄ SNU

Zmierzch zaczynał już zapadać, kiedy zbliżyli się do Starego Miasta. Tuż za Opyrosem jechała na koniu Ceteol – wysoki kołnierz maskował jej posiniaczone gardło. Dlaczego wybrała się z nimi, Opyros nie mógł rozstrzygnąć. Kiedy nad ranem powrócił do pałacu, przyskoczyła do niego klnąc okropnie; drapiąc i walcząc, dopóki nie pochwycił jej w pijany uścisk i nie opowiedział nocnej przygody. Miał nadzieję, że głośno wyrażone pragnienie, by zobaczyć jak w wyniku tych niemoralnych praktyk trafia go w końcu szlag, nie było prawdziwym motywem towarzyszenia mu w wyprawie.

Kane był w ponurym nastroju: rozesłał swych ludzi w poszukiwaniu Eberhosa jeszcze przed świtem, ale nie natrafili na żaden ślad alchemika. Na wszelki wypadek, oprócz Levardosa, Webbre i Haigana, zabrał ze sobą nowych ludzi – Hefa i jastrzębionosego rzeźmieszka o imieniu Boulus. Czy mógłby podjąć jeszcze jedną próbę odzyskania rzeźby, czy też – a to wydawało się bardziej prawdopodobne – uciekł już z miasta? Kane nie mógł tego odgadnąć. Miał raczej nadzieję, że alchemik nie odważy się na tak zuchwały krok.

Rozpalony duchem przygody Opyros był wyjątkowo rozmowny i rzeczywiście udało mu się w końcu rozproszyć posępny nastrój Kane'a. Przysłuchiwał się on słowom poety i kiedy ten mówił o swych nadziejach na spotkanie z muzą, o swym pragnieniu zbadania nieznanych cudów w krainie snu, Kane z wolna zaczął podzielać entuzjazm Opyrosa. Otworzyć bramy snu... Kane także odczuwał głęboką fascynację dla takich eksploracji. Oczywiście – było w tym ryzyko, niewiadome ryzyko – ale czy jakakolwiek wielka przygoda była kiedykolwiek wolna od niebezpieczeństwa? Czy można w ogóle mówić o przygodzie, jeśli nie ma niebezpieczeństwa? Spokój to nuda, nuda to stagnacja, a stagnacja równa się śmierci. Kane słuchał i przytakiwał, dorzucał własne myśli. Kiedy otworzyły się przed nimi zarośnięte drzewami ściany Starego Miasta, Kane był już zupełnie przekonany i przyglądał się onyksowej figurce z zamyśloną miną.

– Znowu ten przeklęty cień – zauważyła nagle Ceteol. – Cień? – spytał Opyros.

– Znowu przemknął – powiedziała z niezadowoloną miną. Wskazała ręką. – Widzisz jak nasze cienie rozciągają się sznurem w jednej linii? – Chylące się ku zachodowi słońce dawało jeszcze dość światła, by rzucać wrzecionowate cienie jeźdźców i zniekształcone cienie drzew wszędzie tam, gdzie spleciona roślinność przerzedzała się i dopuszczała trochę światła na nieuczęszczaną drogę. – Widzę go od dłuższego czasu – kontynuowała Ceteol – dokładnie na granicy mego wzroku. Mogę dostrzec go kącikiem oka. Kiedy wjeżdżamy w słoneczne miejsca, widzę nasze cienie. Ale od pewnego czasu coś mi się w tym nie podoba, ponieważ powinnam widzieć swój cień i cienie dwóch jadących za mną mężczyzn – ale ja widzę trzy cienie postępujące w ślad za moim.

– Co on ci przypomina? – chciał wiedzieć Kane. – Może to być jeździec na koniu?

– Nie, to nie to – zacisnęła dłonie łamiąc palce. – To tak jakby coś pełzło.

Opyros roześmiał się i zajrzał jej w oczy. – Twój wzrok jest ciągle zmacony przez narkotyki, kochanie. Ale to niedługo minie.

Odrzucając w tył brązowe włosy, Ceteol zrobiła gniewną minę, – Może widzę cienie, ale to nie ja wczoraj prawie udusiłam dziewczynę, a potem wyszłam i upiłam się ze złodziejami i mordercami. Więc nie wyśmiewaj się ze mnie, do cholery!

– Powiedz mi kiedy znów to zobaczysz – zażądał Kane, a potem zwrócił się do Opyrosa. – Nie mówiłeś nikomu, gdzie się wybieramy, od czasu, gdy cię opuściłem?

Poeta potrząsnął głową próbując wyjaśnić, że wiele przeczuć Ceteol jest zwykłą przesadą. –

Nie mówiłem nikomu poza Ceteol. Prawdę mówiąc, położyłem się od razu do łóżka i spałem prawie do chwili, aż mnie zawołałeś. Pamiętam, że te przeklęte psy zaczęły wyć – i obudziły mnie.

– Nie widziałem ich kiedy podjechaliśmy – zadumał się Kane.

– W takim razie ktoś je stamtąd przegnał. Ale gdzie wśród tych wszystkich ruin jest świątynia Shenan?

– Niedaleko, choć trochę w bok od głównego rumowiska. Stare Miasto miało pewien widmowy urok w panującym tu półcieniu; melancholijny spokój starożytnych murów rozsypujących się powoli w proch wraz ze swoimi tajemniczymi wspomnieniami. Porównywane ze swoim rozwalającym się potomkiem – Enseljos, musiało być kiedyś imponujące. Większość budynków była drewniana i z tych już od dawna pozostały tylko hałdy ziemi okryte całunem chwastów – zapomniane leśne groby. Tam i ówdzie samotna kamienna ściana lub kawałek kamiennej rzeźby wskazywały położenie jakiejś antycznej budowli. Ale o wiele częściej spotykało się tylko zarośnięte zagłębienia wzdłuż zatartych ulic – miejsca wskazujące, że znajdowały się tu fundamenty dawno zawalonych mieszkań. Ciągle jeszcze spotykało się jednak miejsca, gdzie ściany najbardziej imponujących budynków Starego Miasta stawiały uporczywy opór działaniu czasu i wznosiły się, zmęczone, choć ciągle niepokonane. W miarę jak półmrok pogłębiał się, ciemność zdawała się wypełzać z tych niszczejących szkieletów, z ziejących wejść i ślepych okien i mieszać z gęstniejącymi cieniami lasu.

– Tutaj – ogłosił Kane i skierował swego konia w najbardziej zbity i splątany gąszcz. Poranny deszcz zmoczył las, więc przedzieranie się między drzewami było dość nieprzyjemne boki koni i nogi jeźdźców nasiąkły wodą.

Nikłe światło padało na omszałą kamienną budowlę stojącą w mrocznej samotności pośród rozpychających się drzew. Jej mury wznosiły się prawie nietknięte przez wdzierające się zewsząd gałęzie, podparte i sklepienie zgodnie z południowym stylem. Część świątyni zachowała jeszcze wygięte w łuk stropy. Głęboki cień panujący wewnątrz sprawił, że nie rozrosło się tu poszycie, które zniszczyło większość ruin Starego Miasta, ale mijający czas zaśmiecił podłogę odpadającymi tynkami i kawałkami kamiennych ścian i rzeźb. Kiedy półmrok zamknął się nad ruiną świątyni, miękkie skórzane kurtyny, które zwieszały się girlandami z jej wysoko sklepionych sufitów, trzepotały niczym tysiące skrzydeł, poruszane powiewem ze szczelin w popękanych ścianach.

Kane zeskoczył z konia i rozkazał swym ludziom, by usunęli kamienne wysypisko, które blokowało wejście. Poeta cisnął się naprzód w podnieceniu; Ceteol z pełną powściągliwością ciekawością szła za nim, jej plisowana spódnica sięgająca za łydki uderzała o wysokie buty do konnej jazdy.

Kiedy tylko rozpalili parę pochodni, Kane dołączył do nich i w czasie, gdy jego ludzie torowali drogę przez kamienne osypisko, zaczął opowiadać historię świątyni, podnosząc pochodnię, by ukazać interesujące architektonicznie fragmenty. Opyros po raz kolejny poczuł niespokojne zdziwienie, że Kane z tak nonszalancką poufałością rozprawia o ruinach.

Światło księżyca rozlało się już płynnym srebrem na zastygłe kamienie, kiedy Kane rozkazał zakończyć pracę. Powódź księżycowego blasku wlewała się przez wysokie wąskie okna i pęknięcia w ścianach, gromadziła się w głębokim basenie obok ołtarza, gdzie ogromny kolisty otwór w dachu ukazywał to samo nocne niebo, do którego kapłanki minionych wieków zanosily swe monotonne śpiewy. W niektórych miejscach, gdzie nie było śmieci, wilgotne kamienne płyty zachowały jeszcze ślady dziwnych wzorów mozaiki.

Na znak Kane'a Levardos rozstawił na zewnątrz posterunki. Jego ludzie dostawali dobrą zapłatę i jeśli szef postanowił stracić noc spełniając bezbożne zachcianki obłąkanego poety, to była to jego sprawa. Ich sprawą było wyglądać Eberhosa na wypadek, gdyby podązał za nimi z kolejną zgrają

najemników. Mógł uniknąć gniewu Kane'a, nie mieli nic przeciw temu, ale jeśli nie... ich ostrza były gotowe.

Kane obrócił się do swego przyjaciela. – W porządku? rzekł na pół pytająco.

Zapał poety nie zmniejszył się. – Jestem gotów, jeśli i ty jesteś, Kane. To miejsce jest doskonałe – naprawdę! Atmosfera jest... do diabła, próbowałam raz za razem wydobyć coś takiego w moich wersach! Jakie sny unoszą się tutaj wokół nas! Kane, jeśli tylko muza przyjdzie do mnie tej nocy... Czuję, że mogę... mogę... Czuję, że mogę uchwycić inspirację, której tak długo poszukiwałem! Dziś w nocy z mej duszy mogłyby wydobyć się nie tylko „Nocne Wiatry”, ale i setki innych wierszy!

Gorzki uśmiech wykrzywił twarz Kane'a. – A więc jak sobie życzysz – powiedział. Wyciągnął rękę. – Posążek.

Opyros dał rzeźbę w jego ręce. – Żadnych zbutwiałych ksiąg? Żadnych złych dymów i ogni? Żadnych symbolicznych znaków? – Ale było to bardziej nadrabianie miną, niż rzeczywista kpina.

– Tak jak mówiłem to proste czary – odparł Kane spokojnie. – Potrzebuję kropli twojej krwi.

I kiedy Ceteol przyglądała się im nieodgadnionym wzrokiem, poprowadził poetę w kałużę księżycowego światła; tu, przy zapomnianym ołtarzu, wykonanym z kamienia bez skazy, odprawił te zaklęcia, których żądał rytuał.

Teraz wydało się poecie, że rytmiczny zaśpiew Kane'a faluje niczym echo hipnotycznie odpływa i przyplływa znowu. Ściany świątyni wydawały się oddalać; światło księżycy i cień zlały się w jeden wir bezkształtnych obrazów. Nawet uczucie zimnego ucisku twardych kamieni na jego plecy, kiedy leżał obok onyksowej rzeźby – oddalało się. Fizyczne doznania oddzieliły się od psychicznej świadomości.

Nie leżał już obok figurki z rzeźbionego onyksu. Posążek rozmazał się, zaczął się gwałtownie powiększać – czy to może on tak zmałał? Czuł jakiś ruch, zawrót głowy... Obok niego leżała teraz sama ciemność – nie postać w czerni, ale skondensowana czerń. Trójwymiarowy cień nagiej dziewczyny. Cień mrocznej muzy.

Poruszyła się. Klinure obróciła się ku niemu ociężale. Zobaczyła go – ciemny profil uśmiechnął się zapraszająco... Okrutna obojętność jej uśmiechu... Skinęła ręką. Opyros przysunął się ku niej; jego ramiona zamknęły się wokół hebanowej postaci. Jego ramiona także ukształtowane były z ciemności – całe jego ciało było teraz ciemnością. Ich ciała splotły się w miłosnym uścisku. Nadciągnęła szarpiąca ekstaza, nieznośny zawrót głowy. Potem ciemność znikła. Jego ciało powróciło do swych normalnych kształtów. W ramionach trzymał dziewczynę o delikatnej skórze i niesłychanej piękności, z ustami rozchylonymi w uśmiechu i oczami pełnymi ponadczasowej mądrości. Wyrwała się z jego objęć i ciągle trzymając jego ręce, zmusiła go do powstania (teraz zobaczył na czym leżeli), poprowadziła nie stawiającego oporu poetę naprzód.

I teraz zrozumiał zimne okrucieństwo na jej twarzy...

Ceteol dyszała ciężko. Migotliwa mgła, która na moment zaćmiła księżycowe światło koło ołtarza, nagle rozstała się na boki, wypływając w noc niczym widmowa zjawia. Tam gdzie przedtem leżał Opyros i czarna statuetka, teraz był tylko nagi kamień.

– Gdzie jesteś – gdzie on jest? – zawołała.

– Przekroczył bramę snu – mruknął Kane, cień zdumienia musnął jego twarz.

– Kiedy wróci? – upierała się Ceteol. – Cholera, jak on wróci?

Kane zmierzwił brodę. – To właśnie jest ryzyko, o którym mówiliśmy. Może wrócić kiedyś, kiedy sen, w który wrzuci go Klinure, skończy się. Kiedy – nie wiem. To zależy od tego, jak długo będą błądzić przez jej królestwo, zanim Opyros zostanie porwany przez strumień pojedynczego snu i jak długo ten sen będzie trwał. Tylko, na ile czas w świecie snu stosuje się do reguł czasu, który my

znamy? Tam upływ czasu zgodny jest z rytmem snu, a nie z naturalnymi prawami – godzina może mijać jak sekunda, albo na odwrót. Po diabła, jeśli już o tym mówimy, to jak właściwie kończy się sen? Czy jest jakiś moment końcowy pojedynczego snu, czy raczej zlewają się one ze sobą bez końca, aż śniący obudzi się i rozerwie potok obrazów?

– Nie wiesz! – arystokratyczna twarz Ceteol wykrzywiła się z emocji. – Niech cię diabli wezmą, Kane! Zabiłeś go!

– Może – wzruszył ramionami. – Ale Opyros zdecydował się spróbować, choć wyjaśniłem mu, jakie jest ryzyko.

– Czarodziej – mruknęła, jej twarz znowu była bez wyrazu. – Obaj jesteście dziwacy. Nie wiem, który większy. Zapatrzyła się w księżycowy krąg ołtarza, zgarbiona nieruchomo z kolanami podciągniętymi w górę, ramionami wciśniętymi między udami a ciałem i podbródkiem opartym na pięści.

– To może potrwać nawet całą noc – powiedział Kane z nieokreślonym gestem. – Moi ludzie rozpalili mały ogień przed wejściem by odpędzić wilgoć. Dlaczego tam nie poczekasz?

Ceteol potrząsnęła głową i zamruczała coś niewyraźnie. Jej szeroko otwarte oczy wydawały się wpatrywać w blask księżyca bez jednego mrugnięcia. Siedziała tak nadal, gdy Kane wrócił z pospiesznego obchodu swych ludzi, którzy nie mieli mu nic szczególnego do zaporowania. Ponieważ noc nie była zimna, Kane powiedział Levardosowi, by nie podtrzymywał ognia. Jeśli wrogowie szukali ich w ciemnościach, nie należało zdradzać swych pozycji jego blaskiem. Księżyc – zbliżający się do pełni – dawał dosyć światła oczom przyzwyczajonym do nocy. Para pochodni wewnątrz świątyni dawała wystarczająco światła jak na potrzeby Kane'a, a na zewnątrz, w ciemnościach, jego ludzie trzymali straż niewidoczni dla ewentualnego przeciwnika.

Nie było nic do roboty, jak tylko czekać. Kane wypił trochę wina z bukłaka, który zabrali ze sobą i ulokował się na skalnej płycie, by czuwać. Panowała cisza przerywana tylko regularnym oddechem dziewczyny. Kane pomyślał, że zasnęła. Ale Ceteol była całkowicie przytomna.

– Kane, ten cień jest tu znowu.

Odwrócił się, by spojrzeć we wskazanym kierunku – zbyt późno, aby zobaczyć jakiś określony kształt. Zdołał tylko dostrzec ruch, gdy coś mignęło w skrawku księżycowego światła przebijającego ciemność. Nie rozległ się żaden dźwięk.

– Nietoperz – powiedział. – Albo jakiś nocny ptak. – Tej wielkości?

Tylko Kane odczuł chłodne dotknięcie strachu, nagłą aurę niebezpieczeństwa, która płynęła przez zakrzepłe melancholijnie ruiny. I wiedział, że śmierć skrada się przez noc.

– Zostań tu – rozkazał. – Nie odzywaj się, dopóki nie będziesz musiała. – Jego miecz świsnął wyciągany z pochwy i Kane zniknął w rozciągających się na zewnątrz ciemnościach.

Levardos rozglądał się ze swego posterunku koło wejścia. Co jest? – Szepnął, widząc wyraz twarzy Kane'a.

– Nie wiem. Widziałeś, słyszałeś coś?

Mężczyzna o szczupłej twarzy potrząsnął głową. – Co jest? – powtórzył.

Kane przesunął się koło niego bez odpowiedzi, omijając stygnący popiół ogniska. Jakieś niebezpieczeństwo czaiło się w nocy, czuł to z całą pewnością. Ale co mogło kryć się wśród tych okrytych hebanowym całunem ruin?

Zaczął okrążyć świątynię. Ani Webbre, ani Haigan pełniący posterunki w pobliżu, nie zauważyli niczego nadzwyczajnego; wyrazili zdziwienie nagłym zaniepokojeniem swego szefa. Biorąc pod uwagę kierunek, z którego niewyraźny cień zdawał się przychodzić, Kane podwoił uwagę przemykając się dalej pod ścianami.

Księżyc nad jego głową rzucał niewyraźne, zniekształcone cienie poprzez splecione drzewa, świecił jasno na sterczące fragmenty rzeźb, porozrzucane dookoła niczym niepotrzebne kości. Podmokłe poszycie zarastało drewniane, zniszczone resztki, okrywało niewyraźne wybrzuszenia przywalonych kamieniami piwnic. Przez ten labirynt pułapek i ciernistych barykad Kane skradał się cicho, z wzniesionym mieczem, gotów w każdej chwili uderzyć w nieznaną groźbę, o której wiedział, że skrada się przez noc wraz z nim. Tak, niebezpieczeństwo było blisko, niebezpieczeństwo, które niosło ze sobą nieludzkie zło – zbyt często Kane kroczył ścieżkami tajemnej wiedzy, by zlekceważyć to podświadome ostrzeżenie. Może duch niepokoju, którego obecność czuł wcześniej, nie pojawił się, jak podejrzewał z powodu mrocznej muzy...

Zdecydował, że zapuścił się już wystarczająco daleko, ciągle nie znajdując żadnego powodu swego zaniepokojenia. Może to były po prostu nerwy; może wystraszył go tylko cień przelatującej sowy. Tylko, że nie mógł przekonać o tym sam siebie. Wracając w pobliże cichej świątyni, postanowił okrążyć ją i sprawdzić pozostałych dwóch ludzi.

Po chwili zatrzymał się. O ile nie zgubił drogi, Boulus powinien stać tu na posterunku. Nie ma po nim śladu. Kane zacisnął usta i rozejrzał się dokładniej. Nie mylił się. Tu był rozdarty uderzeniem pioruna dąb, w którego cieniu Boulus miał czekać. Widoczna w księżycowym blasku ziemia nie nosiła żadnych śladów walki. Nie powinien był opuszczać swego posterunku... chyba, że miał coś do zaraportowania.

Przeklinając samego siebie za oczywiste lekceważenie, Kane szybko ruszył z powrotem do świątyni. Poruszał się tak bezszelestnie, że stanął obok Hefa, zanim ten wezwał go do zatrzymania. Miecz Hefa błysnął przez chwilę, ale rozpoznał niezgrabną postać Kane'a.

– Nic – szepnął uśmiechając się ponuro, bo szef podszedł do niego niepostrzeżenie. – Boulus nie przechodził tędy? Właściwie nie potrzebował o to pytać.

Hef chrząknął przecząco. – Chyba, że prześliznął się obok mnie tak cicho jak ty.

– Coś jest niedobrze – zazgrzytał zębami Kane. – Nie ma go na posterunku. – Uczucie niebezpieczeństwa nasiliło się. Boulus powinien porozumieć się z Hefem, jeśli by zauważył coś złego na ich terenie. Ale wokół panowała tylko cisza.

– Może usunął się z drogi – zasugerował Hef. – Ruszasz się tak cicho; jeśli go nie widziałeś, on mógł nie widzieć ciebie. – Może. Sprawdzę jeszcze raz. Rozglądaj się. – Kane wymknął się ukradkiem w kierunku, z którego przyszedł.

Ale po Boulusie ciągle nie było śladu. Kane cicho zawołał jego imię – zatrwożony ryzykiem, na jakie go to narażało. Nie – nawet nie odezwało się echo. Nawet nocne ptaki milczały. Czy coś przstraszyło las i zmusiło go do milczenia?

Aura niebezpieczeństwa nasiliła się. Rozmyślając z wściekłością, Kane wrócił tam, gdzie zostawił Hefa. Silniej niż kiedykolwiek ogarnęło go uczucie czającego się strachu. Czy coś podkradało się do niego?

Znowu nie usłyszał wezwania. Hefa nie było na posterunku. Czując, jak naprężają mu się mięśnie na szyi, Kane nadal szukał Hefa. Nie było nic do oglądania; żadnego znaku zamieszania; nic. Ruszył ku świątyni, kiedy nagle zawadził o coś stopą. But. But Hefa. Oszołomiony, podniósł go.

Coś ciepłego i wilgotnego pociekło przez jego nadgarstki. Łydka ucięta była idealnie w miejscu, gdzie kończyła się wyprawiona skóra buta. Nie rozległ się żaden dźwięk.

Levardos spostrzegł zdenerwowanie Kane'a, kiedy ten wynurzył się z nocnego lasu. Napotkał nagłące pytanie we wzroku Kane'a i potrząsnął głową, jego pergaminowo blada twarz była czujna.

Szorstkim szeptem Kane zawołał do Webbrego i Haigana, by ściągnęli natychmiast z powrotem. W otaczającym gąszczu słyszeli stłumione hałasy. Coś złego, coś śmiertelnego krążyło blisko, bardzo

blisko.

– Kane! Co to jest? – zasyczał Levardos.

– Nie jestem pewny – zazgrzytał. – Boulus zniknął. Hef także. W czasie kilku minut coś zabrało Hefa – w odległości kilku jardów ode mnie, a mimo to nie słyszałem nic. Została tylko jego stopa leżąca na ziemi jak porzucony but!

– Dlaczego nie było żadnych odgłosów ataku? Powinieneś być słyszeć zgrzyt stali. Człowiek wrzeszczy, kiedy ostrze ucina mu nogę!

Twarz Kane'a była zmartwiona. – To nie ostrze mu ją obcięło. Nie było tam więcej krwi, niż z rozlanego kieliszka wina. Coś porwało go w górę, coś ze szczękami niczym smok szczękami, które może zamknąć na człowieku w jednej chwili i nie zauważyć, jeśli drobny kawałek ciała odpadnie od jego tnących kłów.

– Ale tak olbrzymie zwierzę! – zaprotestował jego zastępca. – Widzielibyśmy je – słyszeliśmy!

– Ale nie słyszeliśmy.

Dwaj bracia wybiegli z gąszczu.

– Szybko! Do świątyni! – rzucił Kane zwięźle. – Cokolwiek jest na zewnątrz, ściany mogą nas trochę obronić!

Spełtane konie zaczęły tupać i przybliżać się. Przez sekundę Kane zastanowił się, czy pozostawić je własnemu losowi, potem zdecydował, że lepiej nie być zdanym na własne nogi. – Zabierzcie konie – rozkazał Webbemu i Haiganowi.

Kiedy wsunął się przez wejście, wiedział, że coś jest nie w porządku. Zostawił palącą się pochodnię koło ołtarza; leżała teraz zgaszona na kamiennych kaflach. Ceteol zniknęła.

Kane wyciągnął pozostałą pochodnię ze szpary w ścianie. Była już prawie wypalona. Może tamta spadła i zgasła. Ceteol? Nie było czasu na domysły. Z zewnątrz dobiegł przeraźliwy wrzask. Drugi głos – grmiący bas Webbrego – przeklinał i wył. Potem okropne rżenie koni zagłuszyło wszystko. W huku walących o ziemię kopyt, konie pognały w noc.

Kane zakręcił pochodnią, aż rozbłysła jaskrawym światłem. Ostrza mieczy załśniły żółto, kiedy on i Levardos wyskoczyli z opustoszałej świątyni. Gałęzie trzęsły się; zad ostatniego konia wtapiał się w ciemność. Dwaj bracia zniknęli. Kane zawołał tylko raz, bo nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi.

– Ten cień! – westchnął Levardos, wskazując. – Ach – zasyczał Kane i podniósł pochodnię.

Nie widzieli żadnej formy. Tylko wyłaniający się cień, który wił się między drzewami, sunął przez zwalone kamienie. Cofał się zbyt szybko, by można dostrzec jego kształt.

– Co to jest? Gdzie to jest? – ciężko łapał oddech Levardos. Światło pochodni nie wydobyło niczego, co mogłoby rzucać taki cień – nie rozległ się żaden dźwięk, nic się nie poruszyło.

– Coś nad głową? – zastanowił się Kane, choć sposób, w jaki pełzający cień polował, przeczył temu przypuszczeniu. Głównia migotała i dymiała. Smoła była prawie wypalona. Były tylko szarpie nie zaczęły się tlić. Kiedy ogień przygasł, niekształtny cień ruszył ku nim przez księżycowe światło. Przerazenie zatopiło swe lodowate szpony w ich gardłach. Kane, klnąc, zakręcił pochodnią, kawałki szarpi zawirowały luźno, drobne iskry poleciały niczym miniaturowe gwiazdy nocą. Płomień rozniecił się jeszcze raz. Szturmujący cień cofnął się. Ciągle nie mogli odkryć, co go rzuca.

– Wracamy do świątyni! – rozkazał Kane – myślę, że to nienawidzi światła.

Bez tchu, potykając się na kamiennym rumowisku, wpadli do wnętrza. Grube ściany dawały złudzenie ochrony przed nieznanym, które czaiło się poza granicą światła. Pochodnia skrzyła się i kopciła.

– Mamy inne pochodnie? – spytał Kane niespokojnie.

– Przepadły razem z koźmi i narzędziami – jęknął Levardos.

– Więc lepiej znajźmy coś do spalenia – Kane przedzierał się przez naśmieconą podłogę świątyni, jego but natrafił na stertę zbutwiałego drewna, rozleciało się pod jego kopnięciem, zamieniając się w wilgotną i pokruszoną miazgę. Tylko nagie kamienie i ziarno przez pleśń, gnijące resztki. Zachowany dach zatrzymywał spadające gałęzie, które pokrywały grunt na zewnątrz, hamował wzrost poszycia w środku. Strzelający ogień lada chwila mógł zgasnąć.

– Nie ma tu żadnych suchych drzew? – zaklął Kane.

– Na zewnątrz... – zaczął Levardos spoglądając ku drzwiom. Nie dokończył. Cień blokował wejście. Kane gwałtownie ruszył do przodu z gasnącą pochodnią. Blask księżycy znowu wpadał przez otwór.

– Tu coś jest! – Levardos ścisnął w obu ramionach brzemień suchego drewna – kilka gałęzi, które spadły przez dziurawy dach. Z niezwykłą ostrożnością Kane włożył głównię w stertę drewna. Było wilgotne i nie nadawało się. Płomień skurczył się, nie chciał się rozniecić. Desperacko dmuchając, Kane rozpałał tłący się ogień. Kątem oka zobaczył cień wpełzający przez wejście.

Potem gałęzie zajęły się. Niepewny, pełzający płomyk ślizgał się po połamanych hubkach. Nie zwracając uwagi na pokryte bąblami dłonie, dwaj mężczyźni roztrącali tłący się żar i rozniecali płomień – przeklinali, kiedy drewno dymiło i parowało, nie zapalając się.

Jakoś wzniecili ogień. Księżyc jeszcze raz zaświecił przez drzwi. Ale dymiący i przygasający ogień nie pozwalał im odpocząć. Za ścianami niewidoczny myśliwy stąpał cicho, zasłaniając promienie księżycy, który pełził wokół ruin.

– Potrzebujemy więcej ognia – ocenił Kane. W tańczącym świetle ogniska mógł zobaczyć inne gałęzie i kawałki kruszącego się drewna – było tego rozpaczliwie mało. Kiedy to odejdzie?

– Może z pochodnią moglibyśmy przynieść drewno z zewnątrz? – zastanowił się Levardos. Zakręcił się niespokojnie, nie chcąc myśleć o śmierci, która czekała poza zasięgiem światła.

Ogarnięty tą myślą Kane, pozostawił ognisko opiece Levardosa i ruszył, by odzyskać pochodnię porzuconą przy ołtarzu. Kiedy pochylił się nad nią, jego czoło zmarszczyło się.

Pochodnia wcale się nie wypaliła; to czyjaś stopa zmiażdżyła ją o kafle. Kane podniósł ją zamyślony. W tych przerażających chwilach nie poświęcił zbyt wielu myśli Ceteol. Jej zniknięcie przybrało teraz nowy aspekt.

– Kane! Nad tobą!

Kane rzucił się w tył. Księżycowy blask nie splotywał już na dół. Jego krąg zniknął, kiedy wijący się cień wpełzł przez otwór w dachu. Odważywszy się spojrzeć w górę, Kane zobaczył tylko ciemność, płynącą ciemność, która zasłoniła gwiazdy. Cień wił się już przez ołtarz – ślizgał się zbyt szybko, by można było dostrzec coś więcej, niż niewyraźny kształt. Emanacja obcego zła opadła na nich w miażdżących falach.

– To nie wydaje dźwięku – krzyknął Levardos, kiedy Kane dopadł już ognia. – I jego rozmiar! Jak te zniszczone ściany mogą wytrzymać taki ciężar?

– To nic nie waży – nie jest materialne w naszym rozumieniu – warknął Kane, wreszcie rozpoznając kreaturę. – To jest rodzaj demona – pierwotna, elementarna forma świata chaosu, ukształtowana z ciemności. Ciemność użycza mu swej substancji, ale światło niszczy jego uformowane ciało – pokazuje tylko cień jego wrogiego ducha. Światło księżycy nie działa na niego, bo daje nieprawdziwe światło. Demon musiał iść naszym śladem, czekał na zapadnięcie nocy, na wygaśnięcie ognia. Gdybyśmy mogli utrzymać ognisko do świtu, umknęlibyśmy mu.

Spoza ołtarza odpowiedział mu śmiech.

– Będziecie palić kamienie? – spytał drwiący głos. – Wasz ogień świeci już mniej jasno. Niedługo będziecie musieli odważyć się wyjść do wilgotnego lasu – a, jeśli pochodnia zgaśnie? Znajdziesz jakąś zbutwiałą gałąź, by oświetlić sobie drogę? A gwiazdy mówią że przed świtem spadnie deszcz!

Tęga postać Eberhosa wsunęła się przez szczelinę w odległej ścianie świątyni. Niósł Ceteol. Dziewczyna zwisała bezwładnie w jego ramionach; ręce miała związane, w ustach tkwił knebel.

Oczy Kane'a rozbłysły. Postąpił ku alchemikowi. Sztylet błysnął w ręce Eberhosa.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – rozkazał – albo przetnę jej piękną szyję i będzie po wszystkim, zanim zrobisz pół kroku. Chcesz mnie gonić nocą?

Widząc, że Kane zatrzymał się, zaśmiał się szyderczo. Więc wiesz, jaki demon poluje na ciebie, Kane. Jesteś bardzo wykształcony, nieprawdaż? Może się domyślasz, kto go wezwał, kto rozkazuje mu tropić, zabijać? Z pewnością nie nieokrzesany Eberhos, pacholek i chłopiec na posyłki Damatjysta!

Jego głos stał się bardziej piskliwy. – Myślisz, że lizałem buty tego chciwego tyrana przez te wszystkie lata i nie nauczyłem się niczego? Dni wypełniania rozkazów tego skurwysyna skończyły się. Planowałem to odejście przez wszystkie lata, kiedy cierpliwie spełniałem wszystkie głupie posługi! Nie pozwolę, by kradzież rzeźby zniszczyła zaufanie, jakie żywi do swego lojalnego Pierwszego Asystenta, właśnie teraz, kiedy wszystkie moje plany są bliskie ziszczenia.

Zachichotał i mocniej chwycił osuwające się ciało dziewczyny. Kane zobaczył krwawą plamę na jej włosach. Ceteol zaczęła odzyskiwać świadomość; jęczała przez knebel.

– Szedłem waszym śladem – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Szedłem śladem mojego małego zwierzaczka. Podczas gdy bawiliście się z nim w ciemnościach, ja wśliznąłem się tutaj, by dostać moją rzeźbę. Twój ludzki zdaje się, nie pełnią już, straży, nieprawdaż? Kiedy nie znalazłem rzeźby, pomyślałem, że może ta mała dama zechce mi powiedzieć, gdzie ją ukryłeś – wiem, że ty i ten zwariowany poeta mieliście zamiar coś z nią tutaj zrobić dziś w nocy.

– Powiem ci coś, Kane. Daj mi rzeźbę – jeśli nie masz jej przy sobie; powiedz, gdzie jest ukryta – zabiorę ją i odejdę. Odeślę demona z powrotem do królestwa chaosu, z którego go wezwałem.

Jaką mam gwarancję, że dotrzymasz słowa? – warknął Kane, rozważając szanse rzucenia nożem. Odległość była duża, a poza tym Eberhos trzymał dziewczynę przed sobą, jak tarczę. Ogień zaczął znowu przygasać.

– Cóż, myślę, że będzie ci musiało wystarczyć moje słowo honoru – zachichotał alchemik. – Czy to deszcz uderza o drzewa?

Wiatr zaczął lekko wiać. Kane odpowiedział Eberhosowi przekleństwem i zbliżył się o krok.

Eberhos przyłożył sztylet do naprężonego gardła dziewczyny. – Jeszcze jeden krok, a wytnę jej nowe usta. Chyba, że ty i Opyros chcecie widzieć dziewczynę martwą?

Kane zrozumiał, że w niewyraźnym świetle Eberhos wziął Levardosa za poetę. Przykucnięty za płonącym ogniskiem jego zastępca był tylko chudą postacią z blond włosami – jak Opyros. – Dlaczego miałbym się przejmować tym, co zrobisz z dziewczyną? – zapytał Kane. – Nie znaczy nic dla żadnego z nas.

Przebiegłość pojawiła się na silnej twarzy Eberhosa. – Nie? Może twój układający wiersze przyjaciel zmieni zdanie, kiedy zobaczy, że nie blefuję. To nie będzie szybka śmierć...

Ogień przygasł. Levardos wepchnął ostatnią część opału, który zgromadzili. Wilgotne, papkowate drzewo o mały włos nie zdusiło ognia.

– Weź dziewczynę jako zakładniczkę, wracaj i odwołaj swego demona – zaproponował Kane. – Oddam ci rzeźbę jutro – i dam ci moje słowo – nie będę się mścił.

Odpowiedział mu śmiech. – Denerwujesz się, Kane? Nie widziałeś nawet co przytrafiło się twoim przyjaciółom, ale ja widziałem! Nie, dzisiaj nie ty stawiasz warunki, Kane. Przyjmiesz moją ofertę, albo umrzesz!

– Nie widzę powodu, by ci ufać – burknął Kane. Ogień nie obejmował zbutwiałych fragmentów drewna.

– Więc pokażę ci, że możesz mi zaufać, że spełnię swoją pogroźkę! Rzeźba, tylko szybko, albo dziewczyna dostanie nożem! Pozwolę wam zobaczyć, jak jej się to spodoba.

Eberhos pchnął oszołomioną ciągle dziewczynę, w pasmo księżycowego światła, które wpadało przez jedno z wysokich, wąskich okien. Otwór był niewiele szerszy, niż okienko strzelnicze, ale księżyc dokładnie oświetlił białą twarz Ceteol. Gdyby go sprowokowali, alchemik mógłby łatwo poderżnąć gardło dziewczynie i błyskawicznie uciec przez pękniętą ścianę kilka stóp dalej.

– Patrz! – zawołał. Przyciskając ją do siebie, zatoczył drugim ramieniem łuk i pociągnął ostrzem sztyletu przez tkaninę jej ozdobionej paciorkami bluzki. Ubranie pękło ukazując naprężone piersi dziewczyny. Szcherząc zęby, Eberhos wyciął cienkie półksiężycy poniżej każdego białego stożka piersi. Krew popłynęła strumykami po jej żebrach i brzuchu.

Ceteol zaskomlała poprzez knebel. Ból przywrócił jej świadomość. Kiedy alchemik podniósł ostrze do kolejnego cięcia, wbiła piętę swego buta do konnej jazdy w jego goleń.

Buty zakończone były ostrogami. Były wytworne, dla damy, niemniej jednak ostre. Ich kółka wbiły się klinem, rozrywając obutą w sandały stopę Eberhosa.

Klnąc z bólu, alchemik cisnął dziewczynę na ścianę. Głowa Ceteol trzasnęła w krawędź okna i dziewczyna osunęła się w dół. Krew płynęła z nogi Eberhosa, kiedy skoczył ku niej i wznosił sztylet do śmiertelnego ciosu.

Cień zadrgał w świetle księżyca. Coś ciemnego i na pół widocznego wśliznęło się przez okno. Kane'owi skojarzyło się to z wielkim czarnym kotem, wciskającym swą łapę w szczurzą dziurę, by porwać swoją ofiarę. Eberhos wrzasnął straszliwie – kiedy coś, co mogło być macką, uderzyło o jego pierś, poderwało z podłogi i przez okno pociągnęło w noc.

Przypuszczalnie demon nie miał zamiaru skrzywdzić swego pana. Prawdopodobnie zapach krwi, bliskość dziewczyny, gwałtowny ruch Eberhosa – wszystko to zmyliło rozwścieczonego potwora, który czekał na zewnątrz w ciemnościach. Demon w mgnieniu oka uwolnił Eberhosa. To znaczy odrzucił to, co zostało z niego, kiedy zderzył się z wąskim oknem.

Ceteol wydała zdławiony dźwięk i potykając się na chwiejnych nogach, odsunęła się od ociekającej krwią szczeliny. Kane pochwycił ją, usunął krępujące więzy i dziewczyna przycupnęła przy ogniu, przeklinając między jednym, a drugim głębokim oddechem. Krew ciągle sączyła się po jej żebrach, ale rany były powierzchowne. Zresztą ledwie uświadamiała sobie ból, zszokowana tym, co przed chwilą zobaczyła.

Ale duszna atmosfera strachu, która do tej pory zamykała się wokół nich, rozplynęła się – znikła wraz ze śmiercią alchemika. – Co... się stało? – wydyszał Levardos, odważając się przerwać swe szalone wysiłki podtrzymania ognia. Płomienie drgały i przyskały, ale paliły się teraz silniej.

– Myślę, że odszedł – zaryzykował Kane – Eberhos wezwał demona, rozkazał mu śledzić nas; jego śmierć powinna uwolnić go z więzów – pozwolić mu wrócić do bezimiennego królestwa chaosu.

– Odszedł, myślisz? – spytał Levardos, obserwując podejrzliwie ciemność.

– Mógłby się pojawić. Widzisz jego wijący się cień? Czujesz duszne opary niesamowitego strachu, które demon zdaje się wydzielać?

Jego zastępca pokręcił głową powoli, potem spojrział ku dymiącemu ognisku. Klocki

przegniętego drewna kończyły się. Niedługo dowiemy się tego na pewno – skomentował lakonicznie.

Kane wyciągnął pozostałą pochodnię z ogniska. Smoła na jej końcu ciągle się gotowała – widocznie dogasający żar podtrzymał płomień.

– Znajdę coś na zewnątrz – mruknął, niosąc pochodnię ku wejściu.

Pomimo pewności, że demon ich opuścił, szerokie mięśnie Kane'a napięły się niczym powrozy, kiedy wkroczył w ciemność zaludnionego ruinami lasu. Krople deszczu rozpryskiwały się na drzewach, uderzały w płonąca pochodnię. Ale żaden niewidzialny demon nie dopadł go, żaden pełznący cień nie czaił się poza kręgiem światła. Starając się nie myśleć o nieprzyjemnych rzeczach, Kane rozglądał się za suchymi gałęziami. I rzeczywiście wyłonił się z okrytego mżawką lasu, ciągnąc za sobą małe drzewko.

– Demon – powiedział Kane – odszedł. Cisnął na ziemię drewno, potem chciał odłożyć rozpadającą się pochodnię. Ale musiał użyć wolnej ręki, by rozluźnić palce zaciśnięte kurczowo na jej drzewcu.

Podtrzymywali ogień. Stanowili ponurą, zmęczoną trójkę, zgromadzoną wewnątrz zrujnowanej świątyni. Parujące kropelki deszczu szemrały wokół nich, pluskały z niezliczonych szpar w dachu, mgielka spowijała ich zgarbione postacie. Czekali na dzienne światło, na powrót poety. Cień strachu, który spadł na tę noc, sprawił, że wywołanie mrocznej muzy wydawało się odległe i nierealne. Dotknięci przez ducha ciemności, który nawiedził te ruiny, czekali, każdy pogrążony w swych myślach.

Blade światło świtu dotykało ołtarza, kiedy Kane wyrwał ich z drzemki swym okrzykiem.

– Patrzcie – zawołał wskazując w kierunku jasnego kręgu. Potoki opalizującej mgły; nie był to deszcz ani blask wschodzącego słońca, zgromadziły się na nagich kamieniach, opryskiwane przez przejrzyste krople deszczu. Wirująca mgła zwolniła, zaczęła się skupiać. Złączyła się. Znikła.

Na wypolerowanych i błyszczących od deszczu kamieniach leżał mężczyzna. Mężczyzna, który wydawał się być pogrążony we śnie. Obok niego spoczywała naga figurka z czarnego onyksu. Jej rzeźbiona twarz uśmiechała się, obiecując nieznanne cuda, oczy błyszczały tajemniczym okrucieństwem.

– Opyros! – zawołała Ceteol biegnąc ku niemu. Dotknęła jego ramienia.

Oczy poety zabłysły. Szarpnął się w tył, strach zniekształcił jego twarz. Jego oczy o rozbieganym spojrzeniu były zupełnie bezmyślne.

– Opyros? – głos Kane'a zadrżał.

Puste oczy poety patrzyły gdzieś obok Kane'a. Wysilił gardło jakby do krzyku, ale tylko jęk nieprzezwykłego przerażenia wydobył się z jego wykrzywionych ust. Zajęczał ponownie, a potem zaczął szlochać bezrozumnie.

Kiedy usiłowali go podnieść, wyrwał się i uciekł z przerażonym skomleniem w zaciemniony kąt ruin. Tam wczołgał się na brzuchu ze zdumiewającą szybkością pod skalne rumowisko. Mieli olbrzymie trudności, by go stamtąd wydobyć.

OKRUTNA TAJEMNICA JEJ UŚMIECHU

Przynieśli Opyrosa z powrotem do Enseljos. Przez wiele tygodni leżał w zamkniętym pokoju w swej rezydencji, doglądany tylko przez Ceteol, bowiem jego okropne wycie przepłoszyło całą służbę. Jedyne poczucie obowiązku zdawało się zatrzymywać dziewczynę przy głównym sprawcy wszystkich nieszczęść. Tylko dzięki narkotynom, które pozostawił Kane, mógł poeta zasnąć i przez wiele dni leżał zagrzebany w brudnej i poplamionej pościeli, wstrząsany dreszczami i atakami płaczu. Niekiedy mamrotał urywki słów w jakimś dziwnym, obcym języku – jeśli był to język – a raczej sylaby, których nikt nie mógł rozpoznać. Kane wsłuchał się w nie kiedyś uważnie i musiał coś zrozumieć, bo opuścił pokój wzdrygając się z lękiem.

Przypuszczalnie jakikolwiek inny człowiek trwałby do końca swych dni w tym stanie bełkotliwego szaleństwa. Może świadomość Opyrosa była bardziej odporna, a może liczne wyprawy jego wyobraźni w krainę mroku zahartowały go do pewnego stopnia i przygotowały do spotkania z grozą, która mogłaby całkowicie zniszczyć duszę innego człowieka. I choć część jego jaźni zakrywały jeszcze duszące opary obłędu, Opyros zaczął powoli dochodzić do siebie.

W narkotycznych snach dręczyły go ciągle nocne zmory, ale w chwilach przebudzenia zachowywał się już spokojnie, był w stanie jeść samodzielnie i troszczyć się o siebie. Po kilku miesiącach zaczął snuć się milcząco po swym pałacu, przerzucając książki, biorąc do ręki przedmioty, jak gdyby wspomnienia, zepchnięte w najgłębsze warstwy jego świadomości, z wolna wydobywały się na powierzchnię. Jak podróżnik, który wraca z dalekiej podróży po wielu latach i znajduje mgliście pamiętany dom dzieciństwa, oczekujący go, nietknięty przez czas, który upłynął, odkąd po raz ostatni trzymał w ręku swe zabawki. W końcu zaczął mówić, niewyraźnie wymawiając słowa, jakby posługiwał się obcym, czy zapomnianym językiem. Ale w miarę jak tygodnie mijały, jego bełkotliwe frazy stawały się starannie wymawianymi zdaniami, a w końcu normalną rozmową. Odważył się wyjść na ulice Enseljos i powitać swych starych znajomych, którzy w tajonym zatrwożeniu spostrzegli, jak bardzo ostatnie nerwowe załamanie postarzyło poetę. Tak więc, po wielu miesiącach rekonwalescencji, Opyros na nowo objął zarządzanie swymi interesami i czynił to z większym niż kiedykolwiek przedtem zapałem.

Ale dużo wcześniej zaczął pisać.

Kane powitał Opyrosa pewnej nocy, kiedy poeta złożył mu niespodziewaną wizytę na nowej kwaterze. Kane rzadko widywał teraz przyjaciela, gdyż od czasu swego wyzdrowienia Opyros zamykał się na długie godziny i dni w pracowni, w tajemnicy pracując nad swoimi poematami. Nie przychodził już do Kane'a z fragmentami wierszy i na pół ukształtowanymi ideami skończyły się długie nocne rozmowy – teraz pisał wyłącznie sam. Kane miał nadzieję, że żadna ukryta choroba nie draży duszy poety. Opyros nie wyrażał żalu z powodu swych bolesnych doświadczeń, ale też nigdy o nich nie mówił. Kane nie mógł też wyczytać żadnych sekretnych myśli w oczach poety.

– „Nocne Wiatry” są skończone – zadeklarował Opyros ze zmęczonym uśmiechem.

Kane ciepło pogratulował przyjacielowi. – Jesteś przynajmniej z nich zadowolony'?

Opyros zadumał się, podczas gdy Kane wręczył mu kielich. – Myślę, że tak. Moja podróż z mroczną muzą opłacała się, Kane, znalazłem inspirację, której szukałem – choć trzeba było za to zapłacić.

– Więc „Nocne Wiatry” są doskonałym poematem, o którym kiedyś mi mówiłeś?

Opyros powąchał trunek przed skosztowaniem. – Tak sędzę. – Byłbym bardzo zadowolony mogąc go przeczytać. Przyniosłeś go może?

Opyros potrząsnął głową. – Nie, jest bezpiecznie schowany. Przebaczą mi moją próżność Kane, ale to jest mistrzowska praca, dla niej poświęciłem moje życie, moją duszę. Chcę, by jej odsłonięcie było przedsięwzięciem o pewnym znaczeniu – rozumiesz mnie?

Kane przytaknął, przyglądając mu się bacznie.

Odbędzie się oficjalne odczytanie za tydzień, czy coś koło tego, tak szybko, jak zdołam rozesłać zaproszenia tym, którzy powinni je dostać, przygotować salę i całą resztę. Nie chcę, by było to jeszcze jedno publiczne odczytanie z durniami włóczącymi się cały czas w tę i z powrotem, roznoszeniem jedzenia i picia.

To będzie prywatne spotkanie – przy drzwiach zamkniętych niecała setka gości, koledzy po piórze, krytycy, arystokracja, która uczęszcza na tego rodzaju imprezy. Będzie dosyć kłopotu z tymi plotkującymi i obmawiającymi dyletantami, ale kiedy odczytam ten doskonały poemat, porwę umysły wszystkich gości. – Będę oczekiwał zaproszenia.

– Miałem pokusę, by pozwolić ci zobaczyć poemat jako pierwszemu – Opyros uśmiechnął się nerwowo. – To jest coś zupełnie innego od mojej dotychczasowej pracy – zrobiłem wiele rzeczy, które nie przyszły do głowy żadnemu pisarzowi... Cóż... skończyłem i czekam na oficjalną recytację by zostać okrzyknięty geniuszem, albo wyśmianym jako pretensjonalny głupiec, kiedy świat usłyszy to po raz pierwszy.

– Za „Nocne Wiatry” i ich autora – wznosił toast Kane, ujmując kielich.

– Za mroczną muzę – odparł Opyros.

Ale Kane nie uczestniczył w pierwszym odczytaniu „Nocnych Wiatrów”, choć zapowiedziana przez poetę prezentacja swej najważniejszej pracy od przeszło roku wywoływała wielkie zainteresowanie i była komentowana w całym kraju. Tej nocy, gdy poemat miał zostać odczytany, Halbros-Serrantho zażądał, by Kane stawiał się na tajną audiencję. Kane nie mógł odmówić wezwaniu ambitnego władcy Enseljos, który marzył o zbudowaniu silnego imperium z małych Stanów Północnego Kontynentu. Takie plany nie były obojętne Kane'owi.

Tak więc Kane zmuszony był opuścić pierwsze odczytanie „Nocnych Wiatrów”.

Często rozmyślał o tym z żalem. Bo choć nigdy nie słyszał największego dzieła Opyrosa – szalonego poety, wiedział, że jego przyjaciel znalazł prawdziwą inspirację w ramionach mrocznej muzy. Musiał naprawdę stworzyć doskonały poemat, najwyższe osiągnięcie jego mrocznego geniuszu.

Bowiem, kiedy Kane opuścił pałac Halbrosa-Serrantho, pierwsze przerażające wieści obiegły już miasto – wieści o tym, co zobaczyli przestraszeni strażnicy, kiedy w końcu wyłamali zamknięte drzwi, prowadzące do cichej teraz sali.

OFIAROWANIE
(Przełożył Sławomir DEMKOWICZ-DOBRZAŃSKI)

PROLOG

Obudził ją jej własny krzyk. Ledwie wyraźny, bo przepełniony gorączką, która wysuszyła jej gardło. Był to krzyk przerażenia, jakie przyniósł sen. Jego echo zatrzymało się na pustych, drewnianych ścianach malutkiego pokoju, kiedy zrywała się z mokrej poduszki.

Jej oczy, błyszczące od gorączki i szeroko otwarte ze strachu, penetrowały cieniste zakątki komnaty. Lecz zjawy z tego nocnego koszmaru, jeśli istotnie był to koszmar, zniknęły. Klesst odgarnęła sklezione kosmyki rudych włosów z wilgotnego czoła i usiadła na pościeli.

Przez zielonkawy wziernik w witrażach okna zobaczyła zachodzące słońce, które okalało zaczerwienione wierzchołki gór. Noce nadchodziły szybko późną jesienią, a dzisiejsza pozwoliłaby tej koszarnej ciemności otoczyć Klesst. A była to noc, kiedy Władca Demonów zstępował na ziemię.

Drżąc pomimo podwyższonej temperatury, Klesst opadła na słomiany materac. Mamo!... – zawołała płacząco, zdziwiona, że jej krzyk nie sprowadził nikogo.

Mamo! – zawołała znowu. Pragnęła przywołać Greshhę, ale przypomniała sobie, iż ową tęgą służącą odesłano na noc z zajazdu. Greshha nie chciała jej opuszczać. Nie wtedy, kiedy była chora, nie w dzień jej urodzin. Nie w tę noc. Matka postąpiła okrutnie odsyłając Greshhę, którą Klesst uważała za swoją mamkę. Greshhę uśmiechniętą, Greshhę o ciepłym dotyku, delikatnie tulącą do piersi. Nie surową i zimną jak matka.

Greshha odpowiedziałaby na jej wołanie. Matka była okrutna, ignorując ją w ten sposób.

– Co się stało, Klesst? – Zmarszczone czoło matki chłodno przywitało ją w drzwiach. Klesst nie słyszała w korytarzu żadnych kroków. Matka zawsze poruszała się tak cicho.

– Chce mi się pić, Mamo. Mam sucho w gardle. Przynieś mi, proszę, trochę wody.

Jak piękna była jej matka... Jej długie, czarne włosy, zaczesane wzdłuż obu policzków, były spięte przy karku i przez ramię opadały na lewą pierś. Pod szalem nagie, proste ramiona odsłaniał szeroki dekolt bluzki z białego muślinu, z rękawami zebranymi przy nadgarstkach. W talii była związana szerokim skórzanym pasem z zygzakowatym, szkarłatnym kordonkiem. Sukienka z brązowej wełny opadała obszernymi fałdami w dół, ku łydkom, a jej małe stopy okrywało obuwie z miękkiej skóry. Klesst, podobnie jak matka, miała uszy przekłute złotymi kółeczkami, a Greshha pomogła jej uzupełnić strój haftowanymi wzorami; szaty matki były nie ozdobione.

Matka przeszła maleńki pokój szybkim krokiem. Na podstawce obok łóżka Klesst zobaczyła gliniany dzban i ponownie zmarszczyła czoło. – Woda jest tam, Klesst. Dlaczego nie możesz napić się sama?

Dziewczynka miała nadzieję, iż nie rozgniewała matki. Nie teraz, kiedy samotność rzuciła swój cień na jej pokój, a noc zaczynała oblekać zajazd swą ciemnością. – Dzban jest taki ciężki, a ręce mam słabe i drżące. Mamo, proszę, podaj mi wodę.

Matka cicho naląła wody do kubka i podała niebieskie naczynie do rąk Klesst. Greshha na pewno podsunęłaby go do jej ust, silnym ramieniem podtrzymując głowę.

Chwyciwszy kubek obiema rękami, dziecko piło łapczywie. Jak na swój wiek, jej dłonie miały zadziwiająco długie palce. Duże błękitne oczy obserwowały matkę znad krawędzi naczynia, szukając w jej twarzy oznak złości lub zniecierpliwienia.

Nie dostrzegły żadnej odmiany.

Wysuszone gorączką usta Klesst głośno wyssały ostatnią kroplę wody; matka wzięła pusty kubek i odstawiła go na miejsce, potem zwróciła się do wyjścia.

– Mamo, proszę! – Klesst powiedziała spokojnie. – Moja głowa jest tak bardzo rozpalona. Czy mogłabyś ją czymś ostudzić?

Matka położyła swoją chudą dłoń na czole dziewczynki. Tak, była taka zimna...

– Znów miałam zły sen, Mamo – wyszeptała Klesst, mając nadzieję, że matka jej nie opuści.

– Wciąż masz gorączkę. Ona przynosi złe sny. – To był ten sam nocny koszmar.

W oczach matki pojawiło się zaniepokojenie. – Jaki koszmar, Klesst?

Czy będzie się gniewać? Czy zostanie przy niej, kiedy pozna jej strach? Klesst nienawidziła myśli, że zostanie sama w ciemności. – To znowu był pies, Mamo. Wielki, czarny ogar.

Matka zawróciła i złożyła ręce pod wysoko osadzonymi piersiami. – Wielki, czarny ogar? – spytała. – Czy masz na myśli wilka?

– Olbrzymi ogar, Mamo. Większy niż inne, większy niż wilk. Myślę, że większy nawet od niedźwiedzia. Jest czarny, cały czarny, podgardle i język też. Tylko kły ma białe. A jego oczy płoną jak ogień. On mnie szuka, Mamo. We śnie widzę, jak poluje na wzgórzach, szukając mojego zapachu. A ja nie mogę uciec; on jest coraz bliżej, aż w końcu wdech przywodzi go do zajazdu. Spozstrzega mnie, jego oczy paraliżują moje ciało czerwonym błyskiem, nie mogę krzyczeć; on otwiera pysk i widzę wydobywający się z jego wnętrza dym.

– Sza! To tylko zły sen. – W głosie matki słychać było wysiłek.

Klesst poczuła na ciele ciarki, kiedy pamięć wróciła jej strach; pragnęła, aby Greshha była z nią teraz i trzymała w ramionach. – Widzę jeszcze coś na wzgórzach. To człowiek, ubrany w długi, ciągnący się za nim czarny płaszcz. Ten człowiek poluje z wielkim ogarem. Nie widzę go wyraźnie, ponieważ skrywa się w turaku, ale wiem, że nie mogę spojrzeć w tę twarz!

– Przestań!

Dziecko z trudem złapało oddech i z zaskoczeniem popatrzyło na matkę.

– Mówienie o tym znów sprowadzi na ciebie ten zły sen matka wyjaśniła zdenerwowana.

Klesst postanowiła nie wspominać nic o innej dziwnej postaci ze swej mary. – Dlaczego mnie ścigają? – wyszeptała przestraszona. Czy będzie miała odwagę poprosić matkę, żeby została? Spojrzała, czy nie jest zagniewana.

Twarcz matki pokrywał cień, usta miała ściśnięte i blade. Mówiła szepcząc, jakby głośno myśląc: – Czasem, kiedy duszę rozdziera ci ból i nienawiść... może cię to spalić tak, że twój duch nie zna już niczego innego... i możesz mieć myśli odmienne, iść ścieżkami, którymi nie... wcześniej. Później to wypala twą duszę do cna... . Ale ogień twojej nienawiści wciąż tli się i czeka... . I wiesz, że wschodzi zły księżyc – i nie ma sposobu, by go zawrócić.

Podmuch wiatru poderwał suche liście i cisnął je o szyby. Za oknem z witrażami noc posuwała się ku jesiennym wzgórzom.

JESIENNE WZGÓRZA

– Co z nim?

Braddeyas wzruszył ramionami. – Zdaje się, że oddycha, ale nic więcej. Do rana umrze, jeśli się nie zatrzymamy.

Weed splunął z wściekłością i podjechał do konia, na którym leżał ranny. Przewieszony przez kark rumaka człowiek był olbrzymi, ale ta zbita masa mięśni zwisała teraz bezwładnie; tylko liny utrzymujące ciało na siodle zabezpieczały je przed runięciem w dół górskiego stoku.

Wpijając palce w gęste, rude włosy rannego, Weed podniósł jego głowę. – Kane! Słyszysz mnie?

Zbroczona krwią twarz była blada i bez wyrazu, oczy schowane pod wpół zamkniętymi powiekami. Jego usta poruszały się cicho, ale Weed nie wiedział, czy była to odpowiedź na pytanie.

– Z drugiej strony, może nie przetrwać nocy, nawet jeśli gdzieś staniemy – wtrącił Braddeyas. – Moim zdaniem gorączka rośnie.

– Kane!

Bez odpowiedzi.

– Stracił przytomność, kiedy zaczęła się gorączka – kontynuował Braddeyas – Poza tym ubyło mu wiele krwi, wciąż jej ubywa.

– Nie chcę się zatrzymywać – powiedział Weed, przejąwszy dowodzenie z rąk Kane'a. – Są zbyt blisko, żebyśmy mogli ryzykować.

Braddeyas naciągnął mocniej płaszcz na wąskie ramiona – Kane nie dotrwa do ranka, jeśli nie odpocznie.

– Pleddis nie przedrze się przez te góry dzisiejszej nocy dodał Darros, który jadąc z tyłu, właśnie do nich dołączył.

– Dlaczego nie? – zapytał Weed. – Musi wiedzieć, że jesteśmy tylko parę godzin przed nim. Ten drań już pewnie cieszy się ze swojej nagrody.

– Cieszy się nią przy płonącym ognisku – czarnobrody łucznik przecząco potrząsnął głową. – Nikt dzisiaj tym szlakiem nie przejdzie. Nie przy takim księżycu. Człowiek dla złota może stracić życie, ale nie duszę.

Weed, z nagłym otrzeźwieniem, zwrócił wzrok ku wschodzącemu księżycowi. Ten długoreki bandyta pochodził z wyspy Pellin i nie był rdzennym mieszkańcem Lartroxii. Jednakże, przez lata podróży w głąb kontynentu, poznał opowieści i legendy gór Myceum. Spojrzał na czerwoną, jesienną tarczę, coś sobie przypominając.

– Księżyc Władcy Demonów – wyszeptał.

– Pleddis będzie musiał założyć obozowisko – zapewnił ich Darros. – Jego ludzie nie pojedą w nocy. Poczekają na świt, nim znów podejmą nasz ślad.

– Możemy więc zaryzykować postój – zaproponował Weed.

– Nie mamy wyboru – potwierdził Darros.

Dwaj pozostali członkowie grupy, wysoki Frassos i uszaty Seth, para najbardziej ponurych twarzy, zgodzili się bez słowa.

Czerwony, jesienny księżyc, to Władca Demonów; Garny ogaryje.st pr=t° nim, przeczesując wzgórza; Ogar pohrje za krwie, Władca Demonów za duszami.

– Zamknij się, Braddeyas! – zawył Weed. Jego nerwy, już wcześniej wystrzępione, nadwyręzało rosnące poczucie strachu.

– Nie rozbijemy chyba obozu na samym szlaku? – mruknął niespokojnie Seth. – Kane jest diabło ciężki, a nas jest tylko pięciu.

– Kto ma inny pomysł? – z naciskiem spytał Weed. – Noc zbliża się coraz szybciej.

Głowa Kane'a nie ruszyła się z końskiego karku, gdzie ją wcześniej wsparto, lecz głos niewyraźnie szepnął – Krucze Gniazdo.

– Co on powiedział? – zapytał Weed.

– Krucze Gniazdo – odpowiedział Braddeyas, pochylając się nad Kane'em. Podał wodę do splekanych ust herszta i pokiwał głową. – Wciąż nieprzytomny. Jakby zbierał wszystkie siły, które mu zostały. Widziałem to już wcześniej.

– Czy ktokolwiek wie, co miał na myśli?

– Krucze Gniazdo to zajazd, niedaleko stąd, jakieś trzy kilometry – wyjaśnił Darros, który znał dobrze okolice. – Wznosi się nad rzeką Cotras, a droga do niego wiedzie wzdłuż koryta. Wiele lat temu był największy w tych stronach, zanim Kane nie napadł go i obrabował. Nigdy nie odbudowano zajazdu, i myślę, że dalej stoi w ruinach.

Weed skinął głową. – Tak, pamiętam, jak Kane o tym opowiadał. Będzie z osiem lat temu, jako że dołączyłem do niego krótko po tym, jak to się stało.

– Byłem wtedy z Kane'em. – Braddeyas pochwalił się groźnie. Napadał w tych górach, jeszcze zanim Kane przybył tu przed dziesięciu laty. Jego włosy, już przerzedzone, były przetkane szarymi pasemkami, co wiele o nim mówiło; tacy jak on nie umierali w łóżku.

Dotyczyło to przede wszystkim pozostałych członków potężnej kiedyś bandy Kane'a, rozniesionych przez miecze najemników, którzy pod wodzą Pleddisa otoczyli ich obóz. Tylko ta garstka zdołała przedrzeć się przez zasadzkę, ale trzy dni desperackiej ucieczki nie zdołały zgubić samozwańczego kapitana. Połączone miasta nadmorskiej równiny Lartroxii wyznaczyły wysoką nagrodę za głowę Kane'a, i Pleddis chciał ją zdobyć.

– Jeśli te mury jeszcze stoją, dadzą nam schronienie do świtu – wskazał Frassos. Zakaszła lekko, krzywiąc się z bólu przeszywającego połamane żebra.

– Znasz drogę, Darros; prowadź – zdecydował Weed. Dzień niemal się skończył.

– Już się skończył – wymamrotał ktoś.

Noc nadciągała nad góry na wielkich kruczych skrzydłach. Cień kładł się nisko pod rosnącymi po bokach szlaku stalowymi sosnami i oszronionymi dębami. Ciemność gwałtownie pożerała rozciągające się przed nimi doliny i kotliny, a także ponure rozlewiska, z których parowały obłoki mgły, okrywając stoki oraz wapienne wzgórza.

Garstka pobitych, śmiertelnie wycieńczonych mężczyzn, bezlitosnych, na wpół dzikich bandytów, ściganych przez równie bezwzględnych zabójców. Trzęsąc się z zimna, w brudnych i zakrwawionych bandażach, pędzili z ponurą determinacją z uczuciem głuchym na ból i strach, choć oba jak zjawy, były stale z nimi. Gnali, całkowicie pochłonięci jednym – zabójczą potrzebą ucieczki. Ucieczki przed najemnymi łowcami nagród, którzy spieszyli tuż za nimi, jakby kierowali się odgłosem stukotu końskich podków.

Wszyscy byli na koniach. Ich dobytek pochodził z grabieży, niezliczonych napadów. Lecz teraz ich zwierzęta potykały się ze zmęczenia, ubrania zniszczyła podróż, a broń wyszczerbiła i stępiła zacięta walka. Byli ostatnimi. Ostatnimi z bandy Kane'a, po tej stronie Piekle, tak śmiałymi i okrutnymi, jak żadna inna paczka przestępców kiedykolwiek goszczących w górach Myceum.

Nigdy więcej nie napadną na podróżujących samotnie górskimi szlakami, nie zrabują kupieckich obozów, nie sterroryzują oddalonych osad. Nigdy więcej nie spadną z sosnowych wzniesień, by niszczyć wsie nadmorskiej równiny i wycofywać się zaraz w tajemne kryjówki gór, gdzie kawaleria

połączonych miast nie śmiała się zapuszczać. Ich towarzysze nie żyli; w zapomnianej dolinie, wiele kilometrów za ich zgarbionymi plecami, stali się pożywieniem dla kruków. Ich wódz, którego niesławny, śmiercionośny i szybki miecz w końcu zawiódł, umierał w siodle.

Wszyscy byli martwi, Nad nimi noc była.

– Do diaska! Ciemno jak w grobie – zaklął Weed, próbując wśród mroku odnaleźć szlak. Niespokojnie spojrzął na krwawą tarczę wschodzącą nad jesiennymi wzgórzami. Księżyc tej nocy nie dawał światła.

– Jesteśmy prawie na miejscu – zapewnił Darros, ukryty gdzieś w ciemności.

Chwilę później ścieżka urwała się i Darros zawołał: – Oto on! Pałą się światła. Zajazd nie jest opuszczony.

– Niezupełnie – zauważył Weed. Nawet w zupełnej ciemności dostrzegł, że Krucze Gniazdo było w połowie ruiną. Szary kamień i drewniana konstrukcja, przycupnięta na skraju głębokiej doliny, wyrastały ponad urwisko nad rzeką Cotras. Dzięki wąłemu światłu z rzędów okien, Weed zorientował się, że zniszczony zajazd miał trzy piętra. Z odbiegających od zajazdu skrzydeł zostały tylko strawione przez pożar mury. Mgła z rzeki wisiała nad tymi oczernionymi ścianami, poniżej wapiennego urwiska, gdzie Cotras pędziła w ciemności swój niewidzialny prąd ku zachodniemu brzegowi.

Ostrożnie prowadzili wyczerpane konie krętą, schodzącą ze wzgórza w dół ścieżką.

Ostatni, szary duch zmierzchu rozwiął się, kiedy wyłonili się z sosnowego wzniesienia i dotarli do drogi przy rzece. Mimo iż szersza niż ta którą podążali wcześniej, była zaniedbana. Młode drzewka przebijały się przez zbitą kopytami powierzchnię, a stare splatały gałęzie ponad głowami podróżnych. Konni jeźdźcy przejeżdżali tędy; małe ślady podków znały rzadki szlak poganiaczy bydła, ale kolein wozów było niewiele, a nawet te były stare i zatarte. Weed myślał, że rozboje Kane'a i jego ludzi prawdopodobnie wyjaśniały wyludnienie na tym uczęszczanym kiedyś trakcie.

W ciemności zbliżyli się do zajazdu. Obok niego stało tylko parę przybudówek, ale czuli zapach i hałas koni oraz całego inwentarza. Kilka okien łąpało słabym światłem w kierunku drogi. Dwie kopcące latarnie wisiały przy wejściu od frontu, lecz grube drewniane drzwi sprawiały wrażenie zaryglowanych. Dębowy szyld kołysał się lekko nad lampami, choć wiatr, tu w dolinie, był spokojniejszy. Napis zwęglił nieco ogień, a tablica nosiła ślady cięć ostrzem, Weed odczytał jednak drukowane litery: *Krucze Gniazdo*. Na szyldzie, ponad nazwą, umieszczono pomalowanego na czarno kruka. Ktoś włożył kawałek czerwonego szkieleka w oko ptaka, które odbijało teraz blask latarni. Kruk udawał się obserwować nadejście przybyszów.

– Ilu, twoim zdaniem? – Weed zapytał Darrosa, po tym jak ten, wysunąwszy się na czoło, starannie zlustrował miejsce.

– Wedle wszelkich znaków, niewielu – odpowiedział łucznik. – Wygląda na to, że tylko parę osób prowadzi ten zajazd.

Oni, i może kilku podróżnych. Dziwne, iż psy nie wyczuły nas jeszcze.

– Nie powinno być zatem żadnych kłopotów – Weed zwrócił się ku ciemności i wydał rozkazy. Kiedy krzyknął na Frassosa, ten nie odpowiedział.

-Frassos! – zawołał znowu.

Bez odpowiedzi. Zamiast jeźdźca wystąpił koń. Frassos jechał za nimi, osłaniając tyły. Nikt nie słyszał, żeby krzyczał albo spadł z siodła.

– To już drugi z nas, tym razem – rzucił Braddeyas. Może wyzionął ducha i upadł.

– Słyszelibyśmy – zaproponował Weed. – Mamy wracać i go szukać?

Czerwony księżyc świecił na nich z zamglonych wzgórz. Weed drżał przy jego rdzawym blasku,

przypominając sobie legendy tej nocy, które tyle razy słyszał.

– Czy ktoś ma na to ochotę?

Było zbyt ciemno, aby zobaczyć ich twarze, ale Weed czuł, że unikali jego spojrzenia.

– Jeśli z Frassesem wszystko w porządku, dogoni nas w zajezdzie – wymamrotał Seth. W jego głosie brakowało przekonania.

II

POWRÓT GOŚCIA

W czasie snu Klesst szarpały niespokojne fale gorączki. Obudzona w półśnie nagłym hałasem, z przestraszeniem uwolniła się szybko od nakrycia.

Błyszcząca tarcza księżycy patrzyła na nią przez kaskadowe okno i Klesst zakryła ręką usta, aby zdusić krzyk. Na dole zajazdu usłyszała wściekle wrzaski, trzask przewracanych ław i jęki nieludzkich tortur.

Czy czarny ogar w końcu ją odnalazł? Czy wdarł się do środka? Czy może był już na schodach do jej pokoju?

Dzikie głosy wciąż nie ustawały. Słów nie mogła zrozumieć, ale ich ton był oczywisty. Bardziej ciekawa, niż przestraszona, Klesst zdecydowała zobaczyć, co się stało.

Lekko oszołomiona, opuściła nogi na podłogę, i zanim nie wróciła jej pewność siebie, trzymała się mocno ramy łóżka. Chłód nocy przeszedł przez bawełnianą koszulę, pospiesznie narzuciła więc na ramiona ciepłą pelerynę, którą uszyta jej Greshha. Na moment opuściła ją gorączka, i choć wciąż osłabiona, poczuła w sobie budzące się siły. Drżała, ogień w pokoju zgasł, i nikt nie doniósł drzewa.

Rozjuszony wrzaski ucichły, nim Klesst na palcach przeszła wąskim korytarzem do balkonu, gdzie mogła zobaczyć salę zajazdu. Ostrożnie, skradając się w cieniu, doszła do sosnowej balustrady i popatrzyła w dół.

Cofnęła się przestraszona – pewna jednak, że kryje ją półmrok, zaryzykowała ponowne spojrzenie. Oczy rozszerzyło jej dziecięce zdziwienie.

Frontowe drzwi zajazdu były otwarte na oścież. Zimne podmuchy wiatru bujały płomyki lamp i wrzucały wirujące liście przez próg. Obcy – dzicy i niebezpieczni ludzie – wdarli się do Kruczego Gniazda. Wraz z nimi przyszła Śmierć.

Krzepki, ciemnobrody mężczyzna trzymał w ręku naciągniętą kuszę, przemierzając wzrokiem salę i balkon, do którego przywarła Klesst. Inny, o nieproporcjonalnych kończynach i włosach mysiego koloru, potrząsał klingą o niezwyklej długości. Wydawał się być dowódcą, jako że wydawał rozkazy komuś na zewnątrz zajazdu.

Mieszkańcy gospody i ich goście zamarli przy barze. Matka (jej twarz nie zdradzała niczego) i Selle, koścista pokojówka, tuląca się do niej. Pękaty Cholos, który pracował jako barman, nerwowo oblizujący wargi, i Mauderas, stajenny, wykonujący w Kruczym Gnieździe najcięższe prace. Ten ostatni posępnie uciskał zakrwawione ramię. Dwaj bywalcy zajazdu, najwyraźniej poganiacze bydła, stali również przy kontuarze. Kolejny gość, którego zielony mundur zdradzał służbę w wojsku, leżał skulony obok przewróconego stołu, ze strzałą w plecach.

Bandyci – pomyślała Klesst z drżeniem, przypominając sobie wszystkie ponure opowieści, jakie słyszała, zazwyczaj bezpiecznie usadowiona przy kominku. Groźni zabójcy, którzy władali niedostępnymi górami, którzy zniszczyli Krucze Gniazdo pewnej strasznej nocy, jeszcze przed jej narodzinami.

Przy drzwiach zauważyła poruszenie. Pojawiło się w nich dwóch następnych zbójców, uginających się pod ciężarem trzeciego. Jednym z nich był żylasty mężczyzna, częściowo łysy, z przerwą między zębami, choć jego włosy nie zdradzały późnego wieku. Drugi, silny, o śniadej twarzy, miał odstające uszy i złamany nos. Człowiek, którego nieśli na ramionach, olbrzymi, jak ci dwaj razem wzięci. Ubranie miał unurzane w błocie i zbroczone krwią. Splątane rude włosy zwisały mu na zarośnięte, zwierzęce lico. Klesst przywołała w pamięci opowieści o wilkołakach i trolach, które straszą w górach, kryjąc się w niedostępnych jaskiniach, i wychodząc z nich w nocy, by

napadać na podróżnych i porywać dziewczynki z łóżek.

Klesst sądziła, iż ów wielki mężczyzna był nieprzytomny. Kiedy jednak wniesiono go do gospody, kolana wyprostowały mu się, i usłyszała jak mówi: usiądę tam.

Jakby trochę zniecierpliwiony, uwolnił się od uścisku kompanów i opadł na stojące przy kominku dębowe krzesło z niskim oparciem. Uszaty bandyta postawił przewrócony stół na nogi i przesunął go w kierunku olbrzyma, podczas gdy blondyn zabrał Cholosowi butelkę i przeszedł przez salę. Rudowłosy wielkolud przyjął butelkę, przywierając do niej ustami. Kiedy z głuchym odgłosem odstawił flaszkę na blat, była opróżniona do połowy.

Delikatnie odgarnął spocone kosmyki włosów z twarzy i zarzucił na ramiona płaszcz z wilczej skóry. Świeża krew z ranionego boku sączyła się przez niedbały opatrunek i skórzaną bluzę, a słabo zagojone draśnięcie na głowie pokryło jego oblicze zaschniętymi, czerwonymi smugami. Poza rdzawą brodą i posoką, skórę miał bladą od gorączki.

Jego oczy, w świetle kominka, zdawały się rzucać dziwny, błękitny blask. Może z powodu podwyższonej temperatury. Wzrok rannego wędrował po sali, zatrzymując się na zacienionym balkonie, gdzie ukrywała się Klesst. Natychmiast napotkał jej wzrok i dziewczynka zamarła z przerażenia. Zauważyła, że w jego oczach jest coś nienaturalnego, i jednocześnie coś znajomego. Kane, mimo tego, iż ją spostrzegł, dalej lustrował salę.

Zatrzymał swój wzrok na twarzy matki, jakby szukał czegoś w pamięci.

– Dobry wieczór, Ionor – pozdrowił ją.

Usta kobiety były ściśnięte; Klesst wyczuła w jej twarzy napięcie. – Witaj, Kane – wyszeptała i szybko odwróciła głowę. Klesst wstrzymała oddech, przypominając sobie Kane'a z nie zliczonych opowieści o okrutnym herszcie zabójców, które jej opowiadano. Nic dziwnego, że wszyscy stali przy barze przestraszeni...

Usłyszała, jak Kane zapytał – Weed, czy ktoś jest w pokojach na górze? Poza tym dzieciakiem, chowającym się za balustradą.

Chudy blondyn odpowiedział. – Właśnie sprawdziłem przybudówki. Teraz zamierzam przeszukać wnętrza. Mówili, że nikogo więcej tutaj nie ma...

– Upewnij się – rozkazał. – A tego dzieciaka połóż do łóżka.

Klesst jednak zdążyła już uciec do swojego pokoju.

– Jak się czujesz? – spytał Weed, zdumiony tym, jak szybko Kane odzyskał przytomność. Choć w jego ciele zawsze tliła się jakaś ostatnia rezerwa sił.

Kane mruknął wymijająco: – cholerna gorączka, przychodzi i odchodzi. Trudno mi przez większość czasu powiedzieć, gdzie się znajduję. Mógłbym przysiąc, że nigdy nie byłem tak poważnie ranny, strzała była pewnie zatruta.

– Trzeba, żeby Braddeyas oczyścił ranę i założył nowy opatrunek. Możliwe, że jad zatrął ci już cały bok.

– Później. Nie chcę, aby znowu krwawiła – Kane wytarł ostrożnie czoło, zmazując wyschniętą krew i krople potu. – Poczuję się lepiej, gdy coś zjem i złapię trochę snu. Nie mogę poświęcić więcej niż parę godzin. Pleddis nie jest daleko.

– Myślę, że możemy zaryzykować postój aż do świtu. Pleddis będzie musiał założyć obóz. Dziś księżyc Władcy Demonów – Weed przerwał, a potem dodał – po drodze zgubiliśmy Frassosa.

– Nie ma sensu go szukać – zawyrokował szybko Kane. Nie w tę noc.

Seth szedł z piętra. – Nikogo nie znalazłem – zakomunikował. -- Tylko ta chuda dziewczynka, zamknąłem ją w pokoju. Drugie piętro jest puste, ale na trzecim znajduje się komnata, w której pali się w kominka.

Kane skinął głową. Ciężko było mu się skoncentrować i czuł, że znów opuszczają go siły. – Ustaw straż tam, skąd będą mogły obserwować podwórze, Weed – rozkazał. – Kogoś zostaw i tu, niech pilnuje w środku. Obok kuchni jest spiżarnia. Zwiąż tych ludzi i zamknij ich w niej. Nie ma sensu ich zabijać. Trupa też tam wrzuc.

– Kobiety zostaw, żeby posprzątały cały ten bałagan. Wątpię, czy ktokolwiek dzisiaj jeszcze się tu zjawi. Jeśli jednak tak będzie, nie wszczynajcie od razu alarmu. Kobiety niech przygotują dla nas jedzenie. Ale uważaj na nie.

Zwrócił oczy ku pochmurnej twarzy Ionor. – Nie będziesz próbowała mnie otruć, prawda?

– Zasługujesz na coś o wiele gorszego – padu jej nerwowa odpowiedź.

– Przynieś mi drugą butelkę – powiedział do niej drwiąco. – A na ruszcie już widzę jakąś gęś. – Posłuchała niechętnie. Kane obserwował ruchy jej ciała, kiedy ostrożnie do niego podchodziła, wspomnienie wykrzywiło mu usta w zimnym uśmiechu.

– Usiądź – rzucił. Ponieważ nie było to zaproszenie, Ionor spoczęła naprzeciwko, odsuwając krzesło, które on starał się przyciągnąć do siebie.

– Czy twoje wspomnienia są aż tak gorzkie, Ionor?

Jej głos był chłodny, tylko na pozór wolny od gniewu, bo tembr dyktowała mu nienawiść. – Ty i twoi bandyci napadliście na zajazd mojego ojca, wybiliście naszych gości, wymordowaliście moją rodzinę, ograbiliście i podpaliliście Krucze Gniazdo. Moje siostry oddałeś swoim ludziom, którzy je zgwałcili, śmierć była dla nich łaską. Słyszałam ich krzyki, nawet pomimo tego, że mną zająłeś się sam. Wciąż je słyszę. Nie, Kane! Gorzkie to zbyt łagodne słowo na wspomnienia, które mam o tobie.

Błada twarz Kane'a nie okazywała żadnych emocji. – Nie powinnaś była ode mnie uciekać – powiedział, rwąc pieczony drób z osobliwą delikatnością. – Mogłem pomóc ci o tym wszystkim zapomnieć.

Oczy Kane'a biegały nerwowo, a Ionor śmiała się w duchu widząc, jak gorączka zadaje tortury temu olbrzemiemu ciału. Nic nigdy nie wymaże z mojej pamięci tej nocy – wyszeptła.

Czyjaś dłoń złapała ją mocno za ramię i poderwała z krzesła. – Przynieś nam żarcie – warknął Seth, z ustami pełnymi mięsa z talerza zabitego żołnierza.

– Może porozmawiamy później? – Kane zawołał za Ionor. Jej ramiona drgnęły, lecz nie odpowiedziała.

– Chcesz opium? – zapytał Braddeyas, kiedy zamknęli wszystkich w spiżarni. – Złagodzi twój ból i będziesz mógł spać. Potrzebujesz przecież dużo sił.

– Zasnę – wymamrotał Kane, biorąc łyk trunku. Nie otumanić umysłu, kiedy Pleddis może nas dogonić jeszcze przed następnym wzgórzem. – Broda opadła mu powoli na pierś.

Chwilę potem targnął ją do góry, rozglądając się wściekle po sali. – Przynieś mi miecz – zażądał. – Pleddis depcze nam po piętach, a ja siedzę tu, ogłupiały jak pan na swoim weselu. Nie ma czasu na sen. Nabijcie mi fajkę, ona nie pozwoli mi zasnąć.

Weed ponaglił Bradcteyasa, a ów szczerbaty bandyta zaczął nabijać cybuch kiepską tabaką, wypełniając jego dno szczyptą opium. Zapalił fajkę łubką i podał ją Kane'owi.

W drzwiach pojawił się Darros, w jednej ręce niosąc długi miecz, drugą pospiesznie ciągnąc pas. – Do diabła, nie podoba mi się ta mgła – wymamrotał, nie zdradzając jednak swoich prawdziwych myśli.

Kane wziął miecz, o rzadko spotykanej rękojeści, i oparł go przy nodze. Palcami pogładził ostrze, poczuł jego siłę. Wciąż nie docierał do niego ból, ani wyczerpanie, a jedyną gorączką było dla niego ciepło krwi przeciwnika. Kane chciał osiąść moc bez uczuć, wyjątkowo wyczerpany nie mógł teraz wypocząć. Wraz z tętnieniem w skroniach, widział, raz mniej, raz bardziej wyraźnie. –

Zaczynałem walkę w gorszym stanie – rzucił zaciekle, zaciągając się ostrym dymem, który z lekkością przedostawał się do płuc.

Kiedy fajka zgasła, Weed wyciągnął ją z rozluźnionych palców Kane'a. Jego ciężka głowa nie podnosiła się z piersi, oddech był regularny i powolny, oczy zamknięte.

– W ten sposób lepiej odpocznie – wyjaśnił Weed. – Zaniesiemy go do łóżka. Mówiliście, że na górze jest gotowe posłanie.

Potykając się pod ciężarem Kane'a, wąskimi schodami, Seth i Darros zanieśli ciało herszta na najwyższe piętro. Pokój przygotowany dla kilku gości, w jego centrum płonął kominek, a łóżko przykryto grubym kocem. Położyli na nim Kane'a i starannie okryli.

– Idźcie odpocząć – poradził Weed. – Braddeyas i ja obejmiemy pierwszą wartę.

Począł aż wyjdą, a potem pochylił się nad uchem śpiącego. – Kane – wyszeptał, – Kane, słyszysz mnie?

Z gardła Kane'a dobył się dźwięk, który nie musiał niczego oznaczać.

Marszcząc czoło, Weed pochylił się bardziej. – Gdzie to schowałeś? Pamiętasz? Zawsze ukrywałeś swoją część łupu. Dokąd ją zabrałeś, Kane? Mi możesz powiedzieć. Jestem twoim przyjacielem. Odnajdziemy twój skarb, i on pomoże nam uciec. Będziemy żyć jak królowie, gdzieś w innym kraju. Gdzie on jest, Kane?

Ten jednak zdawał się spać zbyt mocno.

Weed podniósł się smutno. – Przynajmniej nie umieraj i nie pozwól, by to złoto zgniło – błagał.

Otwierając witrażowe okno na parę centymetrów – pokój był ciepły i Weed obawiał się, że to podniesie temperaturę Kane'a – wyszedł po cichu, by dołączyć do Braddeyasa.

III

KRUKI PRZYLATUJĄ NOCĄ

Deszcz iskier prysnął z paleniska i zniknął w czeluściach komina. Weed zaklął i sięgnął po pogrzebacz, przesuwając świeże polana bliżej ich zwęglonych poprzedników; może teraz ogień będzie jaśniejszy. Ogromny kominek z wapiennych cegieł zajmował prawie cały koniec sali. Powinien był więc ogrzewać całkowicie komnatę, podczas gdy płomienie, jakby zniechęcone, ledwie muskały nienaruszone drzewo, a pomieszczenie ogarniał niespotykany jesienią chłód.

Rozcierając dłonie, wstał od kominka i jeszcze raz wyjrzał przez okno. Choć księżyc był w pełni, wciąż wznosił się ponad wzgórza, a z rzeki Cotras wstawiała mgła, by wkrótce pokryć dolinę. Zerkając przez szybę, Weed nie mógł wiele zobaczyć, tylko zaniedbane podwórze zajazdu i pokrytą liśćmi drogę. Nad wejściem, szylk kołysał się z wiatrem. Odgłos skrzypiących zawiasów przypominał krakanie kruką, a rzeźbiona figura ptaka zrzucała ruchomy cień skrzydeł na zmarzniętą ziemię.

Sprawdził zaryglowane drzwi. Zdał sobie sprawę, że na zewnątrz też ktoś powinien pełnić wartę. Nawet w taką noc, mimo iż Pleddis na pewno odpoczywał w dostatecznej od nich odległości. Znów pomyślał o tajemniczym zniknięciu Frassosa. Nie była to noc na wypadu poza bezpieczeństwo jasnych światła i zamkniętych drzwi. Nawet jako obcy w tych górach, w księżycu Władcy Demonów, Weed czuł jakieś nieczyste siły.

Ciężko opadł na ławę, oczy zwracając ku drzwiom. Z tyłu słyszał hałasy z kuchni. Dochodził stamtąd ciepły zapach pieczonego drobiu. Kiedy żywność na drogę zostanie przygotowana, zwiąże kobiety i zamknie z innymi więźniami. Potem Braddeyas obejmie wartę na zewnątrz.

Weed wpił mocno palce w oczodoły, sen usypiał mu zmysły. Braddeyas mógł się nie zgodzić. Weed nie winiłby go; wątpił, czy sam podjąłby to ryzyko. Poza tym, mimo że Weed był prawą ręką Kane'a, Braddeyas zbyt długo trzymał się z hersztem, żeby zmuszał go do posłuszeństwa.

Odgłosy z kuchni oddalały się, komponując swego rodzaju melodię. Ogień grzał coraz mocniej, i Weed czuł z boku jego ciepło. Próbuąc pokonać śmiertelne zmęczenie, wymierzył sobie bolesny policzek. Może powinien pochodzić po sali.

A może powinien wyjść, dosiąść konia i odjechać. W pojedynkę miałby większą szansę ucieczki przed pościgiem. Niech Pleddis złapie Kane'a i innych. W końcu to jego herszt winien

był tej nieubłaganej pogoni. Pleddis nie kłopotałby się ściganiem jego jednego. Nagroda za głowę Weeda była pokusą dla samotnego łowcy, a Pleddis musiał zapłacić swoim ludziom; niekorzystny rachunek mógł go uratować. Kane, mimo to, był wciąż w stanie uniknąć pojmania. Niejednokrotnie dokonywał niewiarygodnych rzeczy. Może i tym razem, zawróci strzały losu.

Weed był lojalny wobec swego wodza. Walczył u jego boku, wypełniał rozkazy – a Kane udowodnił, że jest zdolnym i szczodrym dowódcą. Prawdę powiedziawszy, podczas ostatniej walki Weed i pozostali wydarli się z zasadzki dzięki zacieklej szarży swojego herszta przez szeregi najemników. Weed jednak był bardziej lojalny wobec własnego karku, a wszystko wskazywało na to, że Kane nie odzyska już nigdy władzy w górach Myceum. Jedyнным pocieszeniem w tej porażce był łup, który Kane ukrył w nieznanym miejscu. Weed posiadał obecnie tylko konia bez podków, wyszczerbiony miecz i zniszczone wojacką ubranie. Gdyby tak Kane zaprowadził ich do swojej kryjówki...

Otoczył go słodki zapach pieczonych kurczaków i usta zwilżyła mu ślina, choć brzuch miał pełen, i wina, i mięsa, które zjadł przed chwilą. Głowa wsparła się na jego ramieniu. Powinien wstać, zanim zmorze go sen.

Poderwał się na nogi. A może tylko widział, jak jego ciało wstaje, chodzi po sali, wygląda przez zamglone okno. Kiedy tak przemierzał pomieszczenie, cienie od lamp zdawały się poruszać i układać w groteskowe wzory...

Weed upadł na podłogę z nagłym trzaskiem.

W chwili zamieszania i paniki, kopniakiem odrzucił przewróconą ławę i próbował uwolnić uwięzione nogi, myśląc, że w czasie snu zsunął się na ziemię. Nagle zobaczył nad sobą szyderczą twarz i koniuszek szpady, wymierzony w jego gardło. Weed zmarł.

Teraz pójdziemy i obudzimy go – wyszczerzył zęby Pleddis.

Weed zdławił ból i czekał na śmierć. Wiele rąk związało go, odebrało mu miecz i sztylet. Tuzin, a może więcej, ludzi Pleddisa zapełniało Krucze Gniazdo – wchodząc przez kuchnię, gdzie, z roztrzaskaną głową, leżał Braddeyas. Nagły, wściekły zgiełk najemników, rzucających się na Darrosa i Seta, choć szybko uciszony, wciąż brzmiał w zajeździe. Obaj zginęli śpiąc.

Weed pocił się. Ostrze Pleddisa błyskało mu przed oczami. Twarz kapitana najemników zdradzała radość zwycięstwa, ale jego wzrok był ostry jak miecz. – Gdzie jest Kane? – zapytał łagodnie, lecz stanowczo.

Nie spodziewając się tak szybkiej porażki, Weed stał cicho, odchylając głowę od szpady. Usta miał suche.

– Masz pół minuty. I już je prawie wykorzystałeś.

Z kuchni wyszła Ionor. Miała zarumienioną twarz i poszarpaną bluzkę. – Zanieśli go na górę – oznajmiła z nienawiścią w głosie. – Pokażę wam gdzie.

– Zanieśli?

– Jest śmiertelnie ranny. Nie może chodzić o własnych siłach.

Na jej słowa Pleddis uśmiechnął się przebiegle. – Do licha, miałeś rację co do swojego strzału, Stundorn. Podwoję ci stawkę, jeśli to naprawdę twoja strzała zwała go z nóg. Szybko, zaprowadź nas!

Zostawiając Weeda pod strażą, kapitan i kilku ludzi weszło za Ionor na trzecie piętro. Kobieta triumfalnie pokazała im drzwi pokoju, w którym leżał Kane. Uśmiech zniekształcił ogorzałą twarz Pleddisa. W środku znajdował się obiekt jego pościgu, zwycięskie zakończenie niebezpiecznej kampanii. I nagroda, która uczyni z niego bogatego człowieka.

Pamiętając o przebiegłości Kane'a, najemnicy trzymali broń, gotową na każdą, ostatnią już sztuczkę, którą mógł mieć w zanadrzu. Na zewnątrz pozostali ludzie Pleddisa otoczyli w ciemności zajazd. Kane nie miał żadnej szansy ucieczki. Ale obawiali się wścieklej siły jego miecza, nawet kiedy był śmiertelnie ranny.

Wstrzymując oddech, Pleddis kopniakiem otworzył drzwi. Nie były zamknięte i z trzaskiem uderzyły o ścianę.

Przywitała ich cisza. Kane leżał nieruchomo na łóżku. Przenikliwy wiatr, wpadłszy przez okno, wirował po pokoju. Koc poplamiała krew. Ramiona Kane'a były ułożone wzdłuż jego boków; tak pozostawili go jego ludzie. Jednym policzkiem, zwrócony był do poduszki, z częściowo otwartych ust wydostała się kałuża jakiejś cieczy. W migocącym świetle kominka jego lico wydawało się nienaturalnie rozluźnione i blade.

Wyczulony na sztuczki Kane'a, Pleddis zbliżył się do łóżka. Kiedy był pewny, że w pobliżu nie ma broni, dotknął śpiącej postaci. Skóra była zimna. Niecierpliwie potrząsnął ciałem i stwierdził, iż jest wyjątkowo sztywne. Drżąc szukał pulsu i przystawił miecz do nozdrzy Kane'a. Na ostrzu nie osiadła mgiełka. Pleddis wyprostował się zawiedziony.

– On nie żyje.

IV OGARY I SĘPY

Z rękami związanymi mocno do tyłu, Weed oparł się o stół, rozpaczliwie szukając choćby nadziei ucieczki. Z przykrym uczuciem w żołądku, zdał sobie sprawę, że jest w sytuacji bez wyjścia. Wciąż paraliżowała go panicznie myśl, iż oddał swoje życie za trupa.

Nowi przybysze wypełniali salę zajazdu, ogrzewając się przy kominku. Pleddis pozwolił im na to wiadomo bowiem było, że wszyscy bandyci zostali schwytani lub zabici. Krucze Gniazdo zdawało się być teraz ostatnim schronieniem przed okrytą mgłą nocą. Być może było. W sali znajdowało się ponad dwudziestu mężczyzn jak przystało na najemnych żołnierzy, w różnorodnych strojach. Stukając butami i głośno wiwatując, wyglądali na myśliwych, którzy właśnie powrócili z wyczerpującego, acz udanego polowania. Weed, czując na sobie ich wzrok, przypominał usidlonego lisa, otoczonego zgrają ujadających psów.

Usiadłszy przy ogniu, Pleddis był w wyśmienitym humorze. Pił wino i przyjmował pochwały od swoich ludzi. Jego ogorzała twarz niemal się zarumieniła. Zwykle nie miała odcieni, była blada i pokryta bliznami, jasna, a nie opalona od słońca i wiatru. Siwe włosy miał krótko przystrzyżone, brodę dokładnie zgoloną, oczy błękitne, choć przez swój specyficzny wodnisty cień sprawiające wrażenie szarych. Średni wzrost i mocna budowa dawały mu raczej przysadzisty wygląd. Wytarte, skórzane ubranie i kolczuga były równie nieokreślone i bezbarwne, jak on sam. Jedynie zęby, proste i białe, ukazywały się w szerokim uśmiechu który często był tylko nagłym, groźnym warknięciem. Pleddis śmiał się właśnie w tej chwili.

– Piękny dzień dla Kane'a i jego groźnej bandy zabójców, co? Schwytani jak króliki w sidła, jakby spali w ramionach mamusi. Jeden chrapiąc na warcie, drugi tak zajęty podciąganiem spódniczki gospodyni, że nie zauważył, jak ta odryglowała drzwi. Do licha, co za straszni desperaci! Głupio mi będzie brać nagrodę za takich, jak wy. Ale wezmę! – Jego ludzie śmiali się razem z nim.

Pleddis żłopał wino, tłumiąc swój dźwięczny rechot w naczyniu. – Oczywiście, zdawało się wam, że kapitan Pleddis będzie spał tej nocy, drząc przy ognisku i podskakując za każdym razem, gdy zahuka sowa. Czy nie? Na pewno tak było. Naprawdę myśleliście, że po trzech dniach przerwę pościg'?! Cóż, wychowywałem się na Thornos, nie miałem okazji słyszeć opowieści o księżycu Władcy Demonów, którego wy, mieszkańcy gór, tak się boicie. To samo dotyczy moich ludzi, choć paru z nich obawiało się jazdy.

Spochmurniał i pogardliwie spojrział na swoich żołnierzy. Kilku unikało jego wzroku. – Ale z łatwością przyszło mi ich przekonać, że zgraja biesów to mniejsze ryzyko, niż rozwścieczony Pleddis, czy nie? – Znowu się zaśmiał.

– A co z tymi dwoma, których zgubiliśmy po drodze? wykrztusił z głębi sali jakiś najemnik, wycofując się szybko przed karcącym wzrokiem Pleddisa.

– Nie zobaczycie ich już – odpowiedział im ochryply głos. – Dzisiejszej nocy poluje Władca Demonów i jego ogar, nie zobaczycie ich więcej.

Pleddis wykrzywił usta w niecierpliwym grymasie. – W tobie na pewno znalazłby niezły kąsek, kobieto.

– Greshha! – w głosie Ionor zabrzmiała nuta gniewu. Starsza kobieta wystąpiła zza zbitej masy najemników, z którymi weszła do sali. Okrągłe poliki służącej wciąż bielił strach, ona sama drżała z przerażenia i oszołomienia.

– Zatem ona jest stąd? – powiedział Pleddis. – Widzieliśmy ją na szlaku. Była tak szczęśliwa, że nas spotkała! Rzuciła się nam w ramiona. Niestety nie mogła wydusić z siebie sensownego zdania,

coś ją bardzo przestraszyło. Teraz rozumiem, to musiały być te jej bajki.

– Jest tu służącą – wyjaśniła Ionor ściśniętym głosem. Miała wolny wieczór i chciała spędzić go z przyjaciółmi we wsi, niedaleko stąd. – Wskazała ręką kuchnię, i Greshha bez słowa się tam skierowała.

W tym samym czasie Eriall, jeden z poruczników Pleddisa, którego twarz rozpoznał Weed, wniósł odrażającą zdobycz. Oto oni – oświadczył, wyciągając obie dłonie. W jego uścisku, trzymane za szkarłatne od krwi włosy, zwisały trzy głowy. Szczęki opadały im bezwładnie, języki były wywalone na wierzch, a spod przymkniętych powiek patrzyły, wywrócone do góry, gałki oczu.

– Poznajesz przyjaciół? – zaśmiał się Pleddis. – Eriall, brudzisz naszej gospodyni podłogę. Gdzie się podziały twoje maniery?

Ten wyszczerzył zęby i pokazał głowy Weedowi. – Może to ścierwo wyliże ją z krwi.

– Szkoda, że jedna z tych czaszek niemal pękła na pół zadumał się Pleddis, oplakując zniszczone trofeum. – Włóż je z innymi do soli. W Nostoblet każda z nich przyniesie nam pięć uncji złota i wątpię, żeby Ligę Kupiecką martwił fakt, iż ich to

war zniszczył się nieco po drodze. Nie zapomnij odciąć tamtej kolczyka.

– Dlaczego by nie wziąć i jego głowy, skoro już to robię? zaproponował Eriall.

Pleddis w zamyśleniu podrapał się w brodę. – Co ty na to, Weed? Chcesz wrócić do Nostoblet w solance? Za twoją głowę wyznaczono dwadzieścia uncji złota, ale mogą dać więcej, jeśli doręczymy cię nienaruszonego. Publiczną egzekucję będziesz miał wyłącznie dla siebie. Na pewno ci się spodoba. W jaki sposób chcesz umrzeć?

– Pozwólcie mi go zabić – odezwała się Ionor.

Pleddis spojrział na nią ponuro. – Krew jest pożądaniem kobiet – zacytował. – Chciałbym choć jednego dowieźć żywego do Nostoblet; niech opowie, jak kapitan Pleddis wytropił i wybił tę całą cholerną zgraję.

Twarz Ionor wykrzywił grymas bólu, oddech wzmógł się. Powieście go na balustradzie, dla mnie. Chcę widzieć, jak umiera. Mam takie prawo. Złapaliście ich w moim zajeździe. Gdyby nie zatrzymali się u mnie, wciąż byście ich ścigali.

– Uratowałem was przed Kane'em i jego ludźmi – wyłuszczył Pleddis. Podobała mu się ta gra.

– Czy głowę Kane'a mam dołączyć do innych? – wtrącił Eriall.

– Nie, płacą mi za nią pięćset uncji złota – zagrzmiał Pleddis. – Za taką sumę dostarczę całe ciało. W Nostoblet pragną go tak bardzo, iż trupa pewnie zakonserwują i wystawią na pokaz. Założę się, że każą sobie płacić za wstęp. Na pewno tak zrobią.

– Jest wystarczająco zimno, możemy przetrzucić go przez koński grzbiet i przetrwa jakoś tę podróż. W Nostoblet nie będą dbali o to, jaki ma zapach. Stundorn, weź paru ludzi i znieście ciało na dół. Połóżmy je w stajni, tam mróz nie pozwoli dojrzeć mu zbyt szybko. Uważaj tylko, żeby się psy do niego nie dobrały.

Zostawili Kane'a tam, gdzie go znaleźli martwego. Od tego czasu, w zamieszaniu spowodowanym atakiem Pleddisa na zajazd minęło kilka minut. Kapitan skupił uwagę na finansowej stronie zysku jego ostatniej zdobyczy. Stundorn wraz z innymi zniknął na górze.

– Weed, wciąż nie wiem, co z tobą zrobić – kontynuował. – Powieś go – prosiła Ionor, w jej pamięci ożywiły się sceny sprzed ośmiu lat. Wspomnienia znajomych twarzy obryzanych krwią, nóg wierzgających w tańcu śmierci na zaimprovizowanych szubienicach i zwierzęcych oczu, rozjuszonych chęcią mordowania, które śmiały się pod nimi.

– Wydaje mi się, że mogę spełnić prośbę naszej urodziwej damy – Pleddis rzucił szarmancko, wyczuwając u gospodyni pod surową maską nienawiści wyraźne piękno.

Weed zmusił się do pogardy w swoim głosie. – Spełnij ją i bądź przeklęty. W Nostoblet nie mogę liczyć na lepszą śmierć. Umrę z tajemnicą ukrytego łupu Kane'a.

W panice zdał sobie sprawę, iż nie był to najlepszy bluff. Ale w takim przypadku każde odroczenie śmierci dawało nadzieję. – No, no – zaczął Pleddis, a jego oczy zabłysły nagłym zainteresowaniem. Na balkon wybiegł Stundorn, trzęsąc się cały. – Kane zniknął – wymamrotał.

V

DOGONIĆ UMARŁEGO

Kane cicho zaklął, kiedy jego noga ześliznęła się z wapiennego muru. Na moment zawisł niepewnie w ciemności i tylko stalowy uchwyt palców uratował go przed runięciem na zmrożoną ziemię, dziesięć metrów pod nim. Upadek nie musiał go zabić, ale wysokość była dostatecznie niebezpieczna. Z trudem oparł stopę na wyłomie w ścianie i dał odpocząć rękom od ciężkiej, zbitej masy swego ciała. Sił starczało mu ledwie na to, by stać prosto a przebity bok piekł nieznośnie – jednak ból i chłodne powietrze pomagały mu zebrać myśli.

Przez otwarte okno Kane słyszał podniecone krzyki żołnierzy Pleddisa. Czuł wzbierającą wściekłość. Potrzebował więcej czasu, by zejść po murze w dół. Był tak słaby, że zanim dotknąłby ziemi jego wrogowie zdążyliby go odkryć. Ponownie but zsunął się z kamieni, jakby chciał przyspieszyć ucieczkę. Wapienne bloki wbudowano w ścianę specjalnie; były zabezpieczeniem przed tymi, którzy nie trudzili się regulowaniem rachunków. Kane mógł kontynuować wspinaczkę tylko dlatego, że przez lata górskie wiatry i zimy wyłobiły w ścianie wiele zagłębień.

Nawet skrajne wyczerpanie i opium nie były w stanie uśpić niezwyklej czujności Kane'a. Ten naturalny instynkt, który budził go ze snu tysiące razy, znów przywrócił mu świadomość bliskiego niebezpieczeństwa. Obudzony przez krótki zgiełk podczas ataku Pleddisa, niemal natychmiast zdał sobie sprawę ze swojej pozycji.

Nawet w szczytowej formie Kane nie miałby szans wobec takiej liczby najemników. Wiedział, że jest w pułapce, bez zbędnej obserwacji. Miał też świadomość tego, iż ktoś o doświadczeniu Pleddisa musiał otoczyć zajazd, zanim nań uderzył. Chwilę później wrogowie wpadliby do jego pokoju, chyba że samobójczym skokiem rzuciłby się ze schodów, albo, wdrapując się po zewnętrznej ścianie budynku, dał się zestrzelić łucznikowi.

Przyszedł mu do głowy desperacki plan. Pleddis wiedział, że jest poważnie ranny. Pozwolił, żeby wszedł do jego pokoju i stwierdził zgon. Zdawał sobie sprawę z całego ryzyka, ale nie miał innego wyjścia. Przypuszczał, iż Pleddis zredukuje strażę, widząc swoją zdobycz martwą.

Fortęł ten nie był trudny dla kogoś takiego, jak Kane. Sam jego wygląd sprawiał wystarczające wrażenie śmierci, a mroźny przeciąg, wzmocniony utrzymującą się cały czas zimną gorączką, dawał jego ciału przekonywujący chłód. Przez niezliczone lata Kane starannie studiował okultyzm, a dyscyplina samokontroli nad fizjologicznymi funkcjami ciała była znana mniej od niego zaawansowanym adeptom. Przez dłuższą część konnej jazdy był w transie, regenerując siły, a teraz wycofał tylko swoje ciało w śpiączkę, surowo kontrolując oddech i rytm serca, tak aby Pleddis przekonał się, że nie żyje.

Parę minut po tym, jak najemnicy opuścili jego pokój, Kane odzyskał pełną świadomość. Zrozumiał, że na ucieczkę ma tylko kilka chwil – krótki okres czasu po odwołaniu straży. Pleddis na pewno będzie świętował sukces długiej pogoni, i przez moment zapanuje radość i zamieszanie. Potem, ze stu różnych powodów, ktoś wróci po trupa. Do tego czasu musi zniknąć.

Zdażył w ostatniej sekundzie. Ledwie opuścił się z okna, gdy do pokoju wszedł Stundorn. W odmiennej sytuacji, gdyby nie zdumienie i przerażenie, wyrzałby przez otwarty luk.

Kane nie mógł zejść na ziemię na czas. Szybko podjął jedyną decyzję. Obok, w zasięgu ręki, było drugie okno. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, chwycił się jego zaciemnionej krawędzi. Zdołał jakoś utrzymać uścisk i wesprzeć się o gzyms. Pchnął szyby. Okno było zamknięte.

Kane sięgnął do pasa, wyciągnął nóż i wbił jego ostrze w szczelinę pomiędzy parapet i ramy. Ruchy bandyty zdawały się zdradzać panikę, ale ten pośpiech wynikał z doświadczenia. W parę

chwil zamek pękł z trzaskiem.

Otwierając okno, Kane prześliznął się między jego skrzydłami. Gdy tylko zniknęły płaszczyzny miecz wojownika, jakiś żołnierz wyjrzał na zewnątrz z byłej komnaty Kane'a i zawołał – Na ścianie nie ma nikogo.

Kane uśmiechnął się dziko i utkwiał wzrok w ciemności nowego pokoju. Nie był sam.

Na wąskim łóżku leżała skulona, niewielka postać. Kiedy patrzyła tak na ten olbrzymi, groźny kształt, którego kontury rysował blask księżyca, jej oczy błyskały równie wyraźnym światłem.

– Ty żyjesz? – wyszeptała. Jego pojawienie było czymś nadzwyczajnym; słyszała wcześniej okrzyki zza drzwi.

Kane nie odpowiadał. Przeszedł po pokoju dziecka; zobaczył, że jest zamknięty od zewnątrz. W rękach wciąż trzymał sztylet. – Zachowuj się cicho – powiedział półgłosem.

Głos Klesst brzmiał uroczyście. – Nie powiem im, że tu jesteś – szepnęła. – Ojczy.

- Pamiętam pewien wieczór na wybrzeżu – opowiadał Pleddis, gapiąc się w pusty pokój.

– Była późna jesień, przygotowywaliśmy na noc obóz. Zbieraliśmy właśnie drzewo, które wyrzuciło morze, żeby rozpalic ognisko; jeden z nas, ciągnął za sobą spory drąg, zauważył żmiję, grubą jak ramię, w całej swej okazałości, rozleniwioną chłodem nocy. Chłopak był z wybrzeża; wiedział, z czym ma do czynienia, nie tracąc więc czasu na wyciągnięcie miecza, potraktował żmiję badylem. Uderzył w nią z pięćdziesiąt razy, aż złamał kij, a gad był o połowę chudszy. Żmija zdechła, nie myśleliśmy o niej więcej.

– Na jakiś czas przed zmianą wart zerwaliśmy się ze snu. Psiakrew, ten wrzask zmroził nasze żyły. Spod koca wyskoczył chłopak, a w jego szyi tkwiły kły tej cholernej, czarnej zmi. Jej głowa była większa niż pięść, a jadu miała tyle, że ów młodzik nie żył już, zanim sięgnęliśmy po pochodnie.

– Od tej nocy nie ufam zdechłym żmijom. Zawsze siekę je na kawałki, nawet jeśli wglądają na bardzo martwe. Dzisiaj tego nie zrobiłem – zakończył gorzko.

– Nie mógł daleko uciec – stwierdził Eriall. – Nie miał zbyt wiele czasu, i przecież był ranny.

Pleddis chrząknął i zaczął badać parapet okna. Latarnie oświetlały go od spodu. – Widać co? – huknął na podwórze, Nattios odkrzyknął – Nic. Żadnych śladów. Przyjrzymy się ścianom.

Pleddis wiedział, że góral jest świetnym tropicielem. – Rozejrzyj się dobrze. Tu, na krawędzi, są ślady krwi.

– Nie, nic nie ma – po chwili padła odpowiedź.

– Tam na dole widzę kamyki – powiedział Eriall, wyciągając krótką szyję i spoglądając w dół.

– Tak jest i śnieg – odburknął Nattios – Równie dobry w zachowywaniu śladów, jak piasek. Nie ma nic.

– Tak czy inaczej, Kane nie mógł się spuścić po murze w dół – stwierdził uparty porucznik. – Nie mógł tego zrobić ktoś takiej postury, nawet w formie. Krew jest fałszywym tropem.

Pleddis zaśmiał się. Nie był przyjemny. – Kane mógł to zrobić. Nie leży przecież w łóżku. Musiał uciec, albo przez okno, albo przez drzwi. Przy każdym wyjściu mam swego człowieka, i jeśli nie ma żadnych śladów na zewnątrz, on musi być w środku. To mu i tak nie pomoże, znajdziemy go.

Może wydostał się w inny sposób i swoje ślady pomieszał z naszymi. Przybiegliśmy z wielu stron – Eriall upierał się.

– Możliwe, ale myślę, że Kane miał zbyt mało czasu na przebiegłe sztuczki. Schował się gdzieś tutaj. Jeśli nie, trop odszukają psy. Dopóki nie ma konia, nie ucieknie daleko.

W zarośniętej twarzy Stundorna było coś dziwnego – Kapitanie, czy on tylko udawał martwego?

Pleddis spojrział na niego. – Umarli nie uciekają. – Nagle rzucił groźnie. – Chyba że jakiś drań wśliznął się do pokoju i ukradł ciało dla nagrody. – Pomyślał uważnie. – Nie, jestem pewien was

wszystkich, tych którzy byli na górze, też. Jeżeli jednak, okaże się, że któryś coś knuje, jego głowa wyląduje w solance, obok innych, i nie będzie kosztować Ligi Kupieckiej złamanego grosza.

Stundorn pamiętał jednak, jak śmiertelnie ranił Kane'a. – W każdym razie, to księżyc Władcy Demonów. Mówią, że jego potęga ma dziś we władaniu góry. Może potrafi ożywić umarłego. Do tego wszystkie te legendy o Kanie. Niewykluczone, iż ścigamy trupa, Kapitanie.

Twarz Pleddisa nie zdradzała przez chwilę niczego. Potem wszyscy usłyszeli suche warknięcie. – Być może, Stundorn. Ale pamiętaj, ten trup wart jest pięćset uncji czystego złota, i jeśli zjawi się u ciebie, zawiadam mnie.

– Ojcze! – Kane'owi wyrwało się głośniejsze niż zamierzał. Podszedł do łóżka dziewczynki.

– Tak – szepnęła Klesst. – Widziałam, kiedy przyjechałeś, i wszyscy mówili, że to ty jesteś Kane. Dzieci z wioski nazywają utnie twoim bękartem. Opowiadają, jak porwałś Matkę po napadzie na zajazd, i potem, kiedy uciekła od ciebie i wróciła, miała już mnie, i że ty właśnie jesteś moim ojcem.

Kane popatrzył się na nią.

Spójrz, jak ty mam rude włosy, oczy tak samo niebieskie

– Klesst nie próbowała uniknąć jego wzroku. – W ciemności widzę lepiej niż inne dzieci, a to samo mówią o tobie.

– Twoja babcia – wymamrotał Kane, dotykając twarzy dziecka

– Nie powiem żołnierzom, gdzie się ukryłeś – zakończyła. – Powinnaś mnie nienawidzić – ciało dziewczynki płonęło. Jego również.

– Nie – stwierdziła Klesst. – Inni mnie nienawidzą. Ale kiedy słyszą o tobie, boją się. Lubię na nich patrzeć, kiedy się boją. Nawet przy mnie ogarnia ich strach.

Kane potrząsnął głową. Podniesione głosy jego prześladowców przypomniały mu, gdzie jest. Odwracając wzrok od Klesst, zaryzykował spojrzenie przez okno. Najemnicy ustawiali naokoło zajazdu pochodnie i latarnie. Wiedział, że nie znalazłszy śladów na dworzu, zaczną przeszukiwać budynek. Zdrapując z butów brud, zamaskował nim jasne rysy na parapecie, który zniszczył nieco, otwierając nożem okno. Nie zauważył natomiast żadnych plam krwi.

Posępny, analizował swoje szanse. Nie były duże. Ów fortel dał mu parę minut więcej. Koniec wydawał się nieunikniony, chyba że uda mu się przedrzeć niepostrzeżenie przez obławę. Ale nawet wtedy...

Kane zmuszał swój umysł do jasnego rozumowania. Przez moment zagrożenie śmierci było silniejsze niż wyczerpanie. Jakies ostatnie resztki sił wciąż trzymały go na nogach, kiedy już dawno gorączka i opium powinny były odebrać mu przytomność. Opór musiał się jednak kiedyś załamać.

– Znam cię ze snu – powiedziała do niego córka. -- Nie znałam jednak twojego imienia.

Chciał ją uciszyć, lecz nie zrobił tego. – Jak możesz śnić o kimś, kogo nigdy nie widziałaś? – zdziwił się niemal jak dziecko. Spotkanie z Klesst przygnało do jego pamięci wspomnienia, w których nie chciał teraz tkwić.

– Widziałam cię – nalegała dziewczynka. – I drugą postać, ubraną w czarny, długi płaszcz. Był z nią olbrzymi, czarny ogar.

Kane z przerażeniem nakazał jej milczenie. Żołnierze przechodzili korytarzem. Przeszukiwali pokoje.

Kane sięgnął ręką przez prawe ramię, i cicho wysunął z pochwy stary miecz ze stali z Carsultyal. To dobra broń, pomyślał z dumą. Ten typ był wyjątkowo rzadki, podobnych było prawdopodobnie niewiele. Carsultyal dawno pogrzebał piach, morze i czas. A pamięć o tym mieście umrze wkrótce wraz z jego ostatnim obywatelem.

Ponownie wyjrzał przez okno. Żołnierze pilnowali podwórza. Mógłby zabić pierwszą grupę najemników wchodzących do pokoju ale na ich miejsce znaleźliby się następni, a ranny Kane nie byłby w stanie stoczyć dobrze swej ostatniej walki.

Drzwi były zamknięte od zewnątrz. W środku leżała Klesst. Może dlatego przeszukają pokój mniej starannie; założą, że dziecko krzyczałoby widząc, jak Kane ukrywa się w jego komnacie.

Próżna nadzieja. Poza tym pomieszczenie było zbyt małe. Kane przypuszczał, że to jeden z tych wąskich, jednoosobowych pokoi dla bogatych podróżnych, którzy nie raczyli dzielić sypialni z innymi gośćmi. Takie zakwaterowanie kosztowało drogo, a i miejsca nie oferowało wiele, ale zamożny komiwojażer nie musiał bynajmniej spać na tym samym łóżku, co trzej uświnieni poganiacze bydła.

Żołnierze zaglądali do pokoju, który nie mógł znajdować się daleko.

Na kryjówkę nie było miejsca. Gołe, drewniane ściany. Ani kufrów, ani obić na deskach. Kane nigdy nie zmieściłby swego olbrzymiego ciała pod maleńkim łóżkiem Klesst. Została tylko szafa. Mebel dodawał pomieszczeniu posmaku luksusu. Kane otworzył jej drzwi. Wydawała się zadziwiająco obszerna jak na tak mało pojemny zajazd. Ze środka wydobywał się dziwny, wilgotny zapach. Na wieszakach wisiało kilka sztuk odzieży.

Warto spróbować. Jeśli uchylą drzwi, zdecydował Kane, rzuci się na nich i przy odrobinie szczęścia zgładzi paru, zanim stawią mu czoła. Lepsze to, niż czekanie w środku pokoju na śmierć, jak skazaniec w celi.

– Jak masz na imię? – zapytał nagle. – Klesst.

– Cóż, Klesst. Schowam się do szafy. Chcę, żebyś zamknęła ~ą od zewnątrz i wróciła do łóżka. Kiedy przyjdą żołnierze, powiedz im, że nikogo tutaj nie było. Jeżeli ci nie uwierzą, i zajrzą do szafy... powiedz im potem, że skrzywdziłbym cię, gdybyś nie zrobiła tego, co kazałem.

Pod wrażeniem ważnego zadania, które właśnie otrzymała, Klesst skinęła głową. Uśmiechnęła się niepewnie, przekręcając klucz w zamku mebla. Ledwie miała czas, by dotrzeć do łóżka, kiedy do drzwi podeszli najemnicy.

– To pokój dziecka – zauważył ktoś. – Zamknięty. – Otwieraj – burknął rozkazująco inny.

Zazgrzytał rygiel, do środka zajrzały podejrzliwe twarze. Burkliwy głos należał do otyłego mężczyzny o szerokich ramionach i kołyszącym chodzie. W dłoni trzymał kuszę, palcami obejmując cyngiel. – Hej, bąku – zawołał, – był tu kto?

– Nie, proszę pana – powiedziała Klesst, starając się uprzejmością wzbudzić w nim zaufanie.

Oczy żołnierzy wnikliwie penetrowały komnatę. – Jesteś pewna?

– Tak, proszę pana. – Nie spałaś?

– Nie, proszę pana.

– Na pewno przez cały czas nie spałaś? – Nie..., to znaczy tak, proszę pana.

Człowiek z kuszą wszedł do pokoju. Za nim inni. W dłoniach mieli broń, gotową do walki.

Najemnik o szczupłej twarzy, przyjrzał się oknu. – Zamknięte, Stundorn. Nie ma śladów krwi, ani niczego innego – stwierdził niskim głosem.

Stundorn uniósł kuszę. Klesst zastanawiała się, dlaczego stalowy łuk nie uwalniał cięciwy. – Mogło być otwierane wcześniej. Ten pokój znajduje się pod komnatą Kane'a, jest tylko nieznacznie przesunięty w bok. On mógł tu być.

Groźnie spojrzął na dziewczynkę. – Widziałaś coś? – Nie, proszę pana.

– Nie oszukujesz mnie, prawda? – Nie, proszę pana.

– Czy wiesz, co spotyka dzieci, które kłamią?

– Tak, proszę pana. – Wyobraźnia Klesst dostarczała jej tysiące prawdopodobnych możliwości.

– I nie widziałaś wielkiego bandyty, z krwawiącym bokiem, po tym, jak go raniłem?

– Nie, proszę pana.

– Szafa zamknięta od zewnątrz – zauważył ktoś.

– Nie chowasz chyba mojego bandyty u siebie w szafie, co? – zapytał Stundorn silniejszym głosem.

– Nie, proszę pana.

Co spotyka dziewczynki, które kłamią? – Wiesz, swędzi mnie nos.

– Nie wiem, proszę pana.

– To fakt. Swędzi mnie za każdym razem, gdy słyszę kłamstwo.

Klesst patrzyła na niego z przerażeniem.

– Jak myślisz, dlaczego swędzi mnie teraz?

– Nie mam pojęcia, proszę pana – odpowiedziała drżąc. Stundorn stanął w pewnej odległości od drzwi szafy. Oparł

kuszę na ramieniu i wycelował w mebel, na wysokość klatki piersiowej. Palce zacisnął na cynglu.

– Otwórz, Profaka – rozkazał szczupłemu żołnierzowi. Profaka szybko dosięgnął zamka i przekreślił go. Nagłym ruchem szarpnął drzwi.

Szafa była pusta.

– Budynek jest pusty – Eriall poinformował kapitana. Przeszukałem go od piwnicy po strych, zaglądałem w dziury, w których nie zmieściłby się zwykły garnek. Kane'a tu nie ma i to jest fakt.

Pleddis przytaknął zmęczony. Nadzorował poszukiwania. Tak, i faktem jest też to, że nie mógł wydostać się na zewnątrz. Moi ludzie pilnowali każdego zakątka zajazdu.

Ze złością uderzył pięścią w ścianę. – Kane musiał jakoś uciec, jeszcze zanim to spostrzegliśmy.

– Ale jak? Byliśmy pewni, że jest w środku.

– Właśnie cholernie się upewniliśmy, że go w środku nie ma! Powiedz mi teraz, co dalej.

Eriall ucichł. Gładził swoją ogoloną czaszkę. Nagły śmiech Pleddisa przeraził go.

– Wiem, co zrobił Kane! – kapitan wyszczerzył białe zęby. – Pomyśl tylko. Kane jest sprytny i ma w zanadrzu wiele sztuczek. Wyszedł przez okno, to pewne, ale nie zsunął się w dół. Wiedział, że o to właśnie będziemy go posądzać. Wspiął się zatem na górę. Był na ostatnim piętrze, łatwiej przyszło mu wejście na dach niż opuszczenie się na ziemię.

– Kane musiał przedostać się do miejsca, gdzie dach graniczy ze spalonym północnym skrzydłem. Potem po omacku zszedł po starych murach do zniszczonego wnętrza i pokonując gruzy, zniknął w ciemności; my w tym czasie zastanawialiśmy się, gdzie jest jego ciało.

– Kiedy my zaglądaliśmy pod łóżko, on miał wystarczającą swobodę, by uciec – mruknął Eriall.

– Możliwe – przyznał Pleddis, wciąż dumny ze swojej inteligencji. – Ale Kane nie ma konia. Ranego, i uciekającego pieszo, złapiemy w godzinę. Nattios! Znajdź Ionor i powiedz jej, że potrzebujemy psów gończych. Pospiesz się. O co chodzi?

– Będziemy go ścigać? – góral zapytał niespokojnie. Wkrótce północ. Władca Demonów rozpoczyna polowanie.

– Ruszaj się, do diabła! – zasyczał Pleddis. – Tak, będziemy go ścigać. Chcesz, żeby Kane'a złapał Władca Demonów? Lord Tloluvin nie potrzebuje złota.

– Nie wymawiaj tego imienia – sapnął Nattios. Kiedy jed

nak zobaczył w oczach Pleddisa wzbierającą wściekłość, wybiegł odnaleźć Ionor.

VI ZA LAT SIEDEM USŁYSZYSZ DZWON

Ionor zwróciła się do Greshhy z niekontrolowaną złością. – Dlaczego wróciłaś? Kazałam ci na noc opuścić zajazd. Były same w największej kuchni Kruczego Gniazda. Krzyki obok przypominały o pospiesznych i chaotycznych poszukiwaniach, prowadzonych przez ludzi Pleddisa. Dołączyło do nich dwóch poganiaczy bydła. Ionor ze swej strony poleciła, by najemnikom pomagali również Cholos i Mauderas, a Sele oprowadziła ich po całym budynku. Miała pewność, że odnajdą Kane'a, a jeśli wciąż jest w obrębie murów zajazdu. Inaczej...

Zacisnęła wargi z wściekłości na Greshhę, która unikała jej wzroku. – Pytałam, dlaczego wróciłaś?

Służąca wzięła głęboki oddech. Jej korpulentne ciało drżało. – Zdaje się, że nie chciałaś mnie tutaj – wymamrotała, z twarzą zwróconą ku ziemi.

– Co powiedziałaś?!

Greshha uniosła głowę, wzrokiem przeszywając właścicielkę gospody. – Myślę, że wiem dlaczego odesłałaś mnie na noc wycedziła głośno, niemal prowokująco.

Ze ściśniętych ust Ionor wydobył się syk. Wziąwszy potężny zamach, zatrzymała jednak rękę. – O czym tym mówisz? – ostry ton jej głosu był jak nie wymierzony policzek.

– Nie jestem pomyłona. Pamiętam – beznamiętnie rzuciła Greshha. – Wiem, jak nienawidzisz tego dziecka.

Jak pantera zginająca pazury, Ionor zacisnęła długie palce w pięść, a potem otworzyła dłoń. Potrząsnęła głową i warkocz opadł jej luźno na plecy, sprawiając wrażenie groźnego, czarnego ogona.

Tęga góralka nie zadrżała przed spojrzeniem swojej pani, w którym była oczywista groźba. – Biedna Klesst. Nie mogłam winić cię za nienawiść do niej, kiedy przyszła na świat. Ale po tylu latach! Opiekowałam się nią zamiast ciebie, mając nadzieję, że w końcu pokochasz swoje dziecko. Tak się nie stało, Ionor. Nie ma w tobie miłości – tylko nienawiść. Ona wydarła ci z piersi duszę, nie kochasz już nawet własnego ciała.

– Zamknij się, gruba idiotko! Tolerowałam twoje wścibstwo, ale tym razem przekroczyłaś granicę.

– Nigdy nie sądziłam, że doprowadzisz to do końca. Przez cały czas myślałam: ona złagodnieje wobec Klesst. Nie – jesteś zimną, wypaloną kobietą, Ionor. Nie ma w tobie serca. I teraz już wiem, iż tego pragniesz.

Ionor cofnęła się do stołu, na którym zwykle krajano mięso. Usta wykrzywił jej pogardliwy grymas. – O czym ty mówisz? Chwyciwszy oddech, Greshha mówiła dalej. Jej okrągła twarz przybrała wyraz ponurej determinacji.

– Pamiętaj, że byłam tu podczas porodu. Siedziałam z tobą, kiedy twoje wrzaski i przekleństwa odpędziły wszystkich od łóżka. Trzymałam cię i próbowałam ukoić, podczas gdy siostra musiała użyć noża, żeby wydostać Klesst z twego łona. Nawet kiedy przeklinałaś bogów, tkwiłam przy tobie i żałowałam cię, bo nikt nie dawał ci szansy na przetrwanie.

Siedem lat temu. Wszyscy mówili, że to cud, gdy dziecko i ty przeżyliście noc. Ale tylko ja wiedziałam, jaki cud wydarzył się naprawdę.

– Jesteś starą maniaczką, Greshha!

– Starą tak, ale nie maniaczką. Nie powinnaś była wykrzykiwać takich rzeczy; nie w noc, kiedy księżyc Władcy Demonów zaglądał przez okno. Nie słuchało się ich najlepiej, dlatego wszyscy

wyszli. Przyznaję, że bałam się i ja, i po narodzeniu się dziecka, po tym, jak akuszerka zrobiła co mogła, kiedy dostałaś opium, żeby łatwiej zasnąć... opuściłam cię i przyrzekłam sobie opiekować się niemowlęciem. bo jego matka nie dotrwa świtu.

– Potem, psy zaczęły wyć i kulić ogony ze strachu, a ludzie stłoczyli się przy ognisku i modlili... nie mogłam zostawić cię samej w chwili śmierci, nie, gdy ognisko płonęło wątłym, niebieskawym płomieniem. Stąpając na palcach do twojego pokoju, modliłam się z każdym krokiem, przerażona samą myślą o sapiących odgłosach, które wszyscy słyszeliśmy na podwórzu.

– Zatrzymałam się pod drzwiami i doszedł mnie twój głos, oraz drugi, który ci odpowiadał. Wiedziałam, z kim rozmawiasz i wiedziałam, co spotkałoby mnie, gdybym weszła do środka. Zamarłam, zbyt przestraszona, nawet żeby drżeć, a słowa, wypowiedane przez was obojga, wryły się w moją pamięć, jak gorące żelazo w skórę. Jeszcze po tym, kiedy odszedł, stałam i cicho płakałam. Zobaczyłam cię śpiącą, z tym złym uśmiechem na ustach, i wiedziałam, że rano będziesz zdrowa.

– Ale na bogów, Ionor, nie spodziewałam się takiego uporu z twojej strony. Przysięgam, udusiłabym cię, gdybym tylko mogła to przewidzieć. Myślałam: ona pokocha to dziecko, kiedy przytuli je do piersi, i zapomni horror, wstyd i ból: Ale ty nigdy jej nie przytuliłaś, nigdy nie nauczyłaś się kochać, bo masz w sobie jedynie nienawiść.

– Wiedziałam, dlaczego nie chcesz mnie tu dzisiejszej nocy, i z tego powodu wróciłam. Nie odejdę. Nie pozwolę ci tego zrobić.

– Ty wścibska idiotko! – Ionor splunęła. Jeśli odważysz się przeszkodzić... Cóż możesz zrobić? Greshha rozłożyła wojowniczo ręce. – Są tu żołnierze. Kapitan Pleddis ma pełnomocnictwo Ligi. Nie pozwoli ci na to. Ionor wybuchnęła śmiechem. – Pleddis to bezlitosny łowca nagród. Jego żołnierze są tylko wynajętymi opryszkami. Nie obchodzi go, co robię. Chce wyłącznie Kane'a.

– Możliwe. Ale dowiem się, co on na to. – Nie bądź jeszcze bardziej nierozsądna.

– Może zainteresuje go fakt, że Kane'a, w takim razie, też nie złapie.

– Ostrzegam cię.

Greshha spojrzała na ostre rysy jej twarzy. Nie miała już wątpliwości, zamiast nich pojawił się strach. Służąca zaczęła zmierzać do drzwi sali; słyszała, nadchodzące stamtąd, ciężkie kroki.

Kiedy odwróciła się plecami do Ionor, ta poderwała ze stołu dłoń. Ukryta w pięści stał ostrza rozłupała czaszkę Greshhy. Ciało góralki opadło na podłogę, niczym worek mąki.

Nie spoglądając nawet na skulony kształt, Ionor popatrzyła na drzwi. Działała z wściekłą konsekwencją i bez zastanawiania. Ktoś zbliżał się do kuchni.

Był to Mauderas. Stał w progu jak wryty. Jego pokaźna figura zasłoniła przejście, a za nią rozciągał się bar, za którym z kolei widać było ludzi Pleddisa.

– Zamknij te drzwi – rzuciła. – Zamknij na klucz. Mauderas posłusznie wykonał polecenie, choć jego wzrok dalej zdradzał osłupienie. – Co się stało?

– Nic – odpowiedziała Ionor. – Musiałam powstrzymać ją przed rozmową z Pleddisem.

– Nie żyje? – Tak myślę.

Mauderas zwilżył językiem wąsy i obejrzał kuchnię. Zewnętrzne drzwi były zaryglowane, chociaż ludzie Pleddisa i tak je pilnowali od strony podwórza. Na szczęście, okna w tylnej ścianie pomieszczenia wciąż stały roztrzaskane. Nikt nie widział... jeszcze...

– Nie rozumiem, na czym mogło tak bardzo zależeć Pleddisowi.

– Nie zapominaj, że kapitan jest człowiekiem prawa – wyjaśniła szybko. – Może nie wykorzystałby swojej władzy, a może by to zrobił. Nie wolno teraz kusić losu. Nie chcę bawić się z nim w kotka i myszkę. Musimy ukryć jej ciało – a jeśli ktokolwiek będzie pytać – powiedz, że wróciła do wsi.

– Jak? Jest zbyt duża, żeby ją gdzieś, ot tak po prostu, upchnąć, a ludzie Pleddisa są wszędzie. W każdej chwili mogą tu pxyjść. Nie znaleźli przecież Kane'a, i kapitan był już bliski zrywania podłóg, w poszukiwaniu potencjalnych kryjówek.

– Wiem, tu też zaglądali dwa razy. Czy wygląda na to, iż Kane uciekł z zajazdu?

Mauderas skinął przytakująco głową – Pleddis wie jak. Zaraz wyjadą przeczesywać wzgórza.

Ionor myślała przez chwilę w skupieniu, i podjęła:

– W takim razie, zrobimy to starym sposobem. Wynieś ją sekretnym przejściem i utop. Tym sposobem na pewno jej nie znajdą.

Mauderas położył swoją wielką dłoń na jej ramieniu. – Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz to robiłem.

– Jestem przekonana, że twoja ręka nie straciła pewności.

– Nie używaliśmy tego przejścia od napadu. Myślałem, iż chcesz zapomnieć o starych czasach i tajemnych korytarzach.

– Pamiętam, co mówiłam. Ale dzisiaj nie mogę ryzykować. – Cokolwiek rozkażesz, Ionor – wzruszył ramionami. Pochylając się nad nieruchomym korpusem, ułożył go z chłodną precyzją kogoś, kto wykonywał tę czynność nie po raz pierwszy. Podniósł się z jękiem, bezwładne ciało Greshhy wisiało na jego szerokich plecach. – Stara kobieta waży więcej niż kawał wieprzowiny – wydusił z siebie.

Ale Ionor już przy nim nie było. Zbiegając po schodach do piwnicy, zatrzymała się i chwyciła fragment poręczy. Mocnym szarpnięciem odciągnęła pionowy szczebel balustrady, jakby manewrowała dźwignią. Istotnie, była to dźwignia. Gdzieś pod spodem zadziałała przeciwwaga, i spora część kamiennej podłogi piwnicy gładko wsunęła się w zewnętrzną ścianę.

Ukazał się ciemny kwadrat, z którego buchało stęchłe, wilgotne powietrze. Jak oddech jakiegoś drzemiącego potwora. Rzeczywiście, z głębi dobywał się jakby stłumiony oddech – odległy, bolesny jęk.

Śliskie wapienne schody prowadziły w mrok. Mauderas wziął od Ionor lampę, i zgięty pod ciężarem trupa, świecił nią niezdarne. Z powątpiewaniem lustrował zejście.

– Pospiesz się. Ktoś mnie chyba woła.

Mauderas mruknął i postawił nogę na najwyższym stopniu. – Pospieszę się. Ale wrócę równie prędko, żeby ogrzać cię w nocy.

Ionor wykonała gest zniecierpliwienia. – Zostań tu przez chwilę, zanim wrócisz na górę. I skorzystaj z drugiego wyjścia. Uwierzą mi, jeśli powiem im, że poszedłeś odprowadzić kawałek Greshhę. Po tym wsaystkim nikogo już nie zdziwi w noc Władcy Demonów zniknięcie służącej.

– Cokolwiek rozkażesz – z ciemności dobył się głos Mauderasa. – Wrócę prosto do ciebie, rozgrzeję cię nieco.

Ionor szybko przestawiła dźwignię do pionowej pozycji. Ruchoma część kamiennej posadzki wsunęła się na poprzednie miejsce. Kiedy wróciła do kuchni, usłyszała przeraźliwe walenie do drzwi.

– Przepraszam, byłam w piwnicy po wino – wyjaśniła, wpuszczając Nattiosa i jego kompanów. – Kiedy diabeł jest na wolności, kobieta powinna się zamykać w bezpiecznym miejscu.

VII

TAJEMNICA KRUCZEGO GNIAZDA

Szczęśliwy, że nie połamał kości, Kane z trudem podniósł się na nogi. Utykałby strasznie, gdyby nie wysokie buty, które ochroniły mu kostki, tak że upadek nie spowodował obezwładniającego zwichnięcia, albo jeszcze czegoś gorszego. Masował posiniaczone ramię; niemal wyskoczyło ze stawu. Zgodnie jednak z prawami natury, powinien leżeć tu ze złamanym karkiem.

Rozejrzał się, rekonstruując wydarzenia. Rozsadzający ból ustępował ze świadomości.

Kiedy Klesst zamknęła drzwi szafy, Kane oparł się o jej tylną ściankę. Zaskoczony, poczuł, że traci równowagę. Po omacku, złapał palcami coś – czy był to wieszak? – co przesunęło się razem z nim.

Potem część podłogi, na której stał, zapadła się, i Kane runął w ciemność. Na ślepo wyciągnął rękę. Jego dłoń chwyciła drewniany szczebel drabiny. Zmurszała żerdź pękła, szarpnięta stu pięćdziesięcioma kilogramami kości i mięśni.

Rozbujany wstrząsami, Kane desperacko czepił się paznokciami ściany. Kolejne zbutwiałe szczeble trzaskały pod jego ciężarem. Mimo to, były pewnym hamulcem dla spadającego ciała. Stalowe ścięgna Kane'a zaciskały się na przemykających żerdziach, które w końcu prawie zatrzymały jego lot. Niestety, nadwerężone drewno nie mogło wytrzymać pędzącej masy. Drabina runęła w dół na kamienie.

Ostatnie trzy metry Kane spadał razem z nią, lądując stopami na wraku roztrzaskanej konstrukcji.

Niezupełnie świadom po oszołamiającym uderzeniu, leżał kilka minut. Nad nim rozciągał się, bezkresny na pozór, ciemny szyb. Kane nie miał pojęcia, jak głęboko spadł. Był w pomieszczeniu, znajdującym się pod piwnicą Kruczego Gniazda.

Z otartych dłoni wyciągnął parę pokaźnych drzazg. Delikatnie nastawił palce, poza tym nie miał obrażeń. Na twarzy pojawił się uśmiech, okaleczone ręce uczyniłyby go bardziej bezbronny niż złamana noga. Rozglądając się wokół, odnalazł swój miecz, którego ostrze tkwiło wbite w podmokłe podłoże. Wyciągnął go i zdał sobie sprawę, że nieomal nabił się na twardą stal.

Znów spojrział w mroczne czeluście szybu. W jakiś sposób Kane uwolnił mechanizm sekretnych drzwi w tylnej części szafy. Oczywiście przeciwwaga natychmiast zamknęła lukę, inaczej widziałby światło i zdziwione twarze, przypatrujące mu się z góry. Do ściany szybu przymocowano drabinę, wspinaczka po niej nie była jednak możliwa, po zniszczeniu, jakie spowodował.

Kane zastanawiał się właśnie nad przeznaczeniem pomieszczenia, kiedy usłyszał nad głową zgrzytliwe szuranie. W suficie, jakieś piętnaście metrów po jego lewej stronie, pojawiło się światło. Część sklepienia drgnęła, odkrywając długi rząd kamiennych schodów. Z góry słychać było głosy.

Gniewnie zacisnął wargi. -- Czy najemnicy Pleddisa wytropili go nawet w tej zapomnianej norze? – Kane ukrył się za potężną kolumną. Czekał, w krwawiącej dłoni dzierżąc miecz.

Miast przewidywanego zalewu żołnierzy, zobaczył tylko jednego mężczyznę, który schodził do jamy – następnie luk zamknął się. Kane zmrużył oczy, próbując odgadnąć bieg wydarzeń. W owym mężczyźnie rozpoznał kogoś ze służby Ionor, lecz kobiety na jego plecach nigdy wcześniej nie widział. Taki obrót spraw był dla niego zagadką. Co więcej, oznaczał, że nie odkryto jego obecności – wręcz przeciwnie, tęgi służący był całkowicie pochłonięty zadaniem, które wymagało dyskrecji.

Przybysz dzierżył w dłoni lampę. Jej światło ledwie starczało, by objąć ściany pomieszczenia, kilkadziesiąt metrów wszystkiego, oraz rozjaśnić stemple i sklepienie. Była to naturalna grotka, przerobiona kiedyś na sekretną piwnicę. W ciemności czuło się

zgniły powiew, który poruszał płomieniem latarni. Kane zauważył też w najdalszej ścianie

przejsście, prowadzące na zewnątrz.

Mauderas rozglądał się wokół. Jego twarz zdradzała strach bardziej niż jakiegokolwiek podejrzenie. To miejsce, znaczone krwią niezliczonych mordów, nie stanowiło bezpiecznego schronienia, zwłaszcza w noc Władcy Demonów.

– Co u diabła! – wykrzyknął, podnosząc nagle lampę. Nikłe światło wylapywało rozbite szczątki drabiny, a Mauderas nerwowo machał kagankiem we wszystkie strony, jak człowiek w agonii, nie kontrolujący swoich członków. Ciało kobiety zsunęło się mu z ramion i gruchnęło z łoskotem o ziemię.

– Nie była aż tak zbutwiała, żeby sama się zawalić – pomyślał na głos. Wyciągnawszy miecz, posuwał się w kierunku szczątków, z lampą wysuniętą przed siebie jak tarczę.

Kaganek rozbił się o posadzkę. Języki ognia lizały wilgotne, kamienne płyty. Komicznie wykrzywione cienie, na oszronionych solą ścianach, przedrzeźniały zabójcę i ofiarę. Kane wytarł swój miecz z krwi trupa.

– Kane... – zawołał ktoś ochrypłym głosem. Stał jak wryty i rzucił siarczyste przekleństwo.

– Kane... to ty? – wyszeptał ponownie nieznamy głos. Ruszył w jego kierunku. W wątłym świetle zobaczył, że kobieta, przyniesiona przez Mauderasa, uniosła się lekko.

Ukląkł przy niej. – Jestem Kane – powiedział widząc jej pokryte zakrzepłą krwią włosy.

Jej blade lico było nieruchome, ramiona szarpały spazmy. Sił starczało jej ledwo na szept.

– To dziecko, Kane... Ocal Klesst... Ona jest z twojej krwi, ale jest niewinna.

– Dlaczego Klesst grozi niebezpieczeństwo?

– Ionor... Dziś będzie siedem lat, jak powiła dziewczynkę... Nie ma w niej nic, poza nienawiścią... Tamtej nocy przywołała go do siebie, pragnąc zemsty...

– Przywołała kogo?

– Słyszałam go przy jej łóżku... Jego czarny ogar skrobał do drzwi... Przyszedł do niej Władca Demonów.

Przy życiu utrzymywała ją wyłącznie silna wola. Opuściła ją cała energia; tylko oczy i usta poruszały się drżąc, jakby w ostatnim błysku latarni, kiedy kończy się nafta. Jej głos słabł. Kane z niepokojem pochylił się bardziej.

– Władca Demonów dobił z nią targu. Za siedem lat miał zwabić cię do Kruczego Gniazda. Za siedem lat miał zjawić się tu ze swoim ogarem, a żeby twoją duszę strącić do Piekła. Ionor miała zobaczyć, jak dokonuje się zemsta – musi jednak oddać

dziecko. Ionor zabierze dziewczynkę do skały, którą nazywają Nagim Krukiem; tam czekają Władca Demonów i jego czarny ogar. Rzucając Klesst na pożarcie sługom Piekła, poda im twój trop...:

– Potem czarny ogar przyjdzie po ciebie, Kane, by zabrać twoją duszę na wieczne tortury do królestwa swojego pana..., i nie ma takiego miejsca, w którym zdołasz ukryć się przed kapłanem Piekła. Nie zasługujesz na nic lepszego, ale dziecko niczego nie zrobiło. Nie pozwól jej złożyć Klesst w ofierze... Ona zna tylko nienawiść.

Szept Greshhy przestał być słyszalny. Kane potrząsnął bezwładną postać, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej. Lecz jej oczy i usta były martwe i ciche. Takimi miały pozostać na zawsze.

Z rozlanej kałuży płonącej nafty ostały się malutkie wysepki ognia, a i te znikły strzelając. Kane podniósł się nad trupa kobiety; piwnicę ponownie pogrążyła ciemność.

Stał, myśląc przez chwilę, zanim oczy przyzwyczyły się do gęstego mroku. Odrętwienie obezwładniało jego ciało. Walcząc z bólem i wyczerpaniem, które ograniczały zdolność postrzegania i unieruchomiały kończyny, Kane skierował się do wyjścia w ścianie po przeciwnej stronie.

Wydobywający się stamtąd z gwizdem wilgotny powiew wskazywał, iż wylot prowadził na zewnątrz – a on nie zamierzał wracać do zajazdu, nawet gdyby mógł dotrzeć do jego wrót niepostrzeżenie.

W kanale nie było dużo miejsca. Wapienne kamienie tworzyły nieregularne kształty ścian i podłogi. Kane stwierdził, że istniejący w skale naturalny tunel kiedyś powiększono. W myślach zaczął szukać powodu, dla którego zbudowano sekretną piwnicę, i jego podejrzenia potwierdziły się, zanim jeszcze osiągnął koniec przejścia.

Tunel urywał się wąską krawędzią w połowie stoku, na którym stało Krucze Gniazdo. Trzydzieści metrów pod nim grzmiał nurt Cotras. Tuż przy ujściu kanału leżała kupa kamieni, idealnie pasująca do pięści – co samo w sobie nie znaczyło wiele, lecz Kane domyślał się bardziej ponurej historii.

Przed najazdem Krucze Gniazdo było dobrze prosperującym zajazdem. Ale rodzina Ionor gromadziła wielkie bogactwo, nie tylko goszcząc zmęczonych podróżą wędrowców. Nagle Kane uświadomił sobie mrozącą krew w żyłach tajemnicę zajazdu.

Takie straszne gospody nie były rzadkością na odległych szlakach, biegnących wśród niezaludnionych puszczy. Kane spotykał je czasem, choć żadnego na taką skalę. Tajemnicy tego nikt nigdy nie podejrzewał.

Zastanawiał się, w ilu jeszcze pokojach gościnnych czaiły się ukryte przejścia, jak to, w które bezwiednie wpadł, jakie góry skradzionego złota, ile niegodziwych zbrodni kryła piwnica. Badając pryzmę kamieni, Kane myślał o bezimiennych podróżnych, których podstępnie wyciągano z łóżek do tej przeklętej groty, gdzie wypruwano im flaki, i obciążony głazem rzucano w przepaść głębokiej rzeki.

Zniknięcia, jeśli w ogóle zauważane. kładziono oczywiście na karb grasujących watah rozbójników, a niektóre mordy, gorzko pomyślał Kane, prawdopodobnie przypisywano jemu. Obecnie jednak przejście wyglądało na nie używane. Kane zastanawiał się dlaczego. Czy bogaci wędrowcy przestali ryzykować podróże tymi szlakami, czy było ich zbyt mało, by nie dostrzeżono, jak przepadają? Czy może Ionor, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, miała mniej morderczą naturę. W to akurat nie wierzył, przypominając sobie jej nienawistne oczy.

Przestał o tym myśleć. Ważniejszy problem stanowił Pleddis. Oraz słowa umierającej kobiety. Prawda, czy szaleństwo? Kane nie śmiał lekceważyć jej ostrzeżenia. Znał potęgę nienawiści.

Klesst – musiał do niej dotrzeć. To dziecko było kluczowym ogniwem do zguby, jaką Ionor dla niego szykowała. Niestety, drabina w szybie przedstawiała tak rozpaczliwy stan, że nawet gdyby Kane załatał jej brakujące fragmenty, nie utrzymałaby jego ciężaru. Pleddis okupował zajazd. Powrót do budynku, pomimo tajemnych przejść, zostałby natychmiast odkryty. Ucieczka odebrała mu ostatki siły i sprytu – choć, być może, uratowała mu życie. Po raz drugi nie mógł na to liczyć.

Tortuowały go zawroty głowy. Dostanie się do Klesst, nawet jeśli przypłaci to życiem. Jeżeli nie dotrze do dziewczynki, Ionor przypieczętuje swój pakt z Władcą Demonów. To oznaczałoby dla niego zagładę, wobec której najemnicy Pleddisa okazaliby się wyjątkowo miłosiernymi zabójcami.

Nie mógł się skoncentrować, siły odbierał ból i wyczerpanie, a gorączka i opium rozsadały czaszkę. Od służącej usłyszał, że Ionor miała dobić piekielnego targu na Kruczym Wzniesieniu. Kane pamiętał to miejsce: pnące się kamienne pustkowia i roztrzaskane przez błyskawice drzewa. Wznosząc się ponad niedostępnym grzebieniem wzgórza, było punktem orientacyjnym okolicy i tłem dla wielu mrocznych legend. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zbliżał się tam, kiedy wschodził księżyc Władcy Demonów. Prawdopodobnie nawet Pleddis nie zmusiłby swoich ludzi do poszukiwań na tym stoku.

Ionor zaprowadzi w to miejsce Klesst. Kane wiedział, że musi dotrzeć do Kruczego

Wzniesienia przed nią. Nie miał pojęcia, ile pozostało mu czasu. Słyszał jej głos, kiedy Mauderas schodził do piwnicy, zaledwie parę minut temu. Ona jednakże od razu wyruszyła w drogę. Kane, zbyt osłabiony i niepewny drogi, aby dojść na wzgórze, musiał zwieść ludzi Pleddisa. A do tego noc kryła straszniejsze niebezpieczeństwa niż broń najemników.

Nie było innego wyjścia. W sercu Kane'a zawrzał gniew. Chodził po ziemi, wplątany w śmiertelną pajęczynę, a każdy krok zdawał się wcześniej zaplanowany. Nie chciał być ślepym pionkiem w mrocznej grze losu.

Od wylotu kanału, skarpa wiła się w dół po stromym stoku. Kępy wawrzynu wyrastały z rys i załamań na nagiej niemal powierzchni, korzeniami czepiając się pękniętych warstw gleby i zniszczonych skał. Nawet w najlepszych warunkach były zdradzieckim oparciem podczas wspinaczki; tej nocy Kane nie mógł wyobrazić sobie już niczego gorszego. Mimo to, istniała możliwość, że zdoła przedrzeć się do rzeki po czymś, co tylko na pozór wyglądało jak ścieżka. Gdyby się pośliznął...

Nie było innego wyjścia.

Pokonując dające się we znaki osłabienie i zawroty głowy, które przytępiały mu umysł, Kane oparł nogi o śliską krawędź.

VIII

I WEZWIE CIĘ PIEKŁO

– Stundorn, znasz się chyba na tym na tyle, żeby nie bić nieprzytomnego – rzucił Pleddis. – Poczekaj, aż odzyska świadomość, wtedy poczuje – odwrócił głowę, wybuchając śmiechem.

Stundorn splunął i zdjął z pięści kastet. – Poczekam chwilę. – Wytrzyma – Pleddis zarechotał, przyglądając się badawczo zmasakrowanej twarzy Weeda. Ten widok łagodził w nim frustrację, spowodowaną niemożnością pojmania Kane'a.

Pośluczone ciało Weeda kołysało się leniwie. Ręce miał skrepowane za plecami. Sznur, którym związano jego nadgarstki, przerzucono następnie przez balustradę balkonu. Najemnicy powiesili go w taki sposób, że zaledwie parę centymetrów dzieliło jego stopy od podłogi. Stawy w ramionach w każdej chwili mogły nie wytrzymać obciążenia. Stundorn traktował Weeda kastetem.

– Kiedy wrócimy z Kane'em, on powie nam prawdę o ukrytym łupie – obiecywał Pleddis. – On będzie wiedział, że to tylko przedsmak tego, co się z nim stanie, jeśli choć raz skłamię. Jedyne sposoby, żeby zmusić ludzi do wyjawienia prawdy, kiedy

wiedzą, że w zamian czeka ich śmierć, to sprawić, aby sami chcieli umrzeć.

Zachichotał rubasznie do Ionor. – Będzie żył jak wrócimy, nieprawdaż?

– Lepiej tak, niż go od razu ukatrupić – powiedziała bez emocji, obserwując ciało Weeda, rozhuśtane ostatnim ciosem. Pleddis zaśmiał się porozumiewawczo. – Nie myśl, że uważam cię za wroga. Nie. Pozwolimy tobie i twojemu pomocnikowi Mauderasowi zaopiekować się nim, kiedy wróci. Oczywiście zostawię też i swoich ludzi, na wypadek, gdyby zjawił się Kane, oraz do pilnowania koni. Co do mnie to myślę, że znajdziemy go leżącego gdzieś w górach, nie dalej niż o milę stąd, ale z Kane'em lepiej uważać. Jeśli wróci, zgotujemy mu miłe przyjęcie.

Do sali wpadł pospiesznie Nattios. – Kapitanie, to nie ma sensu – powiedział. – Te cholerne psy na nic się nie zdały. Trzeba je siłą wyciągać z budy, a one i tak kulą się przy sobie i wyją. Jedne ścierwo o mało nie odgryzło ręki staremu Usporrisowi, uciekając na legowisko. Ze strachu leją pod siebie. Nie nadają się do niczego. Szczekałyby dopiero, gdyby złodziej nadepnął im na ogon. Nie ma mowy, żeby pomogły nam w pościgu.

– Taa... – Pleddis wzruszył ramionami, udając nonszalancję. – Będziemy go tropić bez psów. Nie potrzebowaliśmy ich wcześniej. Wiem dobrze, że na krótki dystans potrafisz sam odnaleźć ślad.

Spojrzał na długonosego górala. – Chyba że umierasz ze strachu. Ale ty i inni, którzy to czują, wiedzą, co myślę o miganiu się od roboty.

Nattios skinął smutnie głową. Wiedział. Wszyscy wiedzieli. – Stundorn, ty nie boisz się ścigać kupy złota?

– Nie, kapitanie – skłamał, lecz obfita broda zakryła jego blade usta.

– Widzisz, Nattios. Stundorn nie jest tchórzem.

– Pokaż, gdzie urywa się ślad Kane'a. Zaprowadzę cię do niego.

– Trzymam się za słowo – zęby Pleddisa błysnęły w uśmiechu. – Nie marnujmy już więcej czasu.

Kiedy odgłosy myśliwych pochłonęła noc, Ionor oddaliła się od okna i nałożyła na siebie płaszcz z kapturem. Chciała, ażeby ciemny brąz materiału ukrył ją wśród nocy. Pragnęła uniknąć spotkania z Pleddisem, choć ten nie miał prawa wnikać w jej poczynania, tak jak nikt nie mógł odwieść jej od tego, co postanowiła siedem lat temu.

Kiedy otworzyła drzwi pokoju, przywitały ją szeroko otwarte

oczy Klesst. Może, gdyby nie przypominały jej oczu Kane'a..., gdyby jej włosy nie były tak samo

rude...

– Nie śpisz – Ionor automatycznie zganiła dziewczynkę.

– Nie mogłam zasnąć, kiedy działo się to wszystko. Klesst chciała zapytać, czy żołnierze schwytali Kane'a, ale nie śmiała zdradzać zainteresowania. Kane był dla niej czarodziejem, zniknął z szafy. Nie mogli go złapać.

– Dobrze. Ubierz się, Klesst. Pójdziemy na krótki spacer.

– Mamo, dlaczego? Dzisiaj świeci księżyc Władcy Demonów. – Poczula dreszcz obezwładniającego strachu.

– Wszystko będzie dobrze. Żołnierze ochronią nas przed złem. Nocne powietrze zbije ci gorączkę.. Ubieraj się.

Klesst zastanawiała się, czy Matka miała dla niej urodzinową niespodziankę. Jedna z dziewczynek z wioski opowiadała, jak w urodziny zabrano ją do stajni, gdzie właśnie żrebiła się klacz, i jako że żrebak przyszedł na świat w dzień jej urodzin, został jej podarowany. Ale Matka nigdy nie robiła prezentów Klesst. Czasami tylko Greshha, udając, że to podarunek od Matki, choć Klesst i tak знаła prawdę; zobaczyła kiedyś służącą wyszywającą dla niej sukienkę własnymi rękami.

– Słyszałam, jak jeden z żołnierzy mówił, że wróciła Greshha.

– Nie wróciła. Dlaczego się ociążasz? – Mamo, którą sukienkę włożyć?

– To nie ma... Ubierz tę niebieską.

Ta podobała się jej najbardziej. – Czy mogę włożyć swoją lnianą bluzkę? – Może jednak Matka miała dla niej niespodziankę.

– Tak. Pospiesz się, Klesst. – Ionor nerwowo poruszała palcami, podświadomie próbując ponaglić dziewczynkę, jednocześnie nie chcąc jej dotykać. Czuła w napięciu, kiedy Klesst naprędcie się ubierała, z trudem wciskając stopy w przyciasne buty. Wkrótce potrzebowałyby nową parę.

Ionor odepchnęła od siebie tę myśl. Było za późno na wycofanie się ze wszystkiego; miała tego świadomość już wtedy, kiedy Kane pojawił się w Kruczym Gnieździe. Przybycie Pleddisa sprawiło, że przez krótki czas myślała o wyprowadzeniu w pole Władcy Demonów. Ale nawet jeśli ta myśl mogła rozbudzić isierkę nadziei, o wiele potężniejsza byłaby wściekłość z powodu utraconej szansy zemsty. Poza tym, Władcy Demonów nie dało się oszukać. Tę grę, kolejną zabawę w kotka i myszkę, prowadził okrutnie on i jego złowieszczy humor. Przez siedem lat zabijała w sobie jakiegokolwiek oznaki uczucia do dziecka, wiedząc, jak podłego paktu przyrzekła dotrzymać. Gdyby jednak Pleddis pojmał Kane'a, może miałyby czas, żeby...

Silniejsze okazało się przerażające wspomnienie ostatnich siedmiu lat – strach i śmierć w trakcie napadu Kane'a, pojmanie i wstyd, potem rozdzierająca agonía w ruinach byłego domu...

– Mamo, jestem już gotowa. Wyglądasz dzisiaj tak dziwnie. – Owinięta szalem, Klesst niespokojnie patrzyła na matkę. Ionor potrząsnęła głową i na chwilę zamknęła oczy. – Nic się nie stało, Klesst. Chodźmy prędko.

IX

ZŁAMANY OPÓR

Kępa wawrzynu ugięła się pod jego ciężarem. Spod krzaka, mocno osadzonego na stoku, posypały się kamienie i grudy ziemi. Usłyszał łoskot ich upadku. Z mozołem przerzucił swoje ciało na występ skalny tuż obok i wpełzał z powrotem na zbocze. Nie mogąc się niczego złapać, Kane rozpaczliwie przywarł do nagiej skały.

Ze strumienia wznosiła się mgła, osadzając na skałach cienką warstwę wilgoci. Czasami jej opary zupełnie przykrywały zrab stoku, którym podążał, tak że nie był już pewien, jaka ścieżka prowadziła w dół do koryta rzeki, a jaka urywała się nagle. Raz za razem musiał wycofywać się z kolejnej, niebezpiecznej części szlaku, której pokonanie wymagało jeszcze przed chwilą całego wysiłku. Nie wiedział, czy ścieżka prowadzi go do rzeki – nie wiedział nawet, czy taka w ogóle istnieje. Mgła starannie ukryła wszystkie zakamarki; często, aby odnaleźć następne wsparcie we wspinaczce, musiał polegać wyłącznie na dotyku.

Umysł Kane'a wciąż drążyły fale opium. Stracił rachubę czasu, zdawało mu się, że już wieki całe stąpa po zdradzieckim stoku, nie zbliżając się wcale do jego końca. Istotnie, Kane zablądził. Ślepy szlak, którym się przedzierał, wiódł wzdłuż skarpy ponad rzeką Cotras, oddalając go o kilometry od miejsca przeznaczenia. Była to jedynie urwana krawędź, seria uskoków tektonicznych – ścieżka śmierci, której, nawet w dzień, nikt nie ważył się pokonać. Pleddis, prowadzący poszukiwania ożwirowanym korytem, pomiędzy wodą a ścianą zbocza, nie podejrzewał, iż jego niedoszła ofiara będzie na tyle zuchwała, by wspinać się po urwisku, gdzie nie ma żadnej dróżki. W ten sposób Kane przeszedł ponad linią poszukiwań najemników, choć w każdej chwili krucha krawędź, ratująca go przed pojmaniem, mogła strącić go w dół spowitych mgłą czeluści.

Poruszał się jak we śnie. Mgła przesuwała się przed jego oczami, przypominając kształtem zjawy; upiorne zwidy wyciągały ręce, by ściągnąć go w przepaść. Nawet chłodna, wilgotna ściana wydawała się nierealna, niematerialna. Kanu wiedział, że to nie sen; musiał jednak pamiętać o tym, co rzeczywiste. Inaczej straciłby koncentrację i nie dbałby już, czy kępa splątanego wawrzynu wytrzyma jego ciężar, czy złamie się pod nogami. Oparł krwawiące dłonie o skałę i całym ciałem naparł na rwącą kostkę, by ból przywrócił mu poczucie rzeczywistości.

Lecz zjawy stały się jeszcze bardziej autentyczne, a porośnięte kamienie coraz mniej realne. Agonia ciała nie mogła pokonać gorączki umysłu. Kane zdołał jakoś dotrzeć do miejsca, gdzie grań rozszerzała się nieco – albo i to było tylko podstępem jego słabnących zmysłów. Niezdolny, by to rozstrzygnąć, zwałił się z nóg na wilgotne kamienie.

Stracił czucie. Jego wycieńczone ciało pragnęło powietrza, ale pierś była zbyt słaba, żeby szybko oddychać. Kane dygotał; spoconą postacią wstrząsały silne spazmy.

Leżał jak martwy, walcząc z utratą świadomości. Zawroty głowy przeszywały mu czaszkę. Krawędź zbocza, na której spoczywał, pochyliła się, zakołysała i rozstąpiła...

A potem rozstąpiły się skały.

I kamienie stały się przezrocyste, jaśniejsze niż najczystsze diamenty.

I góry otwały się przed Kane'em.

I Kane wejrzał w góry.

Zobaczył skarby wzgórz., zamknięte w swoich kryptach z pierwotnego kamienia – żyły złota i srebra, naturalne kamienie, zakopane korony i kufry monet – i groźnych strażników, czuwających nad wszystkim.

Ujrzał grobowce wzgórz, gdzie zapomniane szkielety obróciły się w proch, i zawieruszone

groby, w których leżały niespokojne i uwięzione szczątki, i ich wyżarte oczodoły, płonące błękitnym płomieniem, uciekające przed jego wzrokiem.

Widział niepogrzebanych z Cotras – tych, których porwała wściekła rzeka; tych, którzy sami rzucili się w jej wody w daremnym poszukiwaniu zapomnienia, tych, których strącono w jej odmęty, aby ukryć pokłosie morderstwa – białe, rozrzucone kości, i miotane prądem czaszki, i porośnięte mchem schronienia dla ryb i innych wodnych stworzeń.

Oglądał podziemne korytarze starożytnych. Te, które drażyli i te, które zasypywali – te, których szukali i nie znaleźli, i te, których się bali, lecz nie mogli od nich uciec – i wiedza o tym sprawiła, że zamknął oczy i zapłakał.

Wejrzał w groty, spadające głęboko w ziemię, i gnieźdzące się w nich ślepe istoty, i wznoszone miasta, gdzie nigdy nie zapłoną światła – i niekształtne twarze, gapiące się z uchylonych okien w wieżach, do których nie prowadziły żadne drzwi.

Patrzył na czarne płomienie odległych otchłani, do których monstrialne robaki żłobiły tunele, w poszukiwaniu żaru Piekła, gdzie, jak plugawe ćmy, miotały się i krążyły, póki ich rozpalone skrzydła nie osłabły, a one nie utonęły w morzu ognia.

Dostrzegł górskie bestie, wypełzające ze swych kryjówek na żer w świetle księżyca Władcy Demonów. Ogromne, wypasione ropuchy, skaczące we mgle, wyrzucające z ziejących paszczy głodne języki i błyskające kłami, sączącymi kwaśny jad. Samotne, opuszczone chaty, oferujące gościnę, które nie były wcale opuszczone i nie dawały schronienia. Bestie z gorejącymi oczyma, o kształtach zbliżonych do ludzkich, poruszające się na włochatych kończynach, wyjące i pokazujące wilcze kły. Powłóczące olbrzymy, zdeformowane małpy z żółtymi zębami i wielkimi szponami – niektóre z nich owłosione jak niedźwiedzie, inne oślizgłe jak żmije – całe to zwierzęce potomstwo tych, którzy pierwsi nosili ludzkie podobieństwo. Wynurzające się z jam nagie stworzenia, niepodobne już do ludzi, brudne i sprośne watahy mężczyzn, kobiet i kwilących dzieci – nawet nie w połowie tak odrażających jak głód, wywabiający ich ze schronień. I to, co podąża za samotnymi wędrowcami, póki nie obejrzą się za siebie i nie zginą. (Kane spojrział na tę twarz i jego duszę ogarnęło przerażenie.)

Byli też inni...

Kane jęczał i gryzł wargi, pięściami bijąc w oczodoły, aż wizja stała się mniej wyraźna i pozostało tylko wspomnienie. Otworzył powieki. Skały wokół niego stały nieruchome. Gorączka minęła.

Nagle poczuł na swoim ciele cuchnący zapach czyjegoś sapania. Oczy, przypominające żarzące się czerwone gwiazdy, patrzyły na jego skierowaną ku górze twarz, wróżąc nieszczęście.

– Nie, Serberysie – usłyszał głos, – Kane nie należy do nas... na razie.

Kane jęknął i rzucił się w bok. Ogar Piekła, większy niż jakikolwiek niedźwiedź tych gór, warknął na niego ostrzegawczo.

– Cóż, przerwaliśmy mu sen – rozległ się sardoniczny śmiech. – Sniłeś, Kane? – Szpony Władcy Demonów spoczęły

na najeżonym karku psa. Stał wysoki, smukły i muskularny; czarny strój miał uszyty według ostatniej mody – koszula z pełnymi rękawami, buty z delikatnej skóry do kolan i przypięty do pasa długi miecz. Szeroki, czarny płaszcz zwisał mu z ramion, lecz Kane wiedział, że to nie był płaszcz.

Kane wpatrywał się w ten majestat zła i czerń zmrużonych oczu. – Jeśli przyszedłeś po mnie, Sathonysie, broń mam gotową jak zawsze.

Władca Demonów uśmiechnął się, drwina pozbawiła tę twarz wszelkich oznak ciepła. – Przez te wszystkie lata widywaliśmy się w przyjaźniejszych nastrojach, Kane. Dlaczego teraz pokazujesz

pazury?

– Zakończymy tę grę – warknął Kane, cofając się wzdłuż krawędzi, tak aby być blisko ściany zbrocza. Przycupnięte cielsko Serberysa, oblizującego się czarnym językiem, zablokowało przed nim ścieżkę. Kane nie czuł już bólu w ramieniu, ale wciąż nie dobywał miecza.

– Wasal gra tak długo, jak życzy sobie jego pan – zakpił Lord Tloluin; płaszcz falował mu pod stopami.

– Nie jestem twoim wasalem – dłonie Kane'a zacisnęły się w stalowe pięści.

– Jednak w przeszłości służyłeś mi wiernie. – Wichry nocy wyły na wzgórzach, płaszcz Sathonysa nie poddawał się jednak ich podmuchom.

– Ty służyłeś mi jeszcze lepiej – walczyliśmy ramię w ramię. Ale Kane nie jest winien posłuszeństwa, ani bogom, ani demonom, i nie będzie pionkiem w grze, którą teraz prowadzisz.

– Jeśli nie pionkiem, to może nagrodą – zaśmiał się Władca Demonów. – Musisz zrozumieć, że wszyscy śmiertelnicy są tylko pionkami.

– Nie jestem śmiertelny.

– Być może jeszcze przed świtem udowodnię ci, iż pomyliłeś się w obu rachubach.

– Może to moja ostatnia noc, ale ten, który po mnie przyjdzie, nie będzie miał do czynienia z pionkiem – ostrzegł Kane z wściekłością w oczach, równie diabelską jak wzrok Władcy Demonów.

Lord Tloluin badał zabójcze spojrzenie Kane'a. – Mam wystarczająco dużo powodów, żeby cię szanować. Czasem walczyliśmy o tę samą sprawę.

– Mało w tobie wdzięczności, jak na towarzysza broni.

– Kane! Przecież wiesz dobrze – zaprotestował Lord Tloluin w sarkastycznej reprimendzie. – Postępuję zgodnie ze swoją naturą. Sathonys, Tloluin, Lato – jakkolwiek mnie zwa, naturę mam jedną. Tylko głupiec oczekuje lojalności po Władcy Demonów.

– Może więc i ty jesteś tylko pionkiem w rękach swojej natury i praw, których przestrzegasz.

Uśmiech Sathonysa został zastąpiony groźnym spojrzeniem. Serberys warknął potężnie i posunął się pół kroku do przodu. – Twój spryt jest równie bezczelny jak twoja arogancja, Kane. Myślę, że porozmawiamy o tym później.

– Rozważ jednak mój podstęp, wątpię bowiem, żebyś martwił się choć trochę. Musisz przyznać, że starannie ustaliłem zasady gry. Przez siedem lat jątrząca nienawiść Ionor raniła okolice – męczyła jej duszę i plugawiła ducha z nią przebywających. A teraz, by dobić tego targu zemsty, ona odda mi dziecko, córkę, do której nienawiść była dla niej torturą od tylu lat. Czyż nie jest to dzieło sztuki? Wiem, że podziwiasz tego rodzaju sztukę. Tak jak podziwiasz zręczność, z jaką sprowadziłem cię dzisiaj do siebie – skrępowałem węzłami gorączki jak ofiarny prezent, z żądzą i bezlitosnym okrucieństwem rzuciłem na szlak, aby pasmo śmierci i zgłiszcz znaczyło drogę pościgu.

– Nawet jeśli określiłeś reguły dzisiejszej nocy, Sathonysie Kane mówił z gniewem – nie możesz manipulować szczegółami. Innych wykorzystuj jako swoje pionki, nie Kane'a. Nie poddam się żadnemu przegotowanemu mi losowi, i jeśli zginę, zginę dzielnie, jako wolny człowiek.

– Wciąż wymachujesz zakrwawioną pięścią losowi przed nosem: Przypuszczam, że taka już twoja natura, zwracam więc twoje oskarżenie. Zanim nadejdzie świt, porozmawiamy szerzej o wolnej woli i dowiemy się, czy twoja arogancja to pusta pycha, czy może rozpaczliwa wiara.

Serberys podniósł czarny pysk i zawył. Odgłos, przypominający pisk kruka, odbijał się echem w ciemności nocy.

Lord Tloluin pogładził go po potężnym karku. – Tak, Berberysie, czuję to. Ionor zbliża się z dzieckiem do Nagiego Kruka, a my będziemy tam na nią czekać.

Jego uśmiech odzwierciedlał odwieczne okrucieństwo. – Do zobaczenia, Kane. Kiedy my się

tutaj ociągamy, ziarna nienawiści, zasiane przed siedmiu laty, i tak starannie zadbane, mają właśnie wejść w światło mojego księżyca.

– Czy wiesz, że ta ścieżka, po której tak desperacko błądziłeś, kończy się przepaścią, niedaleko stąd?

W zbocze uderzył grzmot, jak ogłuszający śmiech. Kane został sam.

Najpierw Kane łudził się, że Władca Demonów kłamał. Rzucił się przed siebie szerszą teraz krawędzią z wściekłością, która dodawała mu sił. Ścieżka wzdłuż ściany zbrocza wydawała się bezpieczna. Nie był na szlaku, jakiego szukał. Wiedział o tym, ale myślał, że cały czas kierował się ku Nagiemu Krukowi. Lord Tloluin mógł celowo oszukać Kane'a, aby ten zawrócił z drogi. Władca Demonów tym razem nie kłamał.

Kane stanął, krawędź kończyła się nagle przepaścią. Część uskoku odłamała się od zbrocza i runęła do rzeki Cotras. Przez pustą otchłań nie prowadził żaden szlak.

Wyteżając wzrok, Kane próbował przejrzeć przez mgłę. Ponad nim zbrocze wznosiło się ku ciemności nocy, pod stopami zaś słyszał stłumiony ryk wody. Z tego, co pamiętał o tych okolicach, krawędź znajdowała się przynajmniej trzydzieści metrów od wierzchołka stoku. Był w pułapce, chyba że...

Przypatrując się przepaści, zauważył wąskie pęknięcie, które zdawało się prowadzić ku wodospadowi. Gdyby tylko znalazł w szczelinie oparcie dla swojego ciała, może dotarłby do niego, a tam wymyśliłby już sposób na zejście ze zbrocza.

Na możliwość powrotu nie było oczywiście nadziei.

Czy naprawdę jestem pionkiem w grze Władcy Demonów? Pęknięcie w skale biegło piętnaście metrów w dół – czyste szaleństwo – aż do podnóża stoku. Ściana była śliska od wilgoci, miejscami biała od zmarznięć. Co kilka centymetrów szczelinę urozmaicały wgłębienia. Mogły się w nich schować ledwie palce.

Rozkładając ręce, Kane chwycił się wyżłobień silnymi dłońmi. Zsunął potężne ciało z krawędzi i zawisł w powietrzu. Napiął olbrzymie ramiona i nogami zaparł się o skałę; nad jego głową wciąż kołysała się mgła.

Jego ruchy były szybkie, wiedział bowiem, że nie może długo polegać na nadwerężonych już siłach. Wisiał na uskoku jak ogromna małpa, posuwając się dalej dzięki nieustępliwej woli. Śmierć czekała na pierwszy niepewny chwyt jego dłoni.

Rysa zwężała się powoli. Kane poczuł, iż musi utrzymać swój ciężar wyłącznie wpitymi w skałę palcami. Pęknięcie stale się zwężało, póki nie pozostało w nim już miejsca na ręce.

W ciężkim oddechu Kane'a zabrzmiało przekleństwo; z każdą sekundą był bliżej śmierci, nie marnował więc czasu. Trzymając się ściany jedną ręką, drugą sięgnął szybko po sztylet. Jego płaskie ostrze nadawało się do rzucania; istniał tylko jeden sposób na sprawdzenie, czy mogło wytrzymać jego wagę. Kane wbił w ścianę nóż, dźwiagający teraz całe ciało.

Hartowana stal zadrżała w metalicznym chrzęście. Rękojeść ugięła się pod przeraźliwym naporem. Wytrzymała jednak. Uczepiwszy się jej desperacko, Kane dobył drugi sztylet. Następnie pchnął go w kamienne zbrocze i zakołysał się na obu ostrzach. Dwie niepozorne rękojmie ze stali i skóry podtrzymywały Kane'a nad zabójczą przepaścią. Zdawało się, że mogą nie podołać takiemu ciężarowi. Mimo to, podołały; szalone ryzyko przyniosło sukces.

Przy pomocy tych prowizorycznych czekanów, Kane zdołał przedostać się na w miarę bezpieczną część stoku. Zbliżając się do gruzu, który pozostawiła po sobie lawina, z wprawą wsparł nogi na wystającym głazie. Dałby wiele za godzinny odpoczynek, wiedział jednak, że nie ma ani minuty do stracenia. Ponury, zaczął zstępować po stoku, który znaczyły porozrzucane kamienie.

Stundorn był chory, kiedy nie miał czym się przejmować. Ten barczysty najemnik nie ufał dziwnej, kłębiącej się mgłę, która najpierw pokryła, potem odsłoniła jesienne wzgórza. Podobnie nie

podobały mu się tajemnicze cienie, błyskające w ciemności na zboczach gór, choć przecież jego przestraszone nawoływania niczego nie wyjawily. Ale czy cienie mogly odpowiedziec?

Znow walczył z zzerajacym go strachem. Nadziejna na odnalezienie Kane'a byla coraz mniejsza, juz i tak poszukiwania posunely sie dalej, nizli sie na to przygotowali. Pleddis rozciagnal ich szyki; poprowadzil pościg za daleko. Przesuwali sie teraz w ciemności w malych grupach. Stundorn rzucil wzrokiem na Krucze Wzniesienie i wiszacy nad nim księżyc Wladcy Demonow. Przerazenie zmrozilo mu dusze. Ten szlak obok koryta rzeki nie byl dobrym miejscem na obozowisko.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – zapytal sie Nattiosa. Nerwy goralna nie nalezaly do najsilniejszych. – Tutaj sa slady. Popatrz sam i powiedz. Kobieta i dziecko, niewiele przed nami. Wylize ci tyłek, jezli to nie ta Ionor z zajazdu i jej dziecko.

– Ale z jakiego powodu mieliby zmierzac do Kruczego Wzniesienia? – nie ustepowal ten drugi. – Zaden rozsadny cel nie zmusilby jej do tego dzisiejszej nocy. Do diabla, znasz przeciez historie, ktore opowiadaja.

– Nie powiedzialem, ze ida na Krucze Wzniesienie – klócił sie Nattios. – Powiedzialem, iz ten szlak koło niego prowadzi. Nie wiemy, dokad próbuje sie dostac.

– Dlaczego wiec nie zawracamy? – mruknal jeden z pozostalej szóstki. – Jezli to cholerne babsko chce ryzykowac w taką noc, jej sprawa.

– Dość tego gadania – warknal Stundorn, w duchu przyznajac mu racje. On jednak musialby stawic czola Pleddisowi, a tamten nie znosil tchorzy.

– Jezli Ionor jest tam, musi miec dostateczny powód – wyjasnil. – Moze chce sie spotkac z Kane'em. Jej dzieciak ma wlosy zupelnie jak on, i te niebieskie oczy. Na pewno nie po matce, poza tym nie wiemy, kogo jej córka nazywa ojcem. Moze Kane'a, byl w tych gorach wzecniej.

– W zajezdzie Ionor byla gotowa wypic mu krew z zyl nalegal zrzeda.

– Mogla udawac – kalkulowal Stundorn. – Mimo wszystko Kane zdecydowal sie zatrzymac w Kruczym Gniezdzie, a ona przygotowywala mu posilek. Moze jest tam milszym gościem, niz ktokolwiek z nas przypuszczal. To by wyjasnilo, jak mógł zniknac bez naszej wiedzy.

– Hm, ten zajazd ma w sobie cos dziwnego – wtracil Nattios. Rozmowa oddalala sie od tajemnicznych dzwieków nocy. Stundorn mial nadzieje, ze w tym kierunku bedzie kontynuowana.

Maszerowali przez chwile w milczeniu. Zaniepokojone ruchy galek ich oczu zdawaly sie coraz czestsze; odglosy z mroku coraz bardziej w zasięgu ręki. Śmielsze.

– Jak daleko do Kruczego Wzniesienia? – zapytal Stundorn, bojazliwie spoglądajac w kierunku nagiego szczytu skalnego na pióropuszu gór.

– Niedaleko, cos koło kilometra tym szlakiem – rzucil Nattios. – Stundorn, jak myslisz, czy Kane wie, ze to ty go trafiles?

To nie jest takie pewne – zaprotestowal lucznik, mimo iz wzecniej sie tym chwail.

Bo moze Kane jednak zyje. Nikt z nas go nie widzial. A opowiadaja o nim przedziwne rzeczy, i jezli nie zginal... Cóz, byli i przed nim tacy, ktorzy nawet w grobie dotrzymywali slowa.

– Zamknij sie – Stundorn przeklal go, myslac, ze zabity na pewno wzialby odwet na swoim mordercy, gdyby tylko mógł wstac z grobu.

– Chcialem jedynie zapytac, czy jesteś pewny swojej kuszy, czy pamietasz, gdzie trafila go twoja strzala, to wszystko. Moze wtedy wiedzielibysmy, czy Kane jest ranny, czy na drodze czeka na nas jakis trup...

– Powiedzialem, zamknij sie! Zajmij sie sladem.

– Nic ma nic, czym mógłbym sie zajac. Nawet ślepiec odczyta ten trop, prowadzi prosto na

Krucze Wzniesienie.

– Do licha! A to co? – krzyknął ktoś. Zamarli na swych miejscach, nasłuchując.

Do ich uszu dochodził odgłos szurania, z niedaleka... – Coś wdrapuje się z rzeki na brzeg! – zawołał inny. – Głupcze! Tam jest zbyt stromo! – stwierdził Nattios. – Zbliża się!

– No i co...?

Z okrzykiem, który niemal zatrzymał krew w żyłach żołnierzy, Kane wdarł się na szlak. Ktoś wrzeszczał w panice.

Twarz Kane'a była strzaskana, jego ciało pokiereszowane, a ubranie brudne i zaplamione krwią. Miecz błyskał mu w dłoni, usta wykrzywił okrzyk zwierzęcego okrucieństwa. Wyłonił się z przepaści jak czarnoksiężnik – mściwa zjawa, która w tej przerażającej chwili przybrała olbrzymi kształt. Księżyc Władcy Demonów rzucał na niego czerwony blask, a jego oczy płonęły obietnicą pewnej śmierci.

Strzał Stundorna był niecelny, strzałę z kuszy uwolnił tylko strach. – Kane! – krzyknął ktoś histerycznie. Najemnicy rozpierzchli się w ucieczce.

Z wściekłym rykiem obłąkania, Kane puścił się za nimi w pościg. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, wyprzedził ich. Zbyt długo polowały na niego szakale – raniony lew wrócił, by zabić.

Stundorn marnował cenne sekundy, nakręcając korbką cięciwę kuszy. Refleks miał fatalny, jego towarzysze zostawili go samego. Kiedy odrzucił bezużyteczną broń, próbując dobyć miecza, piekielne ostrze Kane'a rozplatało go niemal na pół. Inni nie próbowali nawet przeciwstawić się jego impetowi. W gorączkowej ucieczce przed wyjącem demonem, Nattios mylnie ocenił odległość od krwędzi zbrocza; jego krzyki utonęły w odmętach rzeki.

Kane pędził za najemnikami. Następnego zabił, wbijając w jego ciało miecz po rękojeść i przesywając kręgosłup. Ci co ocaleli, rozproszyli się po lesie, lecz i tam Kane wybił ich do ostatniego. Bestialsko trzaskał ich czaszki o kamienie, póki w dłoniach nie zostawała mu tylko miazga.

Gorejący gniew minął i Kane zakończył swój krwawy wysiłek: W mrocznym lesie usłyszał czyjś urwany krzyk. Pod ciemnymi sosnami cienie szumiały echem śmierci. Kane zakasłał i potrząsnął głową. Kiedy uspokoił się zupełnie, wróciła świadomość niebezpieczeństwa.

Czy Pleddis słyszał zgiełk ataku? Czy ktoś zdołał uciec i ostrzec go o pojawieniu się poszukiwanego? Nie stanowiło to dla Kane'a poważnego problemu; miał poczucie o wiele fatalniejszej groźby, bliższej z każdą minutą. Z wyzwaniem spojrział na rozciągające się przed nim wzgórze.

W blasku czerwonej tarczy księżyc wznosiło się Krucze Wzniesienie. Na jego szczyt prowadziła ścieżka. Niedaleko przed nim, podążała nią Ionor z dzieckiem – ale jak daleko?

Kane zatrzymał się na chwilę, żeby naładować kuszę Stundorna i złapać oddech – ta broń, o stalowej cięciwie, potrafiła zabić z pięćdziesięciu metrów, a może będzie mógł podejść bliżej...

Wkładając w marsz ostatni wysiłek, Kane posuwał się naprzód ku Kruczemu Wzniesieniu. Koszmar nachodzącego niebezpieczeństwa nie zagłuszył zmęczenia, jakie z każdym następnym krokiem odczuwało jego ciało.

Klesst przystanąła nagle i chwyciła się poły płaszcza Ionor. – Mamo, wracajmy. Jestem zmęczona.

– Chodź, Klesst. To niedaleko. Jeśli nie przestaniesz jęczeć, dam ci klapsa.

Matczyne klapsy bolały, tym bardziej, że czuła w nich gniew. – Mamo, ja się boję tego miejsca. Żołnierze są daleko za nami. – Powiedziała, chodź! – Ionor podała jej ramię, a kiedy

Klesst zaczęła iść, cofnęła je z powrotem. Zawsze starała się nie dotykać dziecka... Tak było lepiej.

– Mamo, wydaje mi się, że znam tę okolicę. – Pewnie często się tutaj bawiłaś.

– Nigdy. Wszystkie dzieci omijają to wzniesienie, a ja nie oddalam się tak od domu.

Ionor energicznie parła do przodu, niecierpliwie zwalniając krok, aby dziewczynka mogła dotrzymać jej tempa. Klesst nie należała do niej. Była Kane'a – częścią zrabowaną z jej ciała. Ukradzioną. Zgwałconą, zhańbioną i ograbioną. Klesst nie była jej córką – to wiedziała od początku. Była jak rak zaszczerpiony w jej ciało przez Kane'a, z którego w bólu została oczyszczona. Prawie. Dziecko żyło obok niej. Gdyby miała dla niego miłość, wszystko wyglądałoby inaczej, ale miłości nigdy nie było. Nie czuła wobec Klesst większej winy, niżli wobec guza nowotworu, wyciętego i zniszczonego przez chirurga.

Za parę minut będzie po wszystkim. Siedem lat nienawiści. Klesst nie poczuje bólu. Nie tak, jak...

– Mamo, to wygląda jak miejsce z mojego koszmaru.

– Uspokój się, Klesst.

– Nie, Mamo! Ja wiem, to jest to samo miejsce. Obok tej wielkiej skały na szczycie pojawia czarny ogar, a za nim ta czarna postać. – Głos Klesst podniósł się w przestraszu.

Ionor spochmurniała. Miała nadzieję uniknąć fizycznego kontaktu – użycia siły wobec dziecka, choć pod płaszczem, na wszelki wypadek, trzymała przygotowany zwój sznura.

– Nie bój się, Klesst. Kiedy dotrzemy do tego głazu, zobaczysz, że nie ma tam ani żadnego psa, ani jego pana; nie będziesz już mieć tych dziwaczkich koszmarów.

– Wciąż się lękam – wyszeptała Klesst, a jej oczy rozszerzył strach.

– Chodź, szybko.

Klesst wolniutko stąpała do przodu. Nie chciała rozzłościć matki. Kiedyś myślała, że jeśli nigdy jej nie zdenerwuje, matka zapomni tę straszną rzecz, którą kiedyś zrobiła – aczkolwiek nie wiedziała, co mogło być ową zbrodnią. Teraz wątpiła, czy to się kiedykolwiek stanie.

Jej sowie oczy ujrzały nagi, skalny szczyt. Inonor uleciało z pamięci – jeśli w ogóle wiedziała – jak dobrze dziewczynka widzi w ciemności.

– Mamo! – krzyczała Klesst, wyrывая się. – Widzę ich. Czarnego ogara i jego pana. Czekają w cieniu tych wielkich kamieni przed nami. Pies widzi mnie również. Czy nie widzisz, jak żarzą się jego ślepia?

– Podejdź tu, do diabła! – warknęła Inonor, sięgając po sznur. W nagłej żądzy pojmania przerażonej dziewczynki potknęła się o wystający korzeń. – Wracaj natychmiast! – jęknęła, rozłożywszy się przed uciekającą córką.

Dla Klesst była to chwila ostatecznej trwogi. Kluczyła, zbiegając szlakiem w powrotną stronę, a panika dodawała jej biegowi szaleńczego impetu.

Ionor zawołała za nią ponownie, potem oszczędzała oddech, żeby dogonić dziewczynkę. Klesst nie mogła uciec daleko. Jednakże przestraszył ją w dodatkowe siły; pędziła

w dół wzniesienia szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Słyszała, jak tupot butów za jej plecami staje się coraz wyraźniejszy, a w jej umyśle matka, czarny ogar i jego pan, złączyli się wszyscy w jedno, gnające widmo strachu.

Olbrzymia, chora jabłoń zwiesiła swoje gałęzie nad szlakiem. Ostatnia ze zniszczonego sadu, który rósł kiedyś na stoku, jakby wyciągała groteskowe, i koszmarnie zarazem, ramiona. Słodki smród gnijących owoców unosił się w jej cieniu, jak zapach zwiędłych kwiatów na cmentarzu. Przestraszyła wcześniej

Klesst, kiedy ją mijała wraz z matką, wspinając się przed paroma minutami.

Teraz noga dziecka, biegnącego obok drzewa, pośliznęła się na nadpsutym jabłku. Klesst pisnęła i upadła na pokrytą rozkładem ziemię. Wstrząs nie pozostawił jej powietrza na krzyk.

Próbowała rozpaczliwie poderwać się do biegu. Za późno. Zimna dłoń Ionor chwyciła jej potargane przez szaleńczą ucieczkę włosy. Nie dając jej czasu na złapanie oddechu, matka szarpnęła dziewczynkę na nogi.

Ionor uderzyła Klesst mocno w twarz. – Pokażę ci, czym kończy się nieposłuszeństwo! – sapała. Złapała nadgarstki dziecka i niezręcznie wiązała je sznurem.

Niema Klesst patrzyła, jak krępowano jej ręce, wciąż nie pojmując ze strachu, co się stało. Zastanawiała się, czy matka chce ją wychłostać, tak jak dawno temu Sele.

Na kamienistym podłożu zazgrzytał czyjś but, potem do wykrzywionego cienia jabłoni dołączył jakiś kształt.

To ów człowiek w czerni, pomyślała Klesst. Przybył ze swoim ogarem. Matka odda mnie im...

– Kane! – wybełkotała Ionor, odskakując od dziewczynki. W oczach Kane'a zobaczyła wściekły szal.

Kusza zadrżała mu w ręku.

Ionor jęknęła w okropnej agonii, kiedy koleczasta strzała rozdarła jej brzuch i rzuciła jej ciało na drzewo. Powinna była upaść, ona jednak wisiała, wijąc się w cierpieniu. Z tak niedalekiej odległości grot przebił jej kręgosłup i wbił się w wykrzywiony pień. Ionor gorączkowo próbowała się uwolnić, ale nagle zabrakło jej sił. Umierając, powoli wyrzucała z siebie nienawistne przekleństwa, jej usta wypowiadały je coraz mniej zrozumiale. W końcu nawet, jej nienawiść osiągnęła kres. Luźne ciało Ionor kołysało się delikatnie na jabłoni, nabite na stalowy szpic, jak zdobycz na kolec dzierzby.

Niezdarnie – pierś biła mu rytmem śmierci, a zdolność widzenia osłabiał szkarłat mgły – Kane podniósł szlochające dziecko i owinał je w swój skórzany uniform.

– Dobra robota, Kane! – zabrzmiały sarkastyczne słowa uznania. – Uważałem tę grę za wygraną.

Klesst skryła twarz w ramionach Kane'a, który przesunął ją nieco, ułatwiając sobie dostęp do miecza. Na ścieżce, tuż przed nim, stali Władca Demonów i jego ogar.

– Czy ciągle jeszcze masz mnie za swojego pionka? – warknął. – Tam jest twój sługa. Pakt się nie udał, i jeśli dalej pragniesz tej nagrody, będziesz musiał zagrać według moich reguł.

Twoich reguł, Kane? – zakpił Sathonys. – Nie, dziękuję.

Być może myliłem się, nazywając cię pionkiem. Zagramy kiedy indziej, wtedy zobaczymy, czy Kane jest prawdziwym panem swego losu, głupcem szczęścia.

– Nie powiem jednak, by taki obrót spraw mnie nie zadawałał. Nasze dusze, Kane, są jak identyczne ostrza, hartowane w jednej kuźni. Myślę, że będzie mi ciebie brak po tych wszystkich setkach lat, a służyłeś mi tyle razy.

Oczy Kane'a zapłonęły gniewem.

– Pomocą, jako sojusznik, oczywiście – dodał Władca Demonów, udając szacunek.

Dotknął niekształtnej głowy swojego ogara. – Chodź, Serberysie. Księżyc zachodzi, a nasz przyjaciel, Kane, przyznał dziś do naszego królestwa wiele dusz. Nie możemy opóźnić polowania, moje bestyjki już całkiem zgłodniały.

Serberys otworzył paszczę i zawył przeraźliwie, śliniąc się obficie. '

Ogar i jego pan zniknęli w ciemnościach.

Kane znalazł niemal współczucie dla tych, którzy ośmielili się ścigać go w noc Władcy Demonów. Współczucie jednak znał zbyt słabo, aby litować się nad własnymi wrogami.

W nawrocie obłąkańczego bólu Weed poczuł, jak ktoś opuszcza go na ziemię. Oczekiwał jakiegoś nowego przebiegu tortur, mimo to szczęśliwy, że skończyły się męczarnie jego wykręconych ramion. Następnie ostrze noża rozcięło więzy.

Otworzył spuchnięte powieki. Był to Kane, choć nie był pewny od razu. Jego herszt stanowiął, po tej stronie Piekła, trwożący widok.

Kane wcisnął mu do ust butelkę. Weed chciał złapać ją sam, stwierdził jednak, iż jego ręce pozostały nieruchome. Trunek palił jak ogień, rozharatane wargi i połamane zęby stanowiły jedną wielką ranę, ale pił chciwie alkohol z przechylonej flaszki.

W pewnym momencie doszedł do siebie na tyle, iż dostrzegł porozrzucane po sali ciała swoich strażników. Kane wpadł na nich wściekle, z morderczym impetem, kiedy Weed był jeszcze nieprzytomny.

– Czy jesteś w stanie jechać konno? – Kane raczej zażądał, niż zapytał.

Weed spojrział się na twarz herszta, potem spieszenie odwrócił wzrok. – Myślę, że tak – powiedział niewyraźnie, czując podczas wstawania połamane żebra. – Daj mi chwilę oddechu.

– W stajni są konie, osiodłane i gotowe do drogi – mówił do niego Kane. – Straże nie będą cię kłopotać.

– Do diabła! Co się stało? – wymamrotał Weed, próbując złapać równowagę. – Gdzie jest Pleddis i jego ludzie? Wszyscy wyszli cię szukać...

Wicher nocy przyniósł przeraźliwy skowyt. Brzmiał jak ujadanie ogara, który zbliża się właśnie do swojej ofiary. Nie był to miły dźwięk.

– Przypuszczam, że spotkali innych myśliwych – odpowiedział Kane.

Rzucił Weedowi okrągły kawał złota. Sporo ważył, ale zbolące ręce poturbowanego ten akurat ciężar potrafiły utrzymać. Masz tu złoto – Kane zwrócił się do Weeda. – Wykorzystaj go tak, jak będziesz potrzebował. Kiedy odzyskasz siły do jazdy, weź Klesst i wyjedź. Niedługo przyjdzie świt będziecie bezpieczni; poza tym, Sathonys winien jest mi coś. Weź Klesst ze sobą do Zajazdu Obraya – to kawałek na północ, gdzie nie sięga już władza połączonych miast, nikt was nie będzie ścigał. Zaopiekuj się dobrze dzieckiem, a kiedy wrócę, podzielę się z tobą ukrytym łupem. Wiem, że cię interesuje.

Weed wytarł z twarzy krew, nie zdając sobie sprawy, iż Kane przejrzał jego zamiary. – Nie ma sprawy. Kane. Wszystko, co powiesz. A ty? Pleddis może wrócić w każdej chwili...

– Dopilnuję swoich obowiązków – Kane przyrzekł groźnie. – Ty zajmij się swoimi.

Kiedy Pleddis pchnął drzwi Kruczego Zajazdu, świt rozjaśniał już niebo, a księżyc Władcy Demonów dawno zniknął za czarnymi wzgórzami. Kapitan wtoczył się do sali. Jego szaty były podarte i zakrwawione, twarz bledsza niż zwykle. Cała jego postać dygotała, a na mieczu wysychała krew, która wcześniej nie płynęła w ludzkim ciele. Z ust zniknął uśmiech.

– Demony! – wybełkotał zdławionym głosem. Otepiały i oszołomiony, dotarł na środek pomieszczenia. -- Diabły ze wzgórz! Do licha! Te bestie były wszędzie. Dyszące, drapiące pazurami, rzucające się na nas z drzew, cieni i skał. Zbyt wiele ich było – wypełzających na nas zewsząd. Nie mogliśmy ich powstrzymać.

Jego wzrok ciągle wypełniało przerażenie. – I ten ogar! Przeklęty, czarny ogar! Widziałem, jak porwał Erialla. Jeszcze słyszę jego ujadanie. Uciekałem przez wzgórza niczym osaczonyj~.lis byłem szybszy, zdołałem wrócić żywy.

Przerwał, żeby nabrać powietrza, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z otaczającej go rzeczywistości. Olbrzymi zajazd był pogrążony w zupełnej ciszy.

– Gdzie, gdzie są wszyscy? – wykrzyknął Pleddis.

– Jestem tutaj – odpowiedział Kane, wyłaniając się z ciemności.

ODROCZENIE
(Przełożyła Magdalena MOSIEWICZ)

PROLOG

Ponad niemą pustynią zniszczenia spogląda ze skalistej turni upadła cytadela. Wyniosłe gniazdo góruje nad przeklętą ziemią w mrocznym majestacie. Lynortis. Miasto-forteca, której murów żadna armia nie mogła pokonać. Okrutna władczyni bezgranicznych kniei rozpostartych u jej stóp.

Lynortis, twoje oczy oślepiły, a bogata dolina, którą władałaś, jest teraz śmietniskiem kości dwustu tysięcy dusz. Lynortis, jesteś martwa, ale nikt nie nosi żałoby. Nawet sępy już nie gnieźdzą się w twoich wypalonych gmachach; szakale opuściły wzgórza wyblakłych kości. Samotna i milcząca, jesteś nagrobnym obeliskiem dla twoich nie pochowanych dziesiątek tysięcy i dla kości twojego zdobywcy. Kiedy zabójca uśmierca zabójcę, obaj stają się jednym w obliczu śmierci.

Dwa narody zginęły tutaj, chociaż jeden został obwołany zwycięzcą. Zapytaj umarłych, która strona wygrała wojnę.

POLOWANIE W KNIEI

Oddech dziewczyny wydobywał się z trudem – biegła potykając się rozpaczliwie. Kilka godzin wcześniej jej długie nogi stąpały miękko i pewnie jak nogi jelenia. Jeleń jest rączy, ale ogary – cierpliwe. Od południa już ścigali ją przez szaleńczy koszmar przetrzebionych lasów. Teraz jej opalone nogi były podrapane i posiniaczone, a bosa stopy pozostawiała plamy krwi na węzłowatych korzeniach, gdy dobywając resztek sił przemykała pod kolczastymi koronkami gałęzi. W jej długie, kasztanowe włosy wplątały się liście i mech. Obdarta, krótka suknia zwisała w brudnych strzępach wokół jej smukłej sylwetki. Urywany oddech był jedynym dźwiękiem, jaki wydawała.

– Tu jej nie ma! – ochryple, przeciągłe wołanie rozległo się niewyraźnie z prawej strony. Oceniała odległość na jakieś sto jardów.

– Tu też nie! – odpowiedział okrzyk z lewej – już bliżej. Echo przyniosło tętent kopyt i podzwanianie uprząży. Wbiegła do wraka olbrzymiej katapulty. Namiot dzikiej róży

obrasłał gnijącą belkę przeciwwagi i wewnątrz cienistego schronienia zachodzące słońce tworzyło tygrysie pręgi. Nie zważając na raniące kolce, przylgnęła ciałem do zwęglonego drewna ogromnej maszyny. Umazane sadzą i pleśnią, opalone ciało dziewczyny oraz jej ubranie z szorstkiego, brązowego materiału zlały się z gnijącym drewnem. Na szczupłej twarzy jej brązowe oczy wydawały się tak ogromne, jak u jakiegoś nocnego stwora. Zamarła w bezruchu, tylko piersi falowały jej i powieki drgały niespokojnie.

Na początku były psy gończe. Niemal ją wtedy dopadły. Ale, wstrzymując oddech, prześliznęła się przez zasypany gruzem tunel, a kiedy ujadająca sfora wbiegła za nią, przegniłe stemplowanie ustąpiło. Teraz tylko ludzkie oczy musiały wyszukać jej ślad i to wystarczało, by utrzymać choć nikłą przewagę.

Spoglądała na nią porośła mchem czaszka, reszta kości ciągle jeszcze przygnieciona była ramieniem miotającym katapulty. Dwa szkielety w gnijących kolczugach leżały wpółzagrzebane w szańcu, usidłone w gnieździe z dzikiej róży. U jej stóp leżał nadzarty rdzą sztylet, pleśniejąca rękojeść miecza wystawała spod belki maszyny. Zardzewiała broń nie bardziej napawała ją otuchą, niż przegniłe kości strachem. Przerazała ją jedynie terażniejszość: dzicy mężczyźni, którzy ją ścigali.

– Ha! Tutaj! Świeża krew! – rozległo się z tyłu. I z bliska! Nie zdołała zatrzeć swego śladu. Jej kryjówka nie była dobrym schronieniem.

Pozbawiona nadziei wyrwała się spod maszyny, przedzierając się przez ciernistą kurtynę. Ich podniecone krzyki były blisko za parę sekund dotrą do starej katapulty. Wybujale zarośla i powykęcane drzewa obiecywały skąpą osłonę jej ucieczki.

– Uha! To ona!

Przerażenie wymogło jeszcze jeden zryw jej obolałych nóg. Mknęła na złamanie karku poprzez cmentarzysko bitwy ucichłej przed trzydziestu laty. Każdy oddech był agonią.

Deptali jej po piętach, choć błędzili w okaleczonym przez wojnę lesie i choć robili zbyt wiele hałasu, by posłyszeć odgłosy jej ucieczki. Ich atutem były konie.

Uderzyła w poprzewracane belki zmiażdżonej kuszy, potykając się o stos przerdzewiałych strzał o żelaznych grotach. Znalazła się tuż przy porośniętym zielskim okopie, który krył się o krok niżej. Ale była to nieznana jej część pola bitwy i nie zdecydowała się na schronienie, które mogłoby okazać się ślepym zaułkiem.

Przeskakując z wysiłkiem ponad okopem, zobaczyła wypełniającą go plataninę pożółkłych kości. Potem szybko do zarośniętego parowu o tuzin bolesnych kroków dalej. Ześliznąć się jak wąż

w dół po zboczach, gdzie kości układają się w rozoranej ziemi na kształt bruku.

Oni zatrzymują się nad okopem sprawdzając, czy ich ofiara nie ukryła się tutaj...

Dalej leżał gęsty stos połamanych drzew – osłona, jeśli zdoła jej dopaść. Nisko pochylona rzuciła się w stronę łąchy.

– Ju-huu!

Pośliznęła się na sypkim żwirze na odsłoniętej przestrzeni. Pół tuzina jeźdźców przedarło się przez zwał drzewa naprzeciw niej. Była otoczona.

– No, mamy ją!

Posuwali się w jej stronę. Obróciła się w mgnieniu oka, ale droga jej ucieczki była zamknięta – następni już gnali z parowu, który właśnie opuściła. Stała nie osłonięta na skrawku łąchy. Znowu się obejrzała. Była w pułapce.

Strach wykrzywił jej twarz. Rechotali zbliżając się do niej. Banda leśnych zbirów, którzy nie będą się spieszyć i wykorzystają swój czas, zanim pozwolą jej umrzeć. Mordercy o twardych twarzach; ich zdobyczny rynsztunek był równie niedobry jak ludzie, którzy go nosili. Nadciągali wolno kusząc ją, by spróbowała przebiec przez ich krąg.

Wykrztusiła przekleństwo w ich stronę, wpółskulona – stąpając w tył, gdy jeden się ruszył, obracając się natychmiast, inny, jeszcze bliżej, przysunął się za jej plecami. Bawili się zdobyczą, która kosztowała ich tyle trudu. Krąg szczerzących zęby wilczych twarzy leniwie posuwał się poprzez wypłukane kamienie i wyschnięte kości.

Koń, który przewodził grupie czekającej za stosem drzewa, postąpił w jej stronę. Jego tłusty jeździec był przywódcą bandytów – Ponury. Pozwolił zbirom zapędzić ofiarę w swoje ręce. Teraz jego grube wargi wykrzywiły się w tryumfalnym grymasie.

W tym momencie koń Ponurego potknął się, kopyta przebiły zwirowatą skorupę ze złowieszczym trzaskiem.

Człowiek i rumak zawyli w rozdzierającej agonii. Z rozłupanej kipieli pod łąchą wybuchnęła plwająca mgła czarnych oparów, dryfująca ciężko poprzez pustkowie.

Koń zapadł się w ziemię zrzucając swego jeźdźcę jak kłodę i darowując mu w ten sposób łaskę złamania karku. Dziewczyna widziała, jak czerniejąca skóra odchodzi od pęcherzy na jego twarzy. Wódz bandytów wył bez opamiętania jeszcze przez chwilę. I już czarna mgła falowała nad jego towarzyszami.

Ci, którzy jeszcze mogli, pierzchali w desperackiej panice. Czarne gazy wirowały jak pędzona przez piekło chmura. Płynęły poprzez łąchę i tchnęły swą zwiędłą śmiercią we wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu.

Niedoszła ofiara zauważyła, że wiatr wiał z powrotem w stronę parowu. Uważnie oceniła rozpościerające się opary. Wszyscy ci, którzy byli z Ponurym, jęczeli wijąc się na zasypnym kośćmi żużlu. Ci, którzy ścigali dziewczynę, usiłowali wyprzedzić mgłę, w przerażeniu zapominając o swej zdobyczy.

Jakimś cudem znalazła siły na ostatni zryw. Posuwając się mimo ryzyka – na obrzeżach nadciągającej chmury, uciekła od jej zanikających smug. Biegając pod wiatr, dotarła do skrawka lasu. Opary rozpląną się kiedyś, ale do czasu gdy ocaleli połączą się, będzie ciemno. Jeśli w ogóle któryś z nich miałby ochotę na tę zabawę.

Ledwie powłóczęc nogami, dokuśtykała pod osłonę spletanach drzew – prosto w ramiona mężczyzny, który obserwował wszystko, ukryty w cieniu.

Chciała krzyknąć, lecz szeroka dłoń zamknęła jej usta. Druga zacisnęła się na nadgarstkach. Walczyła z desperacją, ale on trzymał ją mocno, choć bez wysiłku.

– Cicho! – jego głos zagrzmiął w jej uchu. – Nie zrobię ci krzywdy.

Zadrżała i zwiśla bezwładnie w jego ramionach. Jej serce waliło boleśnie, ale próby wyrwania się były bezskuteczne. Zdjął rękę z jej ust, ale nie zwolnił uścisku przegubów.

– Nie martw się, nie jestem z nimi – powiedział. – Teraz odpocznijmy. Niech ci, co ocaleli, oddalą się od nas. Myślę, że są zbyt wystraszeni, by znów czegoś próbować.

Zapytał jeszcze:

– Jak ci na imię?

– Sesi – powiedziała niechętnie po chwili.

Wykręciła się, by wreszcie przyjrzeć się mężczyźnie, który ją trzymał.

Nic dziwnego, że nie dostrzegła go, gdy wbiegała między drzewa – mógł być jednym z tych pogiętych pni, tyle że ożywionym. Choć nie był dużo wyższy niż przeciętny wysoki mężczyzna, swą budową przypominał wiekowy dąb. Pierś i tors szerokie i twarde jak potężny pień, nogi jak kolumny, ramiona grube – o węzłowatych mięśniach. Wszystko emanowało masywnością, budzącą strach siłą, której nic się nie oprze. Dłoń o długich palcach, która unieruchomiła jej przeguby, była wielka i muskularna; szorstkie, rude włosy pokrywały jej wierzch i grube przedramię. Mężczyzna miał na sobie zasznurowany do połowy kubrak z kępami wilczego futra i srebrnymi muszlami, a pod spodem lekką kolczugę. Obcisłe skórzane spodnie rozszerzały się, okrywając wysokie buty. W pochwie u pasa wisiał ciężki nóż a osobliwie kuta rękojeść szerokiego miecza wystawała znad jego prawego ramienia. Sesi nigdy nie widziała, by ktoś nosił miecz przewieszony na skos przez plecy i uznała go za cudzoziemca.

Krótką rudą brodą okalała jego grubo ciosaną twarz. Strome czoło. Długie do ramion, rude włosy związane skórzaną przepaską z błyszczącymi kawałkami opali. Jego oczy... Sesi zadrżała. Zimne, niebieskie oczy mordercy... oczy, które widziały niejednego umierającego i wchłonęły część każdej śmierci. Esencja śmierci płonęła w ich błękitnej głębi.

– Nazywają mnie Kane.

Sesi oderwała od niego wzrok, zastanawiając się przez chwilę, czy miała szczęście nie dostając się w ręce tamtych prześladowców. Gdy Kane zwolnił uścisk, odsunęła się od niego. Jej szeroko otwarte oczy obserwowały go w napięciu. Jednocześnie próbowała zebrać krańce rozdarej wzdłuż boku sukni.

– Kto to był? – zapytał niedbale.

– Bandyci. Hieny cmentarne. Rodzaj tych, co napadają na podróżnych w górach, tu niedaleko. Prześlizgują się czasami na pole bitwy, by okradać trupy. Masale zarządził, by wszystko tutaj pozostało nienaruszone, jako pomnik ku jego chwale. Ale nikt nie pilnuje pola i te hieny wpełzają tu ukradkiem, by wykraść, co tylko im się uda – żelazo, złoto.

– Ja widzę tu tylko kości. – Bo są tu kości.

– Dlaczego ścigali ciebie?

Sesi zawiązała postrzępione krańce sukni nad zaokrągleniem biodra.

– Nie domyślasz się?

Przyjrzał się jej i wzruszył ramionami z kamienną twarzą. Nie mogła odgadnąć jego myśli.

– Bardzo się wysilali.

– Widziałeś? – przecesała palcami zmierzwiłone włosy.

– Byłem ciekawy, dlaczego banda rzezimieszków tak zaciekle przeczesuje lasy.

– Dlaczego tu jesteś? Nikomu nie wolno przebywać na tej ziemi.

– Mieszkasz tutaj? – zapytał w odpowiedzi.

– Jest nas tu kilkoro – odpowiedziała z zakłopotaniem. – Więc zabiorę cię tam.

– Potrafię znaleźć drogę. Kane potrząsnął głową.

– Robi się ciemno, a ta ziemia jest zdradliwa. Pełno tu jam i niewypałów, jak mogli się przekonać ci, którzy polowali na ciebie. Mój koń jest niedaleko.

Wzruszyła ciężale ramionami i podążyła za przybyszem. Ufanie człowiekowi o takich oczach nie wydawało się bezpieczne, ale nie miała wyboru.

II KLUCZ

Poczerniałe od ognia, kamienne ściany bez dachów wznosiły się ku szarzącemu niebu. Nierówne dziury w murze były śladami pocisków miotanych przez olbrzymie maszyny z fortecy na górze. Jedno skrzydło leżało w gruzach – roztrzaskane i zarośnięte zielskiem. Z głównej sieni pozostały tylko nagie mury. Cudownie ocalały witraż w kształcie rozety płonął czerwienią, złotem i błękitem w gasnącym świetle dnia.

Niegdyś lesista dolina u stóp Lynortis знаła wiele dworów tak okazałych, jak ten. Dwa lata nieposkromionego piekła starty na proch kraj i jego lud – jakby oszalały tabun przegalopował po domkach dla lalek. Cudem jedynie, tyle kamieni tego dworu trzymało się jeszcze jeden na drugim.

W odległym skrzydle – niegdyś kuchni i kwaterach dla służby – unosiła się smuga dymu z rozbitego komina. Żółte światło przebijało przez szpary między deskami, którymi zabito okna, a na potrzaskanym dachu można było dojrzeć ślady niestarannych napraw.

Kundel o sterczących żebrach zawarczał spod muru, gdy Kane podjechał.

– Opuść mnie. Będą chcieli wiedzieć.

Sesi ześliznęła się z siodła i pokuśtykała w stronę niskiego, kamiennego budynku.

Kane siedział na koniu wyczuwając oczy, które obserwowały go ze środka. Jego palce od niechcienia odpięły klamrę przytrzymującą pochwę przy jego lewym biodrze. Szarpnięcie za rękojeść przekreśliłoby pochwę zaczepioną na ramieniu, uwalniając ostrze w przeciągu sekundy.

– Hranal! – dziewczyna popchnęła drzwi. – Wszystko w porządku. Wpuść mnie.

Ten pies – on nie warczał zaczepnie, ale z przerażenia. Kane uzmysłowił to sobie w chwili, gdy drzwi otwały się z łoskotem. Jej krzyk i zgrzyt miecza wydobywanego przez Kane'a z

pochwy, zadrzały w powietrzu w tej samej sekundzie. Jeździec spał wierzchowca ostrogami i pchnął go w stronę wejścia, ale już silne ramiona wciągnęły Sesi do środka.

Drzwi były za niskie, inaczej Kane wdarłby się tam – mając odpowiednie pole manewru szermierz na koniu sam zdołałby rozpędzić wszystkich. Zmuszony zeskoczyć z siodła, Kane wpatrywał się w półmrok panujący w środku, wciąż ostrożnie trzymając cugle. Kilka mrocznych kształtów szamotało się wewnątrz nisko sklepionego pomieszczenia. Ruszył do drzwi, ale rosła postać zastąpiła mu drogę.

– Kane! Stój! – zawołał mężczyzna. – To nie twoja walka! Kane przystanął patrząc na uniesiony miecz tamtego. W środku bójka zamierała. Sylwetka z progu postąpiła w dół. Był to jasnowłosy, mocno zbudowany mężczyzna w nabijanej srebrem koleczudze.

– Kane! Na Siedmiu! Wiedziałem, że to musisz być ty, gdy zobaczyłem, jak ktoś nadjeżdża.

– Witaj, Jersenie.

Bruzdy złościły mu czoło, pojawiła się długa blizna, której nie było piętnaście lat wcześniej, a jednak to ta sama twarz, którą Kane znał niegdyś dobrze. Ślad wydatnego brzucha i podkrążone oczy wskazywały na to, że kapitan najemników żył nieźle, zanim ciężkie czasy zaczęły zostawiać swoje znaki.

Wysoki mężczyzna z jasną brodą uśmiechnął się i schował miecz.

– Minęło sporo czasu, Kanie, odkąd ty i ja osadziliśmy Roderyka na tronie jego brata.

Kane skinął głową niedbale opuszczając miecz.

– To była dobra walka, Jersenie. Cóż działo się od czasu, jak musiałem odejść?

Jersen zaśmiał się.

– Kiedy Roderyk uspokoił się, dostałem twoją starą posadę. Od czasu do czasu ktoś miewał

wątpliwości co do prawa Roderyka do tronu – dosyć, by było ciekawie i by przypominało mu, że potrzebuje mnie i moich ludzi. Parę lat temu Roderyk posmakował pasztetu z nerki z pewnymi niespodziewanymi przyprawami w środku. Wtedy rozpętało się piekło i, kiedy w końcu wydostaliśmy się stamtąd, niewielu nas zostało. Od tej pory robimy to czy tamto. A ty?

– To czy tamto.

Jersen przyjrzał mu się podejrzliwie. – Co robisz tutaj?

– Jeżdżę tu i tam. Jeśli nie dbasz o to, czy kogoś spotkasz, to dobrze jest przejeżdżać przez Lynortis.

– Tak, idę o zakład – zaśmiał się Jersen. – Co robiłeś z dziewczyną?

– Zabrałem ją z pola bitwy. Uciekała przed hordą bandytów, póki koń ich wodza nie wpadł na niewypał bomby gazowej. Wiozłem ją tutaj, mając nadzieję na nocleg.

Jersen zaklął z wściekłością.

– To był ten sukinsyn, Ponury. Więc tego przekłętego głupca rozerwała stara lynortiańska bomba gazowa, tak? Że też tego nie widziałem! Ten bękart próbował mi sprzątnąć klucz do fortuny.

– Klucz do fortuny?

– Tak, tak... to, coś przytulał na swoim siodle. Do diabła, wejdz, a opowiem ci wszystko przy paru kielichach. Jest w tym dość złota, by podzielić się ze starymi kamratami.

Kane schował miecz do pochwy i wszedł za Jersenem do zrujnowanego skrzydła. Wewnątrz było może dziesięciu uzbrojonych mężczyzn – jasnowłosych waldańskich najemników, żołnierzy Jersena. Kane rozpoznał kilka twarzy i rzucił słowa powitania. Domyślał się, że muszą być jeszcze inni, chyba że ta sponiewierana garstka to wszyscy, którzy pozostali ze wspaniałej niegdyś drużyny. Drużyny Jersena, która dawno temu poszła za nim na Północ, zarabiać na życie mieczem.

Sesi, nieszczęśliwa, garbiła się na krześle; ręce miała związane na plecach. Jej oczy w desperackiej nadziei szukały Kane'a. Kamienna podłoga była splamiona krwią, a para starych ludzi skulonych w rogu kuchni nie kwapiła się, by pomóc dziewczynie. Nie uczyniłby też tego ociężały mężczyzna, leżący w samym środku szkarłatnej kałuży. Kane odwrócił wzrok i usiadł przy długim stole.

– Hranal, wina! – wrzasnął Jersen na starszego mężczyznę, który opatrywał swoje zmiażdżone usta. – Na razie wina, potem każ żonie upiec mięsa. I zrób to dobrze, bo inaczej wiesz, co cię czeka, Laddos, idź z nim.

Jersen usiadł naprzeciw Kane'a.

– Dom jest w ruinie, ale w piwnicy są jeszcze butelki rzadkiego wina; nie potłukły się podczas oblężenia. Więc tylko przejeżdżasz? To ciekawy zbieg okoliczności.

Kane pochylił się i przeszedł do sedna sprawy. – Mówiłeś coś o fortunie.

Kapitan Waldannów chrząknął.

– Srebro, złoto, klejnoty... ile tylko zdołamy unieść. Jeśli będziemy działać szybko.

– Jak szybko?

– Najlepiej, żeby przed świtem już nas tu nie było.

– Nic tu nie ma prócz kości dwóch armii.

– Jest coś więcej, jeśli wiesz, gdzie szukać – zapewnił go Jersen. – Już prawie trzydzieści lat, jak upadło Lynortis, ale to, czego szukamy, nie gnije.

Stary człowiek wrócił z zakurzonymi butlami wina. Jersen przyglądał się z rozkoszą, jak tamten napełnia puchary. Palił się do swej opowieści.

– Do diabła, Kanie, znasz pewnie tę historię tak dobrze, jak ja. Jak to Masale z Wesretin zebrał armię ze wzgórz Myceum i pomaszerował z setką tysięcy ludzi, by stworzyć imperium z ziem

Północnej Lartoksji. Na drodze podboju stało Lynortis miasto nie do zdobycia, jak mówiono. Twierdza wyciosana z wierzchołka góry. Jej władcy rządili wielką doliną rozpostartą poniżej, od wieków uznając równiny Lartoksji za swoje lenno. Masale wiedział, że musi pokonać Lynortis. Spustoszył najpierw miasteczka i majątki u stóp twierdzy, potem, rozpoczął oblężenie jej samej. Sto tysięcy ludzi przeciw jednej samotnej fortecy.

To nie była bitwa, to była nie kończąca się rzeź! Mury nie do zdobycia na szczycie istnej wieży ze skały. Bogowie! Ileż tysięcy zginęło w bezsensownych atakach! Dwa lata Masale oblegał Lynortis. Dwa lata jego gigantyczne maszyny miotały w twierdzę głazami, włóczniami i płonącymi kulami smoły. Katapulty Lynortis, nie zrażone, odpowiadały ogniem. I śmierć spadała jak deszcz w szklanych skorupach z płonącym fosforem i śmiertcionośnymi gazami, których tajemnicę czarownicy Lynortis wydobyli z wnętrza ziemi. Plagi i głód unicestwiały dalsze tysiące. Armia najeźdźcy marniała w oczach, kraj stawał się pustynią, a Lynortis wciąż się opierało. Masale, który nigdy przedtem nie przegrał nawet jednej bitwy, nie zdołał rzucić fortecy na kolana. Ani siłą oręża, ani głodem, gdyż miasto jakimś cudem zaopatrywano.

W końcu Masale zdobył Lynortis – dzięki zdradzie. Wewnątrz skalnej iglicy istniały tajne przejścia, które wychodziły na dolinę poniżej. Po dwóch latach oblężenia ktoś wskazał Masalowi drogę przez górę. Pewnej bezksiężycowej nocy poprowadził najeźdźcę i resztki jego armii. Końcowa bitwa była ciężka, choć twierdza została wzięta z zaskoczenia, a dwa lata oblężenia osłabiły obrońców. Przed świtem Masale był już władcą miasta umarłych. Jeszcze daleko w dole skały były usłane roztrzaskanymi ciałami tych, którzy uniknęli stali jego armii.

Masale pozostawił Lynortis w płomieniach chełpiąc się, że nie oszczędził ani jednego życia. Ale jego sen o imperium umarł razem z miastem. Ledwie dwadzieścia tysięcy ludzi ocalało z butnej armii podboju. Masale wrócił do Wesretin, a jedyne, co po zostało po jego marzeniach to ziemia wyschnięta do białości, wyciśnięta do ostatniej kropli – krwi i dobrobytu.

Jersen zrobił pauzę na haust wina. Kane czekał, aż powie on coś więcej, niż wiadomo było powszechnie.

– Jako część łupu Masale zabrał ze sobą kogoś, kto przeżył – Reallis, młodą córkę Yosahcary, ostatniego władcy. Mieć na własność dziecko swego wroga jako nałożnicę – dawało mu to choć trochę gorzkiej satysfakcji. Często, gdy ogarniała go rozpacz, zabawiał się z Reallis, aż w końcu okazało się, że urodzi mu bękarta.

Masale chciał ją wtedy zabić – tak mówią – ale dziewczyna zniknęła. Uciekła – grzmiał Masale – a jego ludzie zastanawiali się, po co się tak wysilał i kłamał.

Ale Reallis naprawdę zbiegła jakimś cudem. Jak? Ktoś, kto ocalał z Lynortis, czy wróg Masale'a, który chciał użyć bękarta przeciw niemu? Kto wie? O Reallis nie usłyszano już nigdy więcej. I teraz, dwadzieścia lat później dociera do Masale'a wieść, że ukryła się ona wśród nielicznych uchodźców, którzy żyją w ruinach na polu bitwy i że wydała na świat córkę. Tajemnicę zdradził pewien włóczęga. Spodobała mu się córka, lecz nie mógł się do niej dostać – ciągle była przy Reallis, umierającej w gorączce. Pewnej nocy podkraść się dostatecznie blisko, by podsłuchać, jak matka na łożu śmierci opowiada córce o tajemnej komnacie, gdzieś w grotach pod Lynortis, wypełnionej klejnotami i złotem. Nie zdołał podejść dość blisko, by dosłyszeć, gdzie ukryty był skarb, ale jej córka była tam do końca i słyszała wszystko. Następnej nocy włóczęga usiłował dostać się do dziewczyny, lecz złapali go i pobili tak, że omal nie umarł. Więc zbiegł, ledwie trzymając się na nogach i poszedł do Masale'a, zanieść mu wieść o córce. Wyobrażał sobie, że przypadnie mu udział w skarbie, kiedy tyran położy na nim swe ręce. Zamiast tego Masale wycisnął z niego siódme poty, by upewnić się, czy to nie podstęp. Gadał, łajdak, dużo i głośno na kole tortur. Niewielu ludzi

tak trudno przekonać, jak Masale'a.

Jersen opróżnił swój puchar jednym haustem i dokończył.

– Wieści dotarły do mnie przez Bonaeca. Był najęty przez Masale'a, ale po tym, co usłyszał, przybiegł po pomoc do swego starego kapitana, by uciec Masale'a. Potem któryś łajdak z mojej drużyny sprzedał się Ponuremu za większy kawałek złota. Chłopcy Ponurego dostali się tu o włos przed nami, a teraz jestem pewien, że i Masale już depcze nam po piętach.

Wszystkie spojrzenia utkwione były w Sesi. Bez żadnej nadziei patrzyła tępo w podłogę. Milczała.

– Teraz to tylko kwestia zmuszenia jej do gadania – zaśmiał się Jersen. – Zgarniemy, ile da się unieść, i nie ma nas. Będziesz miał równy udział, Kane. Nie robię tego z sentymentu do starych czasów. Możemy być zmuszeni do walki z Masalem, a ja wiem coś jest wart w walce. Zgoda?

– Oczywiście – powiedział Kane opróżniając swój puchar. Jersen chrząknął i poklepał Kane'a po szerokim ramieniu.

– No to dosyć w takim razie. Czas ruszać. – Wykrzywił się w wilczym uśmiechu do związanej dziewczyny. – Widzisz, znamy te porachunki, Sesi. Więc mów lepiej wszystko od razu, a zabiorę cię tam, gdzie nie dostaną cię łapy Masale'a i obsypimy cię złotem. Zresztą nie masz innego wyboru.

Wydusiła niemal niedosłyszalnie:

– Nie przypuszczam, by miało sens mówienie ci, że nie wiem, o co chodzi.

Jersen uderzył ją ledwie poruszając się. Jej głowa odskoczyła do tyłu, krew popłynęła z nosa. Krąg oczu patrzył bez cienia współczucia.

– Dobrze – powiedziała Sesi drżącym głosem. – Ale nie potrafię opisać tego miejsca. Dajcie mi konia, zaprowadzę was. – Bardzo mądrze – pogratulował Jersen. – Bonaec, zawiąż jej pętlę na szyi. Sesi, mam nadzieję, że nie myślisz, iż uda ci się wymknąć w ciemności. Naprawdę nie mamy czasu do stracenia. Przyglądał się, jak Bonaec stawia dziewczynę na nogi i zakłada sznur na jej szyi. Krępy najemnik odmierzył parę stóp luzu i przywiązał drugi koniec do swego grubego przegubu.

– Przy twoim pierwszym podejrzanym ruchu każę Bonaecowi obciąć ci uszy. Bonaec będzie się świetnie bawił. Ja również. Więc postaraj się zachowywać tak, by dotarcie do złota nie trwało zbyt długo.

III

GDY NADCHODZI NOC

Waldannów było więcej – trzydziestu pozostałych mężczyzn stało z końmi w pewnej odległości od zrujnowanego dworu. Jersen nie spodziewał się oporu ze strony nielicznych uchodźców, którzy tu żyli, a nie chciał zbyt wielką grupą ostrzec i spłoszyć Sesi.

Dziewczynę wciągnięto na siodło; reszta prędko dosiadła swych koni, by podążyć za nią. Noc szybko nadciągała nad zniszczony las i – jak zauważył Kane – miała być bezksiężycowa.

– Nie rozumiem, jak Masale mógł przepuścić komnatę pełną złota – odezwał się Kane do Jersena.

Kapitan Waldannów stanął, by wykrzyknąć rozkaz. Dopiero potem odpowiedział:

– Było ukryte w grotach pod Lynortis. Niewielu znało jego sekret, a Masale nie brał jeńców, gdy miasto upadło. Był to skarb zebrany przez Yosahcarę, by nająć armię, która przerwałaby oblężenie. Byli tacy, którym było obojętne, czy Masale kontynuuje swój marsz ku imperium, czy nie. Złoto mogło przekonać ich, by zaatakowali Masale'a. Yosahcara planował wysłać część złota tajnymi przejściami przez kilku zaufanych agentów. Ale Lynortis upadło, zanim jego plan mógł być wcielony w życie i Reallis była jedyną, która o nim wiedziała. Nie miała ochoty dzielić się tym sekretem z Masale'em.

Kane skinął głową.

– Brzmi prawdopodobnie. Jesteś pewien, że Sesi zna sekret? – Lepiej dla niej, żeby znała. Potrzebuję tego złota, Kanie. Wydaje się, że dla ciebie lata nie mijają, ale ja dobiegam pięćdziesiątki. Nie dożywasz dużo więcej w tym fachu. A nie mam nic w zamian za życie na granicy śmierci, oprócz paru wiernych, zmaltretowanych weteranów. A złota u nas mniej, niż byle pan trwoni na ulicznice podczas jednej nocy w zaułkach.

Przerwał, wpatrując się bacznie w ciemność.

– Może lepiej zapalić latarnie? Zapada zmrok, a żaden szlak nie prowadzi przez to cholerne śmietnisko.

Gęste cienie kładły się na przypominającej koszmarny sen gmatwaninie zwalonych drzew, gnijących machin oblężniczych, zarośniętych zielskiem nasypów. Przed nimi wyłoniła się ogromna balista – jej gigantyczne belki były zwęglone i zakrzepłe, jakby bomba fosforowa, która spaliła tę maszynę i jej załogę, uderzyła zaledwie kilka godzin temu. Zwęglone szkielety zastygły tak, jak stały – przy jej złamanym ramieniu. Dotknij człowieka dostatecznie gorącym ogniem – zadumał się Kane – a jego kości przetrwają na zawsze.

Wysoko nad nimi widniało Lynortis – ruina zamku na wierzchołku skalnej iglicy, wysokiej na tysiąc stóp. Kane ledwie mógł odróżnić wyciosaną na zboczu skały wąską drogę, pnącą się spiralą na przyprawiający o zawroty głowy szczyt. Kamienie niegdyś z niego miotane wyżłobiły w ziemi kraterę głęboką na wysokość człowieka.

Ostrożnie obeszli wykop ze szczątkami balisty. Okopy i kraterę rozorały teren, a tam gdzie ziemia nie była ogołocona przez jakąś wciąż silną truciznę, roślinność – wyrosła przez trzy ostatnie dekady – niemal uniemożliwiała przejście.

– Nie możesz znaleźć lepszego szlaku? – zapytał Jersen swego jeńca.

Sesi potrząsnęła głową. Konie jej i Bonaeca prowadziły resztę. – To jest swego rodzaju szlak. Zapominasz, że pola bitwy nie przemierzał nikt od tylu lat.

– No, coś tędy przechodziło – wskazał Jersen. – Jakies tunele przebiegają przez zarośla.

Koń Sesi zarżał i zapadł się, jego kopyta naruszyły kruche zbocza nie dostrzeżonego okopu. Z

rękoma związanymi na plecach Sesi spadła z siodła. Jej szyję szarpnął do tyłu zaciskający się stryczek, podczas gdy koń niósł ją w dół do ukrytego rowu.

Miecz Kane'a przeciął pętający dziewczynę sznur w momencie, gdy luźny odcinek zadrżał napinając się. Włókna powrozu rozdzieliły się z trzaskiem, zanim pętla zdążyła złamać jej kark. Sesi potoczyła się z podciętego zbocza w zagrzebane w zielsku wykopy. Jeszcze tylko biały błysk jej nóg i zniknęła w kryjówce, wślizgując się doń głową.

– Brać ją! – wrzasnął Jersen.

Bonaec zeskoczył z siodła i zanurkował za nią w okop. Na dnie ze złamaną nogą leżał przewrócony koń – jego kopyta wierzgały niebezpiecznie. Krępy Waldann okrążył go i zanurzył się w gąszcz, gdzie zniknęły długie nogi dziewczyny. W tyle pozostali dreptali zagubieni, nie wiedząc, co wydarzyło się w gęstym mroku.

Jersen wyrzaskiwał rozkazy, by otoczyli okop. Konie potykały się i upadały, gdy klnący mężczyźni zmuszali je do przedzierania się przez mroczne pustkowie.

– Jeśli wymknie się w tych ciemnościach... – warknął Jersen z furią.

– Nie może odbiec daleko ze związanymi rękami – powiedział Kane. – Nic by nam nie powiedziała ze skrzyconym karkiem.

– Do diabła, zrobiłeś jedyną rzecz... – zaczął Jersen.

Echo przyniosło złowieszczy krzyk z dna okopu. Bonaec. Krzyknął tylko raz.

Ktoś w końcu zapalił pochodnię. Mężczyźni wpadli do okopu i zaczęli przedzierać się przez gąszcz. Za chwilę cofali się już ciągnąc Bonaeca za nogi. Nie znaleźli głowy najemnika. Nie znaleźli też Sesi.

– Tu jest tunel! – obwieścił ktoś, gdy ich miecze wykarczowały zasłonę poszycia. – Ten trop zwierząt wiedzie wprost do starego tunelu.

– Więc idźcie za nim! – wrzasnął Jersen i zaklął, gdy opieszale wykonywali rozkaz.

Nigdzie wzdłuż okopu jeźdźcy nie znaleźli śladu dziewczyny. – Wiedziała, że tu jest – zdecydował Kane. – Podprowadziła konia pod okop i zaryzykowała. Armia Masale'a spędziła dwa lata kopiąc tunele i okopy do obrony przed kontrbombardowaniami. Jeśli Sesi zna pole bitwy, może teraz właśnie pełzać do jakiejś kryjówki, gdzie nigdy jej nie znajdziemy.

– Znalazła też stare ostrze – zgadywał ponuro Jersen: Oswobodziła sobie ręce i obcięła głowę staremu Bonaecowi, gdy skradał się za nią.

– To musiało być tępe ostrze – zauważył Kane. – Sądząc po kikucie szyi, powiedziałbym raczej, że odgryziono mu głowę.

IV RAMIĘ KANE'A

– Nie chciałbym dziś w nocy być na zewnątrz nawet za górę złota tak wysoką jak Lynortis – mruknął Hranal, wręczając Kane'owi półmisek gotowanego mięsa. – Zbyt wielu ludzi tam umarło.

– Tak? – spytał Kane, odtrącając jego rękę od parującego dania.

Po godzinie przeszukiwania okolicy, w której zniknęła Sesi, Kane doszedł do wniosku, że dziewczyna wymknęła się na dobre – przynajmniej dopóty, dopóki było ciemno. Zostawiając ten problem Jersenowi, wrócił do zrujnowanego dworu na długo odkładany posiłek. Jeśli Jersen chciał, by jego ludzie nadstawiali karku w imię bezsensownych poszukiwań, to była to sprawa między Waldannami a ich wodzem.

– Zbyt wielu ludzi zginęło – powtórzył Hranal. – Zbyt wielu, by pozostali umarłymi w takie noce, jak ta. Kiedyś widziałem, jak coś posuwało się po starym polu bitwy w świetle księżyca i od tej pory siedzę za zaryglowanymi drzwiami.

– Srasz ze strachu, dziadku – wymamrotał Laddos, który pozostał na straży dworu i jego lokatorów. – Umarli pozostają umarłymi, chyba że działają czary. Nic tu nie ma, prócz kości.

Zanurzył brudną rękę w półmisku. Stary człowiek spojrzał na najemnika bez złości. On i jego żona okazywali niewiele emocji i po początkowym przestraszeniu spełniali zachcianki Waldannów w potulnym milczeniu.

– Mogłeś widzieć wielu umierających – stwierdził – ale nigdy nie widziałeś podobnej walki. Nie było bitwy nad oblężenie Lynortis! Umierali tu tysiącami. Te samobójcze ataki, by szturmować mury! Droga do bramy była zasypana zgniecionymi korpusami w stosach wysokich na dwadzieścia trupów. Potem całe miesiące oblężenia – kamienie i strzały dniem i nocą spadające w dół, miażdżone i przebijane ciała, szklane bomby fosforu i innych gazów wybuchające nad okopami. Wtedy umierali setkami – spaleni do kości, z bólu wrykujący na wierzch wnętrzości. Tam, gdzie uderzyły fosforowe bomby możesz zobaczyć całe połacie ziemi świecące widmowo do dziś.

– Byłem w oblężeniach – mruknął Laddos.

– Nie w takich jak to. Nigdy nie było podobnego oblężenia. Masale był zdeterminowany, by zdobyć Lynortis – sprowadzał wciąż nowych żołnierzy, tak szybko, jak szybko mogli umrzeć. Przybył tu z setką tysięcy, a musiał sprowadzić co najmniej drugie tyle w czasie, gdy oblężenie przeciągało się w nieskończoność. Nikt nie wie ilu. Gdy niezliczone góry poległych urosły, na wysokość Lynortis, zagnieździły się plagi. Nie mogli chować tylu zabitych, nie mogli tylu palić, nie zdołali tylu wywozić. Przez dwa lata powietrze było pełne śmierci, a ci, którzy jeszcze żyli, kontynuowali walkę zza szańców z korpusów poległych.

Potem ta noc, gdy Lynortis upadło. Przez całą noc mogłeś słyszeć ich krzyki, a o świcie góra była czerwona od krwi, a ziemia poniżej zasłana – głęboką na sto ciał – warstwą zmiażdżonych trupów. Tej nocy umierali dziesiątkami tysięcy i mogłeś widzieć ich pokruszone kości wyglądające jak śnieg – gdy spłynęły pod dąb u stóp góry. Lynortis kosztowało Masale'a utratę imperium, ale on zmusił miasto, by zapłaciło za to życiem.

Czy można powiedzieć, kto wygrał wojnę? Kto może zliczyć umarłych? Masale zostawił na tym polu cmentarzysko. Kości dwóch armii bieleją tu nie pogrzebane pośród ruin wojennych. I nie spoczywają w pokoju przyjacielu! Uwierz słowom człowieka, który przeżył to wszystko.

Laddos przeklął i wgryzł się w żyłaste mięso. Jego spojrzenie powędrowało ku zaryglowanym drzwiom.

– Mieszkasz tu od tego czasu? – zapytał Kane. – Dlaczego?

Mężczyzna wyglądający jak strach na wróble wykonał słaby ruch ręką.

– A gdzie indziej iść? Służyłem wraz z kobietą naszemu panu, zanim Masale przewalił się przez dwór. Nikt nie zabija szczyby. Na pewien czas sam Masale uczynił ten dom swoją kwaterą, ale gdy znalazł się on w zasięgu katapult, wódz przeprowadził się na tyły. Czasami kwatrowali tu jego generałowie, czasami chirurdzy pracowali tu nad ciałami zbyt połamanymi, by jeszcze walczyć. Służyliśmy im wszystkim. A kiedy pociski padały wokół domu, chroniliśmy się w piwnicach. Kiedy wyczołgivaliśmy się, znajdowaliśmy naszych panów pogrzebanych pod murami – i wtedy przychodzili nowi panowie.

Schowaliśmy się także tej nocy, gdy padło Lynortis, a kiedy Masale wyprowadził już z kraju swoją zmaltretowaną armię, nie było już więcej panów. Gdzie indziej iść? Komu jeszcze służyć? Pozostaliśmy tu – pośród szczątków – z paroma innymi, którzy ocaleli. Żyliśmy zbierając odpadki, a nocami martwieliśmy ze strachu, gdy duchy i wampiry krążyły wokół domu i waliły do drzwi.

Naraz z piwnic pod nimi pies zaczął ujadać jak opętany. Laddos i Kane spojrzeli po sobie.

– Szczury – wyjaśnił Hranal, gdy dwaj mężczyźni powstali – lubi na nie polować.

Pies zaskamlał z bólu, zawył w nagłym strachu. Głos niósł się groźnie przez ruiny.

Duży szczur – zauważył Kane, wycierając dłonie z tłuszczu. Skierował się do piwnicy.

– Idę z tobą – zdecydował Laddos.

– Myślałem, że Jersen kazał ci pilnować starego. Złamany nos Waldanna sterczał wojowniczo.

– Do diabła, ci nigdzie nie odejdą. Idę zobaczyć, co przestraszyło psa.

Piwnica pod kuchnią była czysta i dobrze utrzymana. Półki z butelkami wina i prowiantem stały równo pod ścianą. Jeden kąt był oddzielony zasłoną, za którą stało małe łóżko i proste meble. Pęknięte lustro i kilka sztuk kobiecej garderoby leżało na starym kufrze. Mieszkanie Sesi – domyślił się Kane. Pozostali spali na górze. Ciężkie drzwi – otwarte na oścież – prowadziły do piwnic pod głównymi zabudowaniami.

– Były przedtem otwarte? – zapytał Kane.

– Skąd mam wiedzieć? – Laddos wzruszył ramionami, przesuwając latarnię ku środkowi.

Podłogi wąskich korytarzy nad nimi były poprzebijane przez spadłe niegdyś kamienie. Część zapadła się pod ciężarem gruzu. Przez szczeliny można było dojrzeć kilka gwiazd. Kurz, rozkład i sypiące się mury. Całkowita ruina.

– Powinna być co najmniej jeszcze jedna piwnica pod tym skrzydłem – zgadywał Kane. – Najprawdopodobniej tutaj. Tędy, te schody prowadzą w dół!

– Dokąd? – Laddos podniósł latarnię, stawiając ostrożnie kroki między skrytymi w mroku stertami gruzu. – Bogowie, jeśli jest jakieś słabe miejsce w tej podłodze...

Kane dostał się do schodów prowadzących w dół. – Coś tutaj naruszyło kurz...

– Jersen przeszukiwał solidnie ten dom, kiedy przybyliśmy. – Laddos nie przestawał oglądać się przez ramię. – Już nie słyszę psa.

– Hm... Ślady łap na kurzu. I jeszcze coś, ale nie wiem co – zbyt zamazane i rozmyte.

Kane ruszył ku schodom.

– Zostawmy to. Pies dorwał szczura. – Daj mi latarnię, jeśli wracasz.

Laddos zaklął i zszedł za nim wąskimi schodami. Coś zawarczało z dołu.

– Uwważaj!

W mroku błysnął miecz Kane'a. Laddos nadbiegł ze światłem. Bliźniacze kręgi ognia raziły w nich spojrzeniem pełnym nienawiści. Pies stał przyparty do muru w rogu, u stóp schodów. Grzbiet najeżony, obnażone kły, ogon między nogami sparaliżowany strachem. Wydawało się, że nie widział ich, póki nie dotarli do podstawy schodów. Wtedy rzucił się między nich i wybiegł jak oszalały na

górze.

W napięciu badali dolny loch. Jego sufity nie ustąpiły, ale był zavalony niszczącymi szczątkami nieokreślonego rodzaju. W świetle latarni Kane dostrzegł Tężący na gnijącym sienniku szkielet, z obiema nogami obciętymi w połowie ud. Sala tortur albo szpital – różnica nie wydawała się istotna, gdy tak lustrował pokryte całunem pajęczyn stoły i sprzęty oraz wyschnięte kości, śpiące pod kocami kurzu. Bomba gazowa – domyślił się.

– Co to? – syknął Laddos.

Coś niby krab czmychnęło z kręgu światła. To, co zdołał zobaczyć Kane, wyglądało jak niekształtny pajak wielkości dużego psa. Rzucił się, ale stwór wpelzł zwinnie pod stos porzuconych mebli i zniknął, zanim Kane zdążył mu się dobrze przyjrzeć. To „coś” było krępe i włochate, a chód – nie do opisanego.

– Tu jest jakaś nora – wskazał Laddos.

Kane pokiwał głową. Widział już coś takiego w okopie, w którym zniknęła Sesi. Ciasna jama, przez którą mógłby się prześliznąć gibki młodzik, przebijała mur lodu.

– Czy Masale kazał poprowadzić okopy do dworu? – zapytał Laddos.

– Nie wiem. – Więc co to? – Nie wiem.

Krzesło z połamanymi nogami runęło z hukiem z kupy gruzu obok jamy. Laddos natychmiast obrócił się, klnąc. Upuścił miecz i błyskawicznie sięgnął pod przewrócony stół.

– Mam cię, ty przeklęta suko! – najemnik wyciągnął wijącą się dziewczynę z jej kryjówki. Jego ramię było rozplątane w miejscu, gdzie uderzył jej sztylet. Posłał ją mocnym ciosem na kamień, a kopnięciem wytrącił jej ostrze.

– Trzymaj ją Kanie! Jersen zrobi z niej...

Laddos nie skończył. Kane przechwycił latarnię z jego tracących czucie rąk w momencie, gdy najemnik runął jak długi.

Nic nie rozumiejąc, Sesi patrzyła, jak Kane wyciera krew z ostrza swego miecza. Powoli powstała i nie spuszczać oczu z Kane'a, obciągnęła rozdarte krańce krótkiej sukni na podrapane i zabłocone uda.

– Już trzeci raz stajesz po mojej stronie, Kanie. Z czyjego polecenia działasz? Nie Ponurego, nie Jersena. Masale'a?

– Jestem ramieniem Kane'a – powiedział mężczyzna. Czy to ma jakieś znaczenie?

Sesi wykrzywiła usta.

– Zdaje się, że nie... w ostatecznym rachunku.

– Nie zbliżaj się na krok do tego tunelu albo przykuję ci stopę do podłogi – ostrzegł Kane.

Sesi przerwała swój ukradkowy odwrót.

– Co teraz? Zawołasz Jersena? – głos był zbyt chłodny, jak na strach w jej oczach.

– A powinienem?

Sesi spojrzała na ciało Laddosa.

– Więc Kane nie ma zamiaru dzielić się z nikim skarbem Lynortis. Ale jaka to dla mnie różnica?

– Będę lepszy dla ciebie niż Jersen. O ile skarb istnieje, to posiadasz bezużyteczną wiedzę, jeśli nie masz kogoś, kto mógłby wydostać i ciebie, i złoto z tego nawiedzanego przez diabła cmentarzyska.

– Myślisz, że to dlatego nie wykorzystałam mego sekretu wcześniej?

– Był jakiś powód, że tego nie zrobiłaś. Może potrzebowałaś czasu, by to przemyśleć. Złoto jest tutaj bezużyteczne. Żeby wydostać je stąd potrzebowałabyś kogoś, komu mogłabyś zaufać. – Masz na

myśli siebie? – jej ton był sarkastyczny.

– Zgadza się.

– A gdybym powiedziała ci, że nic nie wiem o żadnym tajemniczym skarbie?

– Nigdy nie udowodnisz tego Jersenowi. Zwiesiła ramiona.

– Wiem. Ani nikomu innemu.

Przez chwilę stała pogrążona w rozpacz, mocno zaciskając usta. Kane'a zastanawiał brak łez. Potem jej ręce chwyciły skraj szaty. Szybkim ruchem ściągnęła przez głowę suknię i cisnęła ją na podłogę. Okrywały ją teraz tylko długie zmierzwiłone włosy. Miała ciepło złotą skórę, piękne piersi. Umazane ziemią szczupłe ręce i nogi kontrastowały z czystymi liniami bioder i tułowia.

– To wszystko, co mogę ci dać, Kanie. Wierz lub nie, jesteś moją jedyną nadzieją. Wydostań mnie stąd, a oddam ci jedyną rzecz, jaką mogę ofiarować.

Nic oryginalnego i nic, czego i tak nie mógłby wziąć siłą, ale aprobował to.

– Dobrze – powiedział – jeszcze do tego wrócimy. Teraz trzeba pomyśleć o Jersenie. Jak się tu dostała?

Sesi wśliznęła się w swoją postrzępioną suknię.

– Dorastałam tutaj. Dobrze znam pole bitwy. Kiedy poprowadziłam Jersena pod okopy pomyślałam, że będzie to albo szansa na ucieczkę, albo szybki koniec. Kiedy przeciąłeś pętlę, rzuciłam się do tunelu na końcu okopu. Jeśli musisz, możesz pełznąć bardzo szybko – nawet ze związanymi rękami. Wyszłam na powierzchnię dalej, w zaroślach, po ciemku prześliznęłam się przez otwartą przestrzeń i podkrađłam – przez zniszczone skrzydło z powrotem tutaj. Myślałam, że Jersenowi nie przyjdzie do głowy szukać tu jeszcze raz.

– Miałaś związane ręce? Więc co zabiło Bonaeca? Sesi drgnęła.

– Więc to był ten krzyk? To musiał być któryś z półludzi. Był tutaj jeden tuż przed waszym przyjściem. Bałam się ruszyć czy krzyknąć, podczas gdy ludzie Jersena byli na górze. Nie sądzę, by chciał mnie skrzywdzić, ale oni przerażają mnie.

– Półludzie? – Kane przypomniał sobie umykającego niekształtnego stwora podobnego do kraba.

– Żyją w ruinach Lynortis. To inni, którzy ocaleli z bitwy. Nie lubią być widziani.

Kane zdecydował, że czas wyruszyć. Jersen mógł wrócić do dworu w każdej chwili i nie byłoby dobrze, gdyby tu jeszcze byli.

– Wymkniemy się drogą, którą przyszłaś – powiedział Kane. – A Jersen niech zgaduje, co się tu stało. Jeśli zdołamy ukryć się teraz w Lynortis, możemy zbiec, podczas gdy Masale i Jersen będą wybijać się wzajemnie.

Sesi skinęła głową.

– Tędy w takim razie.

Kane poszedł za nią schodami do góry i dalej na zewnątrz, w noc. Z nory za nimi dobiegły odgłosy pospiesznego szurania.

POLOWANIE NOCĄ

– Ile z tego, co powiedział Jersen, jest prawdą? – zapytał Kane.

Byli blisko szczytu i Kane uznał, że mogą już bezpiecznie odpocząć przez chwilę. W ciemnościach przeprawa przez pole bitwy poszła im łatwo, choć dwa razy pościg był blisko. Gdy znaleźli się na spiralnej drodze, niebezpieczeństwo wzrosło. Gdyby spotkali tam ludzi Jersena... Po jednej stronie wznosiła się stromizna piaskowca, po drugiej – nie było możliwości ukrycia się – tylko pustka – trzeba by stanąć do walki.

– Prawdę? Mnie pytasz? – Sesi dyszała ciężko. Oparła się o niski mur zewnętrznej strony drogi, obserwując przesuwane się w dole światła pochodni.

Jersen rozesłał swoich ludzi, najlepiej jak mógł. Miejscami rozpalali wielkie ogniska, by służyły im jako światła przewodnie. Był to beznadziejny pościg, nawet przy tak dużej liczbie ludzi, ale Jersen nie miał wyboru.

Kane poruszył się obok dziewczyny, obserwując światła w dole. Oni sami przekradali się przez gmatwaninę pola bitwy, nie odważywszy się nawet zapalić latarni. Sesi błędziła czasami, podczas gdy Kane nieomylnie omijał niewidoczne przeszkody i jamy, do których wpadłaby nawet przy swojej znajomości terenu.

Kiedy zdała sobie sprawę, że jej towarzysz widzi w ciemności, najchętniej uciekłaby natychmiast. Ale Kane, choć zagadkowy i groźny, był jej jedyną nadzieją.

Kane ponownie zaczął rozmowę:

– Mam na myśli tę historię z człowiekiem, który podsłuchał, jak matka opowiada ci o skarbie i poszedł z tą wieścią do Masale'a.

Sesi próbowała dojrzeć jego twarz w ciemności.

– To był Amenit. Włóczędzy przechodzą tędy od czasu do czasu. Włóczędzy tacy jak ty – o ile nim naprawdę jesteś. Jeśli nie ma się nic przeciwko okradaniu poległych, a Amenit nie miał... tyle tu trupów. Matka nigdy nie była silna, zmarła miesiąc temu. Przed jej śmiercią rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Kilka nocy później Amenit się upił. Zakradł się i usiłował wziąć mnie siłą. Orsis pobił go ciężko i następnego dnia Orsisa już nie było. Biedny Orsis! Opiekował się matką i mną. Jersen musiał go zabić.

– I mówisz, że Reallis nigdy nie mówiła ci o skarbie?

– Ani słowa. Musisz mi uwierzyć, Kanie!

– Coś tu się nie zgadza. Ale teraz musimy dotrzeć do Lynortis. Odzyskałaś oddech?

Po tym, jak miasto zdobyto od środka, imponujące, kute z brązu wrota zostały wyrwane z zawiasów i zrzucone ze szczytu. Ciemne ulice cytadeli były zabarykadowane gruzem. Miasto rysowało się na tle nieba linią załamanych horyzontów, rozbitych wież, wypalonych budynków i poczerniałych od ognia murów.

Kane zatrzymał się przed pustą bramą, obserwując plac przed nimi. Sesi przycisnęła się mocno do jego masywnego ciała.

– Prawie nikt tu już nie przychodzi – wyszeptała. – A już nigdy nocą. Tylko półludzie.

– Zdawało mi się, że widzę, jak coś tędy przechodzi – wymamrotał Kane, wysilając wzrok, by coś dostrzec.

Sesi nie dostrzegła nic prócz gęstego cienia.

– Półludzie... ilu ich tu jest? – zapytał Kane.

– Nie wiem. Nie zostało ich wielu. Widywałam niektórych z nich pełzających w nocy po polu

bitwy. Nigdy nie próbowali mnie skrzywdzić, ale też nigdy nie czekałam, by przekonać się, czy to zrobią.

Kane niespokojnie zmarszczył brwi.

– Nie podoba mi się to, ale musimy się gdzieś ukryć. Spróbujmy tutaj – ruszył przez otwarty plac w stronę ocienionych ulic.

– Mamy ją! – wrzasnął ktoś z ciemności.

Niewyraźna sylwetka oderwała się od szczątków maszyny miotającej.

– Tutaj! Kane ją dopadł!

Kane wydał chrapliwy okrzyk i cisnął nożem w nadbiegającego Waldanna. Mężczyzna zawył, siła uderzenia targnęła nim do tyłu. Kane – w biegu – wyrwał swój ciężki sztylet z piersi najemnika. Dzieło zniszczenia zostało dokonane.

Na dźwięk krzyku kopyta i buty zastukotały po dziedzińcu. Biegły ku nim niewyraźne kształty, błysnęła zapalona pochodnia – jedna, potem druga. A więc Jersen wysłał ludzi, by strzegli wejścia do Lynortis. Pierścień Waldannów zacieśniał się wokół zbiegów jak krąg wilków czyhających na ofiarę. Ilu ich było Kane nie mógł dokładnie stwierdzić. Było ich dosyć.

Kane przeklął swój pech i zerwał się do biegu. Gdyby zdołał przebić się przez pierwszych, którzy ich dopadną, on i dziewczyna mieliby szansę zgubić resztę w chaosie gruzów miasta.

W pół drogi do osłony uliczek i nim Sesi krzyknęła i runęła bezwładnie na kamienie. Kane przyskoczył, by jej pomóc. Wiła się w bólu, ściskając nogę.

– Moje kolano... Złamałam...

Kane podniósł ją. Spazmatycznie chwyciła oddech, gdy zraniona noga ugięła się. Musiałby ją nieść. Nie uda im się.

– Kane, uciekaj! – syknęła Sesi, próbując doczołgać się do nieosiągalnego schronienia. Ale teraz było już za późno, by zdołał się skryć. Pierwsi jeźdźcy byli już przy nim – spod kopyt poleciały iskry, gdy ściągnęli cugle.

W początkowym zaskoczeniu nie byli pewni, jaka jest rola Kane'a. Jego nóż trafił jednego z Waldannów w gardło, zrzucając go z siodła. Koń wyrwał się, gdy Kane rzucił się do jego cugli. Drugi najemnik zareagował natychmiast, osłaniając się tarczą przed uderzeniem. Krzyknął ostrzegawczo, chcąc ciąć mieczem przez głowę Kane'a. Ten odparował mimo gorszej pozycji wobec konnego przeciwnika. Jeździec nie ponawiał ataku, czekając, aż nadciągną pozostali.

Sprawa była beznadziejna – i Kane wiedział o tym. W przeciągu sekund otoczą go pierścieniem żelaza. Na otwartej przestrzeni nie miał szans z konnymi weteranami. Jeśli rzuci się do ucieczki, stratuje go. Dostarczyłby im rozrywki, ale gra skończyłaby się szybko. Sesi wydobyła nóż z ciała powalonego najemnika, Kane nie miał czasu na domysły, czy chce się nim bronić, czy też ma szybko umrzeć. Krąg zamknął się. Wściekłe zbliżające się twarze, wykrzywiały się do niego. Kane sparował pierwszy cios, podciął ścięgna mijającego go konia – jeździec spadł i zabił się. To nakazało innym ostrożność. Ich zdobycz była pewna, ale ten, kto wysunąłby się pierwszy, mógł zginąć. Przez chwilę kręcili się niezdecydowanie, oglądając się jeden na drugiego. Następny koń zarżał i upadł okaleczony od tyłu. Zrzucony jeździec runął ciężko na kamienie. Nisko przy ziemi błysnęła stal i głowa najemnika potoczyła się uwolniona.

Mężczyzna, który był najbliżej, rzucił pochodnię. W jej migoczącym świetle coś jakby pajak umykało z powrotem w cień. Lecz był to człowiek. A raczej półczłowiek. Biegł na rękach beznogi tułów kołysał się między potężnie umięśnionymi ramionami. W zębach ścisnął ciężki nóż, którego ostrze było skrwawione. Wtedy z piersi tego, który trzymał pochodnię, wyrosła strzała. Łuczywo wypadło mu z ręki, uderzyło o kamienie i zgasło. Kane rzucił się ku najbliższemu najemnikowi.

Oszołomiony Waldann o moment za późno przypomniał sobie o tarczy. Cios od dołu rozpruł mu wnętrzności.

Następny okrzyk bólu z ciemności. Kane dojrzał w przelocie piechura przewracanego na ziemię przez powykęcany kształt, który wyrósł z cienia muru.

– Na dół! – krzyknął ktoś niskim głosem.

Kane przypadł do ziemi w momencie, gdy kusza wystrzeliła z jękiem. Drzewce grube jak jego ramię przebiło swoim żelaznym grotem kolczugę Waldanna – ledwie zwalniając, wysadziło jeźdźca z siodła i poniosło go w ciemność. Następna strzała przeszła powietrze i ostatnia pochodnia została stłamszona ciałem swego właściciela. W ciemnościach wrzasnął kolejny mężczyzna – bardziej z przerażenia niż z bólu. Jego drugi okrzyk został ucięty.

Pozostali jeszcze dwaj jeźdźcy. Kane ruszył ku nim, ale ci zrezygnowali z dalszej walki. Przemknęli koło niego, kierując się do bramy. Udało się tylko jednemu. Tętent podków jego konia rozbrzmiewał przez dłuższą chwilę na krętej drodze. Kane słyszał jeszcze jego echo, gdy półludzie zaczęli gromadzić się wokół nich.

VI

W ŚWIĄTYNI POKOJU

Przewrócona pochodnia zamigotała z trzaskiem, rozsiewając nagle żółte światło. Sesi drżała oparta ciężko o ramię Kane'a. Miecz w jego lewym ręku był gotowy do uderzenia.

– Weź pochodnię – powiedział napiętym głosem. Skacząc na jednej nodze, dotarła do migoczącego łuczywa i dowlekła się z powrotem do Kane'a. Stwierdził, że kolano nie było złamane, ale zwichnięte i zdrętwiałe po upadku. Będzie mogła kuśtykać.

– Możesz opuścić miecz – rozległ się głos z ciemności. Wydaje się, że jesteśmy sprzymierzeńcami.

Ten, kto to powiedział, wszedł w krąg światła. Przez chwilę Kane myślał, że to dwugłowy garbus. Postać zbliżyła się i wtedy zobaczyli, że był to człowiek niosący drugiego człowieka, a raczej jego część. Podchodził do nich wysoki, muskularny mężczyzna który wydawał się całkiem normalny z wyjątkiem ślepej bryły blizu, będącej jego twarzą. Spod jego ramienia wyglądała głowa półczłowieka – kadłuba bez kończyn, przywieszzonego w uprzęży do pleców ślepego.

– Zatrzymaj się tu, Semoth – powiedział kadłub do ucha swego tragarza. – Ocaliliśmy im życie, ale oni wciąż nie są pewni, czy jesteśmy sprzymierzeńcami.

Za plecami ślepego giganta przemknął człowiek bez nóg, z nożem w pochwie na szyi. Nie, ten nie miał brody. Człowiek,

którego Kane przelotnie widział wcześniej, był włochaty jak niedźwiedź. Podszedł jeszcze inny mężczyzna uzbrojony w łuk i kołczan. Jego twarz i ramiona były bezkształtnymi naroślami oparzelizny, ale oczy ocalały, osłonięte kiedyś rękoma przed plwającym fosforem. Przyłączył się jeszcze jeden. Kane uznał go za karła, zanim nie dostrzegł drewnianych kłocy na kikutach nóg i stalowego haka w miejscu prawego ramienia. Inni poruszali się w cieniu – okaleczone, wykoślawione stworzenia, których nieszczęście polegało na tym, że nie umarły od szkaradnych ran, lecz zmieniły się w potwory.

– Dużo podsłuchaliśmy – przemówił kadłub. – Łatwo się ukryć i obserwować, kiedy jest się tylko połową człowieka.

Paru innych przyłączyło się do jego niewesołego śmiechu. – Kim jesteś? – spytał Kane.

– Jestem Byr – powiedział tułów. – W tamtym życiu byłem Kapitanem Pierwszej Straży. Żołnierze Masale'a zostawili mnie pod zwalonym murem, bym umarł, gangrena dokonała reszty. Mój przyjaciel Semoth dowodził załogą katapulty, póki przypadkowy kamień nie uderzył w nią w momencie, gdy ładowali bombę fosforową. Wszyscy mamy podobne historie o tym, kim byliśmy w przeszłym życiu, i o tym, jak staliśmy się potworami, które muszą unikać ludzkiego wzroku. Jesteśmy tworamami wojny, weteranami, dla których nie ma zwycięstw, trofeów, wierszy, parad. Nasi towarzysze, którzy mają już za sobą zgryzoty, są szanowanymi umarłymi, podczas gdy my – skazani na życie – jesteśmy tylko pogardzanymi, godnymi współczucia kalekami.

– Żyjecie tu od czasów bitwy?

– Tak, tutaj. Choć walczyliśmy po przeciwnych stronach, skutki wojny uczyniły nas jednym narodem. Narodem wykoślawionych, zjednoczonym przez te same utrapienia. A gdzie byś chciał, byśmy żyli? Gdy wróciliśmy do domów, nasze żony i dzieci kuliły się ze strachu. Sąsiedzi śmiali się i rzucali kamieniami, gdy wchodziliśmy do naszych starych miast. Jak mogliśmy żyć? Jako żebracy czy dziwolągi zabawiające tłumy? Nie, wybraliśmy mieszkanie w Lynortis – gdzie żaden człowiek nigdy nie przychodzi – by dożyć naszych nieszczęsnych żywotów w godności, by nikt nie wyśmiewał nas i nie żałował.

I czy tak nie jest lepiej? Kiedyś byliśmy ludźmi i wrogami, którzy nienawidzili i zabijali. Teraz jesteśmy półludźmi i towarzyszami – żyjemy tutaj w pokoju.

– Koniec waszego pokoju – powiedział Kane. – Za godzinę będzie tu Jersen ze swymi siłami.

– Wszystko ma swój kres – stwierdził Byr z mocą. – Takie jest prawo natury. Nawet wojna miała swój kres, choć myślę, że nikt nie zwyciężył. Wojna była końcem trzystu tysięcy. Dzisiejsza noc może być końcem tej garstki, która przetrwała.

– Masale wraca do Lynortis.

– Wiemy. – Uśmiech Byra był spokojny, ale nie pogodny. – Masale już tu jest.

– Tu? Skąd to wiesz?

– Patrzymy, skąd żaden człowiek nie może nas zobaczyć prychnął beznogi mężczyzna. – Przez trzydzieści lat poznaliśmy tutaj każdą dziurę i każdą kupę gruzu. Pełzacz widział zwiadowców Masale'a, wkradających się dwie godziny temu. Powiedział Gothowi – skinął na bezrękiego mężczyznę – a Goth przyniósł wiadomość do nas.

Kane ostrożnie przeszedł obok nich. Z kulejącą u boku Sesi wspiał się na występ w murze i wyjrzał w dół. Było teraz więcej pochodni, dużo więcej. W niektórych miejscach punkciki światła pędziły razem, czasem któreś gasło migocząc.

Semoth wspiał się za nim – Byr kierował jego ślepyimi krokami.

– Masale był zawsze dobrym generałem – skomentował Byr bez podziwu. – Ustalił pozycje Waldannów przez zwiadowców, potem okrążył ich po ciemku, nie używając światła, które mogłoby go zdradzić. Przez jakiś czas będą walczyć między sobą i o świecie ci którzy przeżyją, bez wątpienia przyjdą do Lynortis.

– Co zrobicie? Oni rozbiorą Lynortis kamień po kamieniu, by znaleźć Sesi.

– Nie będziemy się przed nimi chować – Semoth przemówił po raz pierwszy. – Sesi jest naszą królową. Masale nie dostanie jej

– To nie jest najlepszy czas na idealizm – zaprotestował Kane. – Przejście przez góry jest ciągle otwarte. Może Masale jeszcze nie kazał go strzec.

– Dokąd uciekniemy? – zapytał ślepy.

– Wszystko musi mieć swój kres – powtórzył Byr.

– Urządzą tu rzeź! – stwierdził Kane. – Czyż niektórzy z was nie są starymi żołnierzami Masale'a?

– To było w tamtym życiu – powiedział spokojnie Byr. Teraz jesteśmy banitami, półludźmi. Lynortis jest naszym domem, a Sesi naszą królową. Wagnanka, ścigana – dzieli nasz los, Lynortis jest i jej domem. Wojna nie skończyła się ani dla nas, ani dla Masale'a. Teraz rozegra się ostatnia bitwa, która wyłoni zwycięzcę – gdyż to, co zaczęło się trzydzieści lat temu, musi mieć kres.

– Wszyscy jesteście szaleni!

– Tak, wszyscy jesteście szaleni. Kane zaklął wyczerpany.

– Chodź z nami do Świątyni Pokoju – Byr zaprosił go łagodnie. – Może to pozwoli ci zrozumieć.

Kane tymczasem rozważał szanse wydostania Sesi z Lynortis. Droga na pewno jest teraz strzeżona, a Masale przyprowadził ponad stu ludzi, sądząc po pochodniach. Ponure perspektywy. Na razie Lynortis było schronieniem, ale też i pułapką. Ponieważ nie było nic, co mógłby teraz zrobić, Kane podążył za półludźmi. Sesi kuląła z bólem, trzymając się jego ramienia. Była w stanie iść, ale bez konia nie wymkną się pościgowi.

– To jest Świątynia Pokoju? – zadumał się Kane, gdy półludzie podeszli pod bezkształtny, bazaltowy monolit przycupnięty na dziedzińcu niedaleko bram miasta.

– Teraz tak – oświadczył Byr. – Stare czasy i starzy bogowie odeszli – umarli razem z Lynortis.

My, którzy przeżyliśmy, czcimy nowego boga.

– A Wysłańcy Ciemności?

– Nie ma już Wysłańców Ciemności – odeszli w otchłanie, z których przybyli i tylko jamy po nich pozostały. Tysiąc wyjących ofiar złożono im w darze, ale ich szklane kule zabójczych gazów i palącego fosforu nie przyniosły nam zwycięstwa. Spuściliśmy ich trucizny z powrotem do ich jam i teraz czcimy boga Pokoju.

Napięty jak struna Kane minął szczątki wrót i wkroczył do świątyni z czarnego kamienia. Jej mury były ogołoczone z wszelkich ozdób, bezbarwne i posępne jak nagrobek bez nazwiska. Znalazłszy się w środku, Kane miał wrażenie, że bezkształtne ściany naciskają zewsząd – jak w grobie.

Wewnątrz sanktuarium kilka pochodni zapłonęło jasno. Niegdyś rozwierała się tu czeluść, przez którą niezliczone ofiary wchłaniane były przez Piekła. Teraz zamknięto gardziel wielkimi kamiennymi blokami tworzącymi ołtarz. A z ołtarza wyrastał posąg człowieka – olbrzyma w bojowym stroju z mieczem wzniesionym w ognistym wyzwaniu. Oblicze posągu było zamazane. – O Twórcu Pokoju! – zaintonował Byr.

– O Twórcu Pokoju! – jak echo powtórzyli pozostali. – Kanie, co to takiego? – szepnęła z trwogą Sesi.

– Twórca Pokoju, nasz bóg – odpowiedział jej Byr. – Ten, który przyniósł pokój.

– Ależ to posąg wojownika – zaprotestowała.

– Specjalnego wojownika – wyjaśnił Byr. – To on przeprowadził armię Masale'a przez przejścia wewnątrz góry. Nie ma twarzy, bo nikt jej nie zna.

– Czcicie człowieka, który zdradził Lynortis?? – wybuchnęła nie dowierając.

– Jesteśmy żołnierzami z obu stron tej wojny. Czyż nie jesteśmy jednakowo okaleczeni? Żołnierze nigdy nie wygrywają wojen, to tylko ich przywódcy są zwycięzcami. Żołnierze walczą i cierpią, niektórzy umierają; wielu – jak my – nie do końca umiera, lecz musi żyć jako nędzne szczątki, podczas gdy nasi przywódcy starzeją się w przepychu zdobytym kosztem naszego cierpienia, Generałowie i książęta żyją w chwale, a żołnierz umiera w bólu.

Warkocze Byra wlatywały, gdy potrząsał głową w zapamiętaniu.

– Nie, Twórca Pokoju nas nie zdradził. Przyniósł szybki koniec dwuletniemu koszmarowi.

– Ależ zginęły przez niego dziesiątki tysięcy!

– Dziesiątki tysięcy tutaj i w dole. A kto może powiedzieć, ilu by jeszcze zginęło, gdyby oblężenie przeciągnęło się o dwa lata, o dziesięć lat... Yosahcara zamieniałby lud i jego dobra w wojowników i broń, a Masale gnałby wciąż nowe i nowe tysiące swoich poddanych, by dodać ich kości do kości ich braci. Twórca Pokoju położył temu kres i za to składamy mu dzięki. Twarz Byra była spokojna – jak na całą nienawiść i gniew jego słów. – A teraz będziemy odprawiać modły za nadchodzący koniec. Zabierz mnie do ołtarza, Semoth.

Ślepiec usłuchał. Poparzony łucznik pomógł mu przy upręży i Semoth ostrożnie postawił korpus Byra u stóp posągu.

– Chwała Twórcy Pokoju! – zaintonował bas Byra.

Głosy zebranych półludzi zdawały się być echem jego śpiewu. – Chwała Temu, który przyniósł Pokój!

– Chwała Temu, który przyniósł Śmierć! – Chwała Temu, który przyniósł Koniec! – Przynieś nam Koniec teraz!

Kane chwycił ramię Sesi i wyprowadził ją ze świątyni.

– Może jest jakieś wyjście. Możemy wyrwać się stąd, kiedy Masale zajmie się półludźmi. To

może odciągnąć żołnierzy od przejścia przez górę. Masale będzie czuł się pewnie i zaatakuję drogą.

- Kanie, ja nie mogę zrobić już ani kroku więcej.
- Do diabła, jedyne czego nie możesz, to zostać tutaj!
- Co za różnica? Jeśli Masale ich pokona, będzie ścigał mnie, dokądkolwiek ucieknę.
- Jeśli uda mi się wydostać nas z tego kraju, nie wytropi nas nigdy.
- Nie uda nam się, wiesz o tym. To o mnie im chodzi, ty sam możesz wyrwać się stąd.
- Mogę spróbować wyrwać nas oboje.
- To beznadziejna sprawa. Najlepsze wyjście dla mnie to zostać tu z półludźmi. Jeśli zdołają powstrzymać Masale'a...
- Sesi, oni tego nie zrobią. Są zbyt nieliczni, zbyt starzy, zbyt kalecy. I są szaleni! Ty też jesteś, jeśli nie pójdziesz ze mną. – Zostań i walcz z nimi.
- Nieżywy nie będę mógł skorzystać z tego złota. Sesi przygryzła wargę.
- Kanie, do diabła! Nie ma żadnego złota. Kane popatrzył na nią bez wyrazu.
- Gdybym знаła sekret ukrytej komnaty, myślisz, że byłabym w tej żałosnej sytuacji?
- Mogłabyś, gdybyś nie miała czasu na przemyślenie, jak wykorzystać ten sekret. Nie mogłabyś po prostu wziąć skrzyni złota i pójść spacerkiem do najbliższego miasta.
- Kanie, moje życie nie było wiele warte, ale chcę nadal żyć i nie mogę znieść bólu. Jersen wydarłby ze mnie ten sekret, gdybym go tylko znała.
- Już o tym mówiliśmy, Sesi. Ktoś gdzieś kłamie.
- Nie wiem, co Amenit stworzył z tego, co usłyszał. Myślę, że kręcił się wokół mnie i podglądał. Jednej nocy zaciągnął zasuwę i wszedł do mojego pokoju przez główną piwnicę. Orsis pobił go wtedy i wywiózł. A matka... traciła świadomość; gdy gorączka wzrosła. Mówiła dużo o swym dzieciństwie w Lynortis. Niewiele w tym było sensu. Kilka razy próbowała opowiedzieć o komnacie wypełnionej złotem, do której zaniósła swój własny naszyjnik, by dołożyć go do góry skarbów. Ale nigdy nie powiedziała, gdzie to było, ani o co w tym wszystkim chodziło. Kanie, ona nie miała nawet dziesięciu lat, kiedy Lynortis padło!
- Czy to prawda? – spytał w końcu Kane.
- Kanie, niech cię diabli! Oczywiście, że prawda. Chciałam powiedzieć to wszystkim od samego początku. Ale każdy uważał, że kłamie, jeśli nie mówiłam tego, co sam chciał usłyszeć!
- Kane wydawał się zatopiony w myślach. Sesi nie mogła wyczytać z jego twarzy, co czuje.
- Słuchaj – naciskała – gdybym znała sekret tego skarbu, powiedziałabym prędzej tobie niż tym, którzy mnie ścigali. Zrobięś dla mnie wszystko, co w twojej mocy – powiedziałabym ci teraz. Nie wstrzymałabym się jeszcze, żebyś najpierw bronił mnie przed Masale'em do ostatniej kropli krwi. Kanie, nie znam żadnej tajemnicy ukrytego skarbu!
- Wierzę ci – powiedział łagodnie. – Masale ci nie uwierzy.
- Sesi zadrżała i przypadła do niego.
- Kiedy ludzie Jersena otoczyli nas tam na dziedzińcu, sięgnęłam po twój sztylet. Myślałam, że nie pozwoliłabym im wziąć mnie żywą, ale chyba nie mogłabym tego zrobić. Nie chcę umierać, Kanie.
- Wszystko ma swój kres – groteskowy głos zakrakał z cienia.
- Sesi krzyknęła. Kane obrócił się w mgnieniu oka. Stwór, którego zobaczył, był kiedyś człowiekiem, choć domyślenie się tego wymagało wyobraźni. Z nóg nie zostało mu więcej niż Byrowi, ale kikuty ramion pozwalały poruszać się niezdarnymi szarpnięciami. Przemykał po kamieniach owinięty w potargany futrzany wór. Niegdyś wyrwało mu dolną część twarzy i – dla

jakiegoś koszmarnego kaprysu – wprawił w jej miejsce stalowe szczęki o zębach jak brzytwy. Na błyszczących kłach widniała krew.

– Pełzacz wrócił! – krzyknął bezręki mężczyzna zwany Gothem. Podbiegł pomóc ~ stalowoszczękiemu kalece. Popychał Pełzacza stopą, gdy ten wtaczał się w górę po niskich stopniach. Pozostali półludzie wyłonili się ze świątyni.

– O co chodzi, Pełzacz? – spytał Byr.

– Droga jest już strzeżona, ale mnie nie zobaczą nigdy oświadczył Pełzacz swoim ledwo zrozumiałym głosem. – Przybyłem najszybciej, jak mogłem, ale oni będą tu lada chwila. Jersen i Masale zgodzili się na zawieszenie broni po ledwie potyczce. Wiedzą, że tu jesteśmy od jednego z najemników, któremu daliście zbiec. Był przerażony do utraty zmysłów – dość, by ich przekonać. Odbyli naradę. Kiedy odchodziłem, Masale spierał się o ostateczne warunki najęcia Jersena i jego ludzi do szturm Lynortis. Zamiast wybić się wzajemnie, uderzą razem.

Byr wyrzaskiwał wściekle rozkazy. Półludzie w pośpiechu przygotowywali obronę.

– To załatwia sprawę – stwierdził ponuro Kane. – Próbujmy się jeszcze wydostać.

– Kanie, ja mówiłam poważnie. Zostaję z nimi.

Te zaciśnięte zęby, uwielbiał je. Kane wzruszył ramionami. – Więc dobrze. Ja nie.

Sesi krzyczała coś do niego, gdy odchodził. Słowa już go nie dobiegły.

VII ECHA

Kane oparł się o blanki opuszczonej wieży. Daleko w dole półludzie przygotowywali się do obrony wyłamanej bramy Lynortis. W ciemnościach mógł rozróżnić tylko niewyraźne kształty pełzające po placu przed barbakanem. Niżej widać było sznur pochodni wijący się jak wąż spiralną drogą do zamku.

Wiedział, że powinien już iść, znaleźć kryjówkę – póki to się nie skończy, póki nie nadejdzie dogodny czas, by się wymknąć. Kane przeklinał upór dziewczyny. Mieli szansę uciec we dwójkę. Sam był pewien powodzenia, oni chcieli tylko Sesi – by poprowadziła ich do skarbu, którego nigdy nie znajdzie. Kane żałował, że ją stracił. Ale tak było lepiej. Podjąłby wszelkie ryzyko dla tajemnicy skarbu, ale marny kawałek złota starczyłby mu na kobietę bardziej zdatną do łóżka niż Sesi. Powinien już iść.

Potężny łomot rozniósł się echem. Kane znał ten dźwięk. Głazy toczyły się w dół po stromiźnie drogi. Mógł jedynie dostrzec niewyraźnie sploty półludzi zmagających się z kamieniami, gdy staczali je na drogę – jak mrówki rojące się wokół żuka. Popchnięte głazy ześlizgiwały się z zewnętrznego muru i rozpędzały syjąc iskrami. Ci na drodze nie mieli dokąd uciekać przed lawiną. Ale Masale przeżył dwa lata ciągłych ataków i kontrataków na tej nasączonej krwią drodze i wiedział, że cytadeli nie zdobywa się bez oporu. Jak echo nie z tego świata dochodziły krzyki ludzi i grzmot spadających głazów, a w końcu spiżowy dźwięk – jakby uderzenia kamieniem o zbroję. To Masale posuwał się za tarczą zbitą naprędce ze szczątków rozsianych po polu bitwy. Ludzie ryczeli, konie drżały, gdy lawina głazów uderzyła w pancerną osłonę. Kane nie mógł dojrzeć, co działo się na drodze. Wyobrażał sobie jedynie chaos w dole słuchając tak wrzasku i łoskotu, obserwując wahającą się linię światła, widząc rzędy pochodni nagle spadających łukiem w noc. Kamienie odbijały się od skał i toczyły na tych na drodze poniżej. Drewno osłony pękało w drzazgi – wystrzelone jak z procy odłamki kamieni i tarczy uderzały w przyczajonych za nią żołnierzy. A kiedy cichło echo dudniących głazów, sznur pochodni podejmował swój marsz.

Żołnierze Masale'a byli teraz bliżej. Kane słyszał tętent kopyt, ryk bojowych okrzyków, potem skrzyp starej maszynerii. Kusza świsnęła zjadliwie – Kane wiedział, że ciężka strzała zmierza w dół. Usłyszał zgrzyt i świst uwolnionego ramienia onagera, ciskającego kosz kamieni wielkości pięści. Pod oświetlonym barbakanem dostrzegł łucznika posyłającego swe strzały ku– nadchodzącej linii. Następne pociski potoczyły się po zboczu z katapulty na drugim barbakanie.

Półludzie uwijali się wściekle wokół tych kilku lekkich machin oblężniczych, które mogli przystosować do rażenia na tak małą odległość. Kolumna Masale'a parła nieugięcie do góry, choć od czasu do czasu jakiś oddział pochodni spadał zrzucany w czeluść. Kane podziwiał zaciętość półludzi – garstki kalek, walczących kilkoma sztukami starej broni. Gdyby mieli dość ludzi i oręża, by móc odpierać ataki na całym obwodzie murów, Masale nie miałby cięnia szansy. Ale przy swojej liczebności półludzie zmuszeni byli koncentrować całe swoje uderzenie jedynie na odcinku zbocza na wprost bramy. W ten sposób – jako że nacierający posuwali się spiralą – każdy atak osiągał tylko część żołnierzy Masale'a. Nie było siły, by zatrzymać ich pochód ku portalowi bez wrót.

Teraz byli już o sto jardów od bramy i Kane mógł odróżnić białe plamy twarzy w migocącym świetle. Porzucili rozbitą osłonę i posuwali się w szyku żółwia – piechota na czele, konni z tyłu. Jeszcze chwila i~ pierwszy szereg przedrze się przez pustą bramę, a jazda przewali się po dziedzińcu, unicestwiając wszystko na swej drodze. Deszcz pocisków wciąż spadał na podniesione tarcze; strzała ciężkiej kuszy wyrąbała prześwit w szeregach wroga. Ale teraz zbliżali się biegiem

luczniczy Masale'a, którzy siali śmierć wśród obrońców miasta. Z tyłu po przeciwnej stronie placu ramię balisty odskoczyło ze śmiertcionośnym trzaskiem. Najcięższa machina obłącznicza ciągle działająca, jaką zauważył Kane. Jasne jak w dzień światło rozbłysło nagle ponad stromymi zboczami przed bramą. Kane poderwał ramię oślepiiony białym blaskiem. Bomba fosforowa – półludzie odkryli gdzieś niewypał. Plwające smugi rozżarzonej śmierci wykwitły ponad drogą. Tam, gdzie uderzyły, ludzie spalali się na popiół. Ogniste pasma wyciągały się ku swym ofiarom jak palce zabójcy, spalając wszystko, czego dotknęły. Konie i ludzie wyli z bólu i przerażenia, rzucając się w stronę muru w ślepej panice. Płonące ciała wylatywały w powietrze, spadając jak gwiazdy, daleko w dole.

Natarcie zostało przerwane. Balista strzeliła powtórnie i następna bomba fosforu rozsiała palące piekło po zboczu w dole. Żołnierze Masale'a rozpierzchli się w przerażeniu. Jeszcze kilka bomb i zostaną rozgromieni.

Świsnął trzeci pocisk, ale Kane nie zobaczył wybuchu światła. Daleko na końcu kolumny zniknęło kilkanaście pochodni. Po krzykach w ciemności Kane domyślił się, że uderzyła tam bomba gazowa – zbyt daleko jednak, by ciężkie opary dosięgły głównych sił. Oddziały Masale'a okazały się zdyscyplinowane. Mimo szalejącej wokół śmierci przegrupowały się pod osłoną muru – poza zasięgiem pocisków – i uderzyły ponownie. Runęły jak burza, tratując poczerniałe ciała swoich towarzyszy.

Półludnie czekali z ostatnim pociskiem, aż pierwsi nacierający miną portal. Bomba fosforu wybuchła w samym środku szyku siejąc w bramie piekło śmierci.

Na chwilę wejście zabarykadowały zwęglone, wijące się ciała. Potem reszta kolumny przewaliła się ponad dymiącą zaporą. Płomienie fosforu wygasły i ciemności pochłonęły końcową bitwę.

Ale Kane nie oglądał już śmiertelnych starć u wrót miasta. Stał zmartwiał, patrząc w przestrzeń, a jego oczy oglądały bitwę sprzed trzydziestu lat.

Widział Lynortis przed upadkiem, gdy dziesięć tysięcy broniło murów przed innymi dziesięcioma tysiącami torujących sobie drogę ku twierdzy. Widział sto machin odpalających równocześnie, miotających śmierć na tych w dole. Noc płonęła gwiazdzistymi wybuchami fosforu, rozświetlającymi knieje o tysiące stóp dalej. Atakujący posyłali kamienie ponad basztami Lynortis, miażdżąc tych, którzy nie zdołali się schować.

Lecz nie było gdzie się kryć. Ogień szalał po całym mieście, wszędzie tam, gdzie uderzyły płonące kule nafty i smoły. W dolinie dryfowały śmiertcionośne chmury czarnych oparów, zabijając wszystko swym tchnieniem. Kobiety i dzieci walczyły na ulicach o marne racje żywności i wody. Plagi grasowały wszędzie – na skalnej turni i w dolinie. A krzyki umierających rozbrzmiewały nieprzerwanie jak ciągły jęk wiatru.

Koszmar przeciągał się w nieskończoność, dni okropności zlewały się z nocami przerażenia.

Śmierć doznała tutaj przesytu, jej zachłanna chciwość wyczerpała się. Wysoko w mieście i w dole na równinie setki tysięcy umierały pośród przemocy i strachu. Śmierć była jedynym przejawem spokoju w tym piekle bez końca.

W końcu wszystko ucichło – żadnych krzyków, żadnych płomieni. Umarłe miasto spoglądało ponad umarłą doliną, gdzie poruszali się tylko żerujący między rzędami trupów. Między nie kończącymi się górami i dolinami trupów.

Kane widział, jak ci umarli poruszają się teraz. Ciała zmiażdżone, rozerwane i spalone, dziobate od chorób i powykęcane przez głód. Widział, jak powstają z gór nieprzeliczonych kości. Hordy nie z tego świata, maszerujące poprzez skoszone przez

wojnę knieje i płynące między pogruchotanym wieżami, przez gruzowiska ulic; płasające w falistym kręgu wokół obelisku Lynortis.

Kane jęknął i potrząsnął głową budząc się z transu. Rozejrzył się nieprzytomnie. Noc była nieruchoma i zimna w tej najciemniejszej godzinie przed świtem. A więc bitwa była skończona. Oddziały Masale'a złamały ostatnie ognisko oporu. Czas iść.

VIII

TEN KTÓRY PRZYNIUSŁ POKÓJ

Kane poruszał się jak duch poprzez opustoszałe ulice. Jego ostrożność okazała się zbyteczna – nie było nikogo, kto by go zatrzymał. Bramy strzegli tylko zabici. Droga do wolności stała otworem, ale Kane przystanął na progu.

Półludzie walczyli dzielnie i dzielnie polegali. Masale poniósł ciężkie straty jeszcze na podejściu, oddziały następnych poległych zasłały dziedziniec. Niewielu zginęło, przedarłszy się poza plac. Nie mając po co żyć, półludzie bili się niedbali o własną śmierć.

Cena zwycięstwa Masale'a była wysoka. Pełzacz leżał zgnieciony jak ślimak – jego ohydne, stalowe szczęki zaciskały się na czyimś gardle. Ślepy wielkolud Semoth runął twarzą w stos zabitych wrogów. Inni też tam byli. Kane nie widział Byra, ale usłyszał wzywający go głos.

Odwrócił się. Ciężka strzała kuszy sterczała zatknięta tępych końcem w usypisko gruzu. Przywódcę półludni nabitą na jej żelazny grot.

– Nie dotykaj mnie – ostrzegł Byr, gdy Kane chciał go uwolnić. – Krwawię wewnątrz. Zostało mi zaledwie kilka oddechów.

Kane odstąpił i przyglądał się jego agonii. – A więc wróciłeś – powiedział Byr.

Kane wpatrzył się w jego ściągniętą twarz. Wiedział, o co mu chodzi.

– Więc wiesz, kim jestem.

– Wiem. Nikt z nas nigdy nie wiedział na pewno, ale ja odgadłem.

– Walczyliście tu dobrze.

– Nie dosyć dobrze. Przebili się. Zostało ich może dziesięciu, może piętnastu. Mają Sesi.

To przykre.

– Dlaczego, Kanie? – wyszeptał. – Z powodu skarbu? Kane wzruszył ramionami, jego twarz ukryta była w cieniu.

– Skarb wyczerpano już dawno, nawet naszyjnik Reallis... Zmęczyła mnie bezsensowna rzeź, chciałem to zakończyć.

Byr wykrztusił pienisty strumień krwi.

– Dla mnie to kończy się teraz. Ale wojna, która jątrzy się tutaj od trzydziestu lat, trwa nadal. Kanie, przynieś nam Koniec!

Przeżył jeszcze dość długo, by zobaczyć, że Kane mija go odchodząc w stronę przeciwną do wyjścia.

Dwóch strażników przechadzało się wzdłuż wejścia do Świątyni Pokoju. Brali go za Waldańskiego marudera, dopóki nie było za późno. Kane cicho opuścił ich ciała na ziemię i wszedł do oświetlonego pochodniami wnętrza.

Sesi zwisała naga, a tuzin bezlitosnych twarzy wpatrywał się w nią zawzięcie. Zawieszona była za związane z tyłu przeguby. Sznur przerzucony przez podporę dachu wyciągał jej ramiona ponad głowę. Ciężąc w dół, tułów wyrywał jej ręce ze stawów. Była to przerażająca agonía. Na gardle miała drugą pętlę, duszącą powoli, gdy luzowano sznur wiążący jej ręce. Jej opalone ciało było poznaczone sinymi pręgami.

Jersen napinał właśnie linę podciągającą ręce, gdy Kane wkroczył. Jeden z ludzi Masale'a uważnie obcinał drzazgi pochodni. Sesi spojrzała w dół na Kane'a zamglonymi oczami. Kapitan Waldannów zobaczył go pierwszy, jego twarz wykrzywiła się w szyderym uśmiechu.

– Masz tupet, żeby tu jeszcze wracać, Kanie! Wiem, że próbowałaś wykraść tę małą sukę dla siebie. Masale zadrzał na te słowa. Obrócił się natychmiast i patrzył na Kane'a ze zdumieniem.

- To ty?! – wykrzyknął.
- Zgadza się – Kane uśmiechnął się zimno.

Niedoszły zdobywca imperium dotknął swej pełnej blizn i zmarszczek twarzy oraz siwych loków. Jego zakrzywiony nos zawsze nadawał mu wygląd orła, ale teraz był starym i zmęczonym orłem. Oczy miał podkrążone i zmęczone, a pod wspaniałą kolczugą jego ciało wojownika zdradzało już oznaki wyniszczenia. Masale potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Zdumiewasz mnie, Kanie. Po trzydziestu latach znów stajesz przede mną i przysięgłbym – nie postarzałeś się ani o rok od tamtej nocy, kiedy przeprowadziłeś mnie tajnym przejściem do Lynortis. Potem zniknąłeś...

– Na Siedmiu! To zgadza się z opowieściami o Kanie, które słyszałem, gdy walczyliśmy razem pod Roderykiem – ryknął Jersen. – Szeptano, że jest czarownikiem albo demonem, nieśmiertelnym wysłannikiem przeznaczenia, którego opiewa tysiąc legend. Zabić go, mówię!

– Ja tutaj rozkazuję – warknął Masale. – Kane przysłużył mi się bardzo w przeszłości. Jeśli znowu będzie mi służył, dostanie część złota.

– Ścigacie cienie – zaśmiał się Kane. – Sesi nie ma pojęcia o żadnym złocie.

– Mamy dużo czasu, by ją wypytać – stwierdził Masale. – Jeśli myślisz, że nic nie wie, po co wróciłeś?

– Ponieważ wszystko ma swój kres, Masale, nawet ta wojna. A tobie nie zostało wiele czasu.

Masale wyczuł znaczenie jego słów, ale już lewa ręka Kane'a znalazła miecz.

Masale wydaje ryk ostrzeżenia, jego echo drga w powietrzu. Sekundy mijają jak sen, gdyż są ostatnimi. A wszystko, co zdarza się w tej chwili – gdy umysł wie, że umiera – jest jak wędrówka przez życie.

Jersen puszcza sznur. Ręce Sesi opadają na jej plecy, druga pętla zaciska się na gardle. Lekka kusza – napięta i gotowa – Jersen sięga po nią. Prawa ręka Kane'a podrywa się – trzyma nóż – błysk przez powietrze – i przez oczy Jersena. Jednym szarpnięciem ręka Kane'a wydobywa miecz i zadaje cios. Jakiś żołnierz widzi, jak otwiera mu się brzuch i ramię jego towarzysza wlatuje w powietrze. Pojawia się struga purpury, a miecz Kane'a jest wciąż w ruchu. Teraz są za nim. Jego ostrze odwraca się im na spotkanie. Głowa Waldanna wznosi się w powietrze, jego ręka opada. Pchnięcie czubkiem miecza przebija drugiemu serce. Kane uwalnia ostrze, prawą ręką chwyta miecz umierającego. Okręca się. Ma miecze w obu rękach. Trzyma je lekko jak noże. Bliźniacze ostrza wycinają szkarłatne rany, cios i odparowanie, cięcie, odparowanie i cios. Atakuj, Kanie, nie masz czasu na obronę. Jego przedramię krwawi, przez bok idzie długa i głęboka szrama. Pięć żywotów więcej rozpostarło się u jego stóp. Uderzają teraz na niego wszyscy razem. Nie ma ściany dla jego pleców. Próbuje go otoczyć. Podejź i stań się następną ofiarą, może ty? Ginie kolejny. Ktoś naciera z toporem – zatrzymaj jego cios. Prawa ręka Kane'a dzierży złamany miecz – człowiek z toporem trzyma naręczce swoich wnętrzności. Z prawej błyska włócznia wbijając się w udo Kane'a. Kane kuleje. Ciska złamanym mieczem w twarz tego, który rzucił włócznią. Wyszczerbiona stal rozdziera tamtemu oczy – nie widzi już uderzenia, które rozłupuje jego żebra. Cofają się teraz.

Strach wykrzywia im twarze – może po raz pierwszy w życiu. Kane bierze nowy miecz w swoją pokrwawioną prawą rękę. Jakaś jasnowłosa czaszka zostaje rozszczepiona, jakaś noga staje się kikutem. Paru ostatnich chciałoby zbiec. Jeden ginie ze stałą w plecach, inny zdołał dotrzeć do wyjścia, zanim krew połała się z miejsca, gdzie było przedtem jego ramię.

Masale stoi teraz sam, twarz płonie mu wściekłością. Dla niego nie istnieje już odwrót. Myśli tylko o tym, by zamordować tego zbryzganego posoką demona, który wyrzwał jego ludzi. Rzuca się na Kane'a. Błękitny błysk ostrza. Kane rusza się szybciej, miecz w jego ręku jeszcze szybciej. Masale

poznaje lęk, potem nie wie już nic.

Echo ostrzeżenia Masale'a odlatuje w noc.

Kane stał na zlanych purpurą kamieniach. Wokół niego tylko umarli i umierający. Patrzył groźnie przez czerwoną mgłę żądzы śmierci, która wstrząsnęła jego ciałem. Nie było już kogo zabijać. Skończone.

Nagie ciało Sesi wiło się na końcu duszącego ją sznura. Nie przerwał jej szyi, bo nie miała gdzie opaść w dół, ale twarz jej pociemniała od dławiącej pętli.

Miecz Kane'a błysnął nad jej głową, lina zadźwięczała jak cięciwa – i Sesi bezwładnie stoczyła się w jego ramiona. Zdjął pętlę z jej szyi i przeciął sznur na nadgarstkach. Zwisała w jego objęciach, chwytając z trudem oddech. Jęknęła, gdy dotknął jej posiniałego, krwawiącego ciała. Ale nadal nie było łez.

– Możemy wziąć konie – powiedział, owijając ją płaszczem. Tuż przed świtem było zimno.

– Zatrzymamy się, by zabrać to, co chcesz wziąć ze sobą. Wojna tutaj jest skończona.

– Kto wygrał, Kane? – Ja.

– Ty nic nie wygrałeś. Ty tylko przeżyłeś.

– To dokładnie to samo.

– Zwyciężyć to znaczy coś więcej, niż przeżyć. Wynosząc dziewczynę ze świątyni, Kane skinął głową w stronę poległych.

– Zapytaj ich. Zapytaj mnie za sto lat.

OSTATNIA PIEŚŃ YALDESY
(Przełożyła Hanna NAJDYHOR)

DZIEWCZYNA POD DĘBEM

– Wasza wielebność! Zatrzymaj się na chwilę!

Potęźnie zbudowany kapłan ściągnął cugle. Wokół niego zawirowały jesienne liście. Mocnymi palcami dotknął gładkiej rękojeści miecza przytroczonego do siodła i odwrócił odzianą w kaptur głowę w kierunku, z którego dochodziło wołanie.

Dziewczyna o kruczoczarnych, falujących na jesiennym wietrze włosach, wyszła zza sędziwych dębów, które wytyczały górski trakt. Spod szerokich brwi uśmiechnęła się do niego smolistymi, błyszczącymi oczami, które osadzone były w twarzy o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych. Jej szerokie wargi rozchyliły się w uśmiechu.

– Wasza wielebność szybko jedzie tej nocy.

– Zapada ciemność, a ja mam jeszcze przed sobą spory szmat drogi zanim dotrę do gospody – w jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Nie dalej jak godzinę stąd jest gospoda – powiedziała dziewczyna. Kołyszącym krokiem podeszła bliżej i zobaczył jej obfite kształty pod długą suknią, którą miała na sobie.

Kapłan spojrział we wskazanym przez nią kierunku. Tuż zaraz droga rozwidlała się – w lewo wiała się wzdłuż górskiej rzeki, natomiast ta skręcająca w prawo przecinała łańcuch górski. Pierwsza z dróg wyglądała na często uczęszczaną, druga zaś sprawiała wrażenie jakby dawno już nikt tamtędy nie jeździł. I właśnie tę drogę wskazywała dziewczyna.

– Ten trakt wiedzie do Rader – powiedział, poprawiając się w siodle.

– A ja mam sprawy w Carrasahl. Poza tym mówiono mi, że gospoda w pobliżu rozstajów dróg jest już od dawna opuszczona. Odkąd targ wełniany został przeniesiony na południe od Enseljos, mało kto podróżuje do Rader.

– Stara gospoda została niedawno znowu otwarta.

– Być może, lecz moja droga wiedzie do Carrasahl. Dziewczyna nadąsała się.

– Miałam nadzieję, że może zabierzesz mnie ze sobą do tej gospody — powiedziała.

– Wsiadaj, a zabiorę cię do gospody przy trakcie wiodącym do Carrasahl.

– Lecz moja droga wiedzie do Rader.

Kapłan wzruszył okrytymi szatą potężnymi ramionami...

– A zatem najlepiej będzie jeśli tam po prostu pójdziesz.

– Ależ wielebny! – powiedziała błagalnym głosem.

– Zanim dotrę do gospody, już dawno zapadną ciemności, a ja boję się wędrować nocą tą drogą. Czy nie zechciałbyś mnie tam zabrać na swoim koniu? Nie będziesz musiał nakładać dużo drogi, a noc możesz przecież równie dobrze spędzić tam.

Mrok pogłębiał się. u podnóża gór przechodząc powoli w ciemność. Zachodzące słońce okrywało szczyty gór delikatną, rubinową mgiełką, podkreślając czerwień, wysokich dębów już naznaczonych dotknięciem jesieni. Spowite mgłą doliny zatopione były w półmroku.

I ujrzał jeździec, iż noc szybko go dogania. Przypomniał sobie przestrogi wieśniaków napotkanych wiele mil stąd, którzy pożywieniem i cierpkim winem odwdzięczali się za jego błogosławieństwo. Odpowiadali na pytania o dalszą drogę, a potem mówili, by trzymał się drogi, jeśli noc go zaskoczy i pod żadnym pozorem nie rozbijał samotnie obozowiska. Kapłan nie miał pewności, czy ostrzegali go przed rabusiami, czy też przed jakimiś bardziej mrocznymi siłami...

Koń niespokojnie przebierał nogami.

– Jeśli jедziesz z zamierzonej drogi, sprawię, że tego nie pożałujesz.

Kapłan gotów był już odjechać, lecz rzucił jej jeszcze jedno spojrzenie. Uśmiechała się figlarnie, spoglądając na niego. Z jego twarzy, ukrytej w kapturze nie można było niczego wyczytać.

Dziewczyna dotknęła sznurówek wyszywanego gorsetu swojej sukni.

– Dopilnuję, żeby wielebny mile spędził czas w gospodzie Vald Cove – kusił jej głos.

Gorset rozluźnił się, odsłaniając piersi dziewczyny.

– Chociaż nie widzę twojej twarzy, wiem jednak, że pod szatą kapłana kryje się mężczyzna. Nie chciałbyś skosztować dzisiejszej nocy nektaru górskiego kwiatu? Na stare lata, w jakiejś mrocznej świątyni będziesz wspominać jego słodycz.

Jej piersi były jędrne i kształtne. Ich biel kontrastowała z brązem sutków, których kolor harmonizował z barwą wirujących, dębowych liści.

Jeśli nawet dziewczyna wzbudzała w nim jakieś zainteresowanie, to nie mógł jednak zapominać, że pod swoim odzieniem wiezie złoto. Jej starania, by zwabić go na mało uczęszczaną drogę wzbudziły w nim poważne podejrzenia.

– Dla kapłana Thoema niczym jest pokusa lubieżnego ciała – zaintonował.

– No to pieprz się sam! – dziewczyna splunęła i z przeraźliwym krzykiem gwałtownie zbliżyła się do końskiego pyska. Ostre szpony pozostawiły na nozdrzach krwawe ślady.

Koń, który już wcześniej był niespokojny, zarżał i stanął dęba. Było to tak niespodziewane, że kapłan zgubił strzemiona. Długa szata okręciła mu się wokół nóg, a on usiłował utrzymać równowagę. Ale przerażony wierzchowiec zrzucił go ze swego grzbietu. Jeździec upadł ciężko na ziemię, lądując częściowo na stopach. Zaklął, czując jak kostka u nogi wykręca się pod ciężarem jego ciała.

Przerażony koń pognał drogą, na rozwidleniu skręcił w prawo, w stronę Rader, a potem zniknął. Dziewczyna rzuciła się za nim z szyderyczym śmiechem.

Kapłan powłócząc nogą podążył jej śladem. Potykał się co krok i rzucał bluźniercze słowa. I chociaż ciemności skryły szybko biel nóg dziewczyny, to jednak jej śmiech wciąż z niego szydził z ukrycia.

II

GOSPODA NA SKRAJU DROGI

Światła przebijające przez grube, matowe okienka gospody miały kolor przydymionej żółci. Nocne wiatry niosły drogą do Rader zapach koni i dymu, tak więc kapłan bez trudu odnalazł gospodę.

Zauważył dużą liczbę koni przywiązanych w pobliskich stajniach. Tej nocy w gospodzie przebywało wielu podróżnych i wydawało się mało prawdopodobne, by dziewczyna zamierzała wciągnąć go w pułapkę. A jeśli nawet jej wspólnicy oczekiwali ukryci gdzieś przy drodze, to pewnie zadowolili się kradzieżą konia i uprzęży. Kapłan zaklął ze złością. Stwierdził, iż był jednak zbyt podejrzliwy.

Czuł przenikliwy ból w kostce, ale dobrze, że przynajmniej wytrzymała ciężar jego ciała. Zapewne dzięki wysokim butom zdołał uniknąć poważniejszych ran. Przeklinał w duchu szarą, fałdzistą szatę, która okręciła mu się wokół odzianych w spodnie nóg. Okrycie rozdarło się z przodu i z tyłu, od kostek aż do połowy uda. I chociaż udało mu się dzięki temu dosiadać konia, to jednak ta niewygodna część odzieży była bez wątpienia przyczyną jego upadku.

Dwupiętrowy, czworoboczny dom z drewna wyglądał zachęcająco. Jesienna noc stawała się coraz zimniejsza — ponad górami mgła falowała jak morze. Spędzić ją przy drodze byłoby w najlepszym wypadku — niezbyt przyjemne. Co gorsza, ostrzegano go przecież przed niebezpieczeństwem, a miecz przytroczony do siodła został gdzieś daleko, pośród ciemnych wzgórz.

Nad drzwiami wisiał szyld: „Gospoda Valda Cove”. Wryty napis wyglądał na całkiem nową robotę, zaważył przybyły, wspinając się po kilku stopniach. Drzwi były zamknięte, choć pora nie była jeszcze późna. Słyszając dochodzący ze środka gwar zapukał głośno.

Miał własne zastukać po raz trzeci, kiedy drzwi otworzyły się nagle. Światła, głosy, a także zapach ciepła uleciały w ciemność zapadającej nocy.

Spoza uchylonych drzwi wyrzała pociągła twarz bez zarostu.

– Kto to... czego chcesz... wasza wielebność?! – głos był piskliwy i nerwowy. Człowiek ten mówił półgłosem.

– Jedzenia i miejsca do spania – z niecierpliwością huknął kapłan. – Jak sądzę, jest to gospoda.

– Przykro mi, ale nie ma już wolnych pokoi. Musisz szukać gdzie indziej – zamierzał zamknąć drzwi. Powstrzymała go potężna pięść kapłana.

– Czyś ty oszalał? Gdzie jest właściciel gospody? – zapytał nieufnie patrząc na mężczyznę.

– Ja jestem tu gospodarzem – warknął tamten z irytacją. – Przykro mi, wasza wielebność. Nie mam więcej pokoi i musisz panie...

– Niech cię diabli porwą! Posłuchaj – przybysz przepychał się w progu – zrzucił mnie koń i kuśtykałem wiele mil, żeby się tu dostać. A teraz musisz mi dać jedzenie i miejsce do spania, nawet jeśli miałby to być tylko kawałek podłogi obok paleniska!

Chudy jak szkielet właściciel gospody nie cofnął się przed większym od siebie mężczyzną. Zaciskał ze złości wąską szczękę. Dłonie w czarnych rękawiczkach zwały się w pięści.

– Co się tam dzieje? – zapytał jakiś głos dochodzący ze środka. – Przesłyszałem się, czy też odmawiasz noclegu bratu w służbie Thoema! Jakimże jesteś gospodarzem?

Właściciel gospody drgnął, a potem zaczął mówić służalczym tonem.

– Proszę o wybaczenie, eminencjo. Miałem na myśli tylko to, iż moje pomieszczenie jest zbyt skromne dla kogoś takiego jak jego wielebność...

– Wpuść go do środka, ty głupcze! Odprawiłbyś kapłana, sługę Thoema! Przekonałem się

teraz jak nisko upadliście, wy, mieszkańcy gór, w swym braku poszanowania dla prawdziwego boga! Nie słyszysz, wpuść go natychmiast do środka!

Kapłan przepchnął się obok gospodarza, który stał się nagle bardzo gościnnie.

– Dziękuję, eminencjo. Obyczaje tych ludzi, zaiste – godne są pożałowania.

W przestronnej sali gospody znajdowało się kilka osób. Przy jednym z małych stolików siedział samotnie wysoki, szczupły mężczyzna. Jego purpurowa szata wskazywała na to, iż jest on przełożonym kapłanów Thoema. Jego twarz, podobnie jak wchodzącego mężczyzny, ukryta była w kapturze. Starannie wypielęgnowaną, pokrytą niebieskimi żyłkami dłonią, skinął na przybyłego.

– Przyłącz się do mnie i napij się wina – zapraszał. – Widzę, że trochę utykasz. Nie przesłyszałem się chyba? Mówiłeś, że zrzucił cię koń. To dopiero nieszczęście! Nasz gospodarz musi wysłać swe sługi, aby odnaleźli twego wierzchowca. Czy jesteś ciężko ranny?

– Thoem uchronił mnie od poważnych ran, eminencjo. Chociaż wolałbym już nie wędrować dalej dzisiejszej nocy.

– Ależ oczywiście. Gospodarzu, jeszcze wina! I pospiesz się z tą pieczenią! Czyżbyś chciał zagłodzić swoich gości? Proszę, usiądź tutaj. Czy spotkaliście się już kiedyś? Nazywam się Passlo, jestem w służbie Thoema. Zmierzam do Rader, gdzie mam osiąść w świątyni.

– Cieszę się ze spotkania, eminencjo – powiedział kapłan zasiadając przy stole. – Jestem Callistratis, podróżuję w służbie Thoema do Carrasahl. Słyszałem, iż w tych złych czasach przybytek w Rader znalazł się pod wpływem Dualistów.

Starszy rangą kapłan rzucił mu chmurne spojrzenie.

– I do nas, na Południe, dotarły pewne pogłoski na ten temat. Mówią, że w północnych prowincjach znaleźli się jacyś zbuntowani kapłani, którzy twierdzą jakoby Thoem i Vaul byli jedynie dwoistym uosobieniem tego samego bóstwa. Niewątpliwie ci heretycy uważają, iż jest rozsądne sprzymierzanie się z bogiem tych barbarzyńców z północy.

I to teraz, kiedy królestwo zmierza ku wojnie domowej.

Mężczyzna napełnił szklankę winem i pił, pochylając się do przodu tak, że wargi skryły się w cieniu kaptura.

– Słyszałem o próbach obrony herezji, głoszonych przez Dualistów. Być może mamy do spełnienia to samo zadanie, wielebny Passlo.

– No cóż, czcigodny Callistratisie, nie dziwi mnie to. Natychmiast wyczułem, iż twoje zachowanie przemawia za tym, że nie jesteś zwykłym kapłanem. Ale nie będę już więcej niepokoić kogoś, kto z racji swej misji podróżuje incognito. Powiedz mi jednak, w jaki sposób postąpiłbyś z Dualistami?

– Wedle formuły zalecanej przy wszelkiej herezji. Wszyscy oni powinni zostać wbici na pal, a ich ciała mają być rzucone na pastwę nocnych bestii i ptaków żywiących się padliną.

Przełożony kapłanów poklepał go po ramieniu.

– Wspaniale, czcigodny Callistratisie. Jesteśmy tego samego zdania. Cieszy mnie myśl, że nie wszyscy jeszcze, którzy niezachwianie wierzą w świętą naukę Thoema, porzucili służbę mu. Myślę, że mamy przed sobą przyjemny wieczór, który spędzimy dyskutując o sprawach teologii.

– Wstrzymajcie się, czcigodni mężowie, nie wydawajcie zbyt surowych osądów. Ostatecznie także i w dziejach waszej religii mamy do czynienia z pewnym precedensem w kwestii Dualizmu.

Niski, krępy mężczyzna z siwą brodą spojrział posepnie na czcicieli Thoema. Podniósł się od

ognia, nad którym pochylał się, by zapalić fajkę. Z łańcucha, który miał na grubej szyi, zwisał srebrny medalion z wytłoczoną na nim pieczęcią uniwersytecką.

– Precedens? – mruknął przełożony świątyni. Mężczyzna skinął twierdząco głową, wypuszczając kłęb dymu.

– Tak, mam tu na myśli dogmat powstały za panowania króla Halbrosa I. Mówił on, iż Thro'ellet i Tloluvin są jedynie dwoistym wyrażeniem tej samej idei zła. W czasach monarchii nikt nie uważał takiej doktryny za herezję, chociaż dawne wierzenia przypisywały tym bogom ciemności odrębną tożsamość.

Starszy Kapłan w milczeniu rozważał usłyszane słowa.

– Interesująca kwestia – przyznał w końcu niechętnie. Nasza doktryna oczywiście uznaje różnorakie wcielenia idei zła. Niemniej jednak, pański argument nie jest w tym przypadku trafny, ponieważ jest tylko jedna prawdziwa, uniwersalna zasada dobra. Prawdziwi wyznawcy czczą ją pod postacią Thoema. Czy mogę zapytać, panie...?

Mężczyzna z siwą brodą wypuścił z fajki kółeczka dymu.

– Nazywam się Claesna, jestem z Królewskiego Uniwersytetu w Chrosanthe. Wpadła mi w ucho propozycja dyskusji teologicznej, eminencjo. Perspektywa inteligentnej rozmowy jawi się tutaj jak wybawienie. Obawiałem się, że spędzę nudny wieczór w tawernie zagubionej gdzieś w górach. Czy wolno mi przyłączyć się do was?

– Claesna? – w głosie starszego kapłana pobrzmiwało zdziwienie. – Ależ tak, dużo słyszałem o tobie. Proszę, proszę do nas! Czy wolno mi zapytać, dlaczego uczony o tak wielkiej sławie podróżuje po tych pośepnych górach?

Claesna odwzajemnił komplement uśmiechem i powiedział: – Podążam do Rader. Dowiedziałem się o istnieniu pewnych inskrypcji umieszczonych na ruinach w pobliżu tej miejscowości. Mówią, że pochodzą one jeszcze z czasów prehistorycznych. Jeśli tak naprawdę jest, chciałbym je skopiować w celu zbadania i porównania z napisami, które widziałem wcześniej.

– A więc to prawda, że zamierzasz uzupełnić „Interpretacje dawnych glifiksów” Nentaliego? – zapytał kapłan w szarym kapturze.

Claesna uniósł krzaczaste brwi.

– Stworzyć coś nowego, a nie uzupełnić, czcigodny Callistratisie. No cóż, widzę, że jesteś niezwykle dobrze poinformowany. Wieczór zapowiada się rzeczywiście interesująco.

– Och, proszę was, uczeni panownie – z kąta sali przedrzeźniał ich szydery głoś. – Nie zanudźcie nas na śmierć tymi mądrymi debatami.

– Zamknij się, Hef! – przerwał mu jakiś burkliwy głos. – Kiedy dotrzemy do Rader spotka cię bardziej zasłużony koniec niż śmierć z nudów!

Tamten w odpowiedzi powiedział coś sprośnego. Słysząc było uderzenie pięścią, potem brzęczenie łańcuchów i stłumione przekleństwa.

– Ranvyas, ty synu dziwki zzartej przez syfilis, prawie wybiłeś mi zęba. Wielka mi odwaga, że taki łowca nagród jak ty, znęca się nad człowiekiem skutym łańcuchami.

– Zanim znalazłeś się w tych łańcuchach, Hef, miałeś równe szansę – odburknął Ranvyasa. – A kiedy już dojedziemy do Rader, to nie będziesz potrzebował tego zęba.

– Zobaczmy, Ranvyas. Prawda, że jeszcze zobaczymy? Było przecież kilku innych łajdaków i wszyscy oni zabierali się do liczenia pieniędzy za złapanie mnie. Ale żaden nie przeżył, nikt nie będzie z tego mieć ani grosza.

Claesna wskazał na dwoje ludzi siedzących w pobliżu. Jeden z nich, ubrany w zielony strój strażnika był wysokim, zaprawionym w walkach mężczyzną o zapadniętych policzkach i

stalowoszarej brodzie. Drugi, jego więzień to żyłasty człowiek o wynędzniałej twarzy i brudnym zaroście. Jego niebieskie oczy wydawały się niewiarygodnie niewinne jak na kogoś, kto ugiął się pod ciężarem kajdan założonych na rękach i nogach.

– Ten tutaj, to Szalony Hef. Nawet do was, czcigodni panowie, musiało z pewnością dotrzeć jego złe imię. Wygląda zupełnie nieszkodliwie, ale wątpię, czy wszystkie modlitwy waszych kapłanów zdołałyby oczyścić jego duszę z czynów, jakich się dopuścił w tych górach. Rozmawiano o nim, zanim tu przyszliście. Strażnik schwytał go w jaskini, gdzie miał swoją kryjówkę. Jeśli uda mu się dokonać tego, co nie powiodło się już tylu dzielnym mężom, wówczas kat z Rader będzie miał pracowite popołudnie.

Z pokojów na pierwszym piętrze dotarł do nich odbijający się echem jęk konającej kobiety.

Kapłan poderwał się z krzesła, ale że żaden z siedzących w gospodzie mężczyzn nie zareagował, zatrzymał się na pół skulony.

I znowu okrzyk bólu odbił się od drewnianych ścian korytarza na górze i wąską klatką schodową dobiegł aż na sam dół. Drzwi prowadzące na schody zatrzasnęły się, tłumiąc krzyk.

Pozostali podróżni spojrzeli po sobie. Jeden z nich, potwornie gruby, wzruszył ramionami i dalej pochłaniał jabłecznik. Jego niepozorny kompan wzdrygnął się i ukrył twarz w dłoniach.

– Módl się do Thoema, aby przestała — jęknął.

Gruby mężczyzna otarł zaślinione wargi i sięgnął po kolejny kawałek ciasta.

– Napij się jeszcze wina, Dordron. To dobre na nerwy. Passlo pociągnął kapłana za ramię.

– Nie ma powodu do niepokoju, czcigodny Callistratisie. Na górze rodzi młoda żona kupca. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, żeby o tym wspomnieć. Jak widzisz – ojciec zachowuje spokój... Jedyne jego brat wydaje się nieco zdenerwowany.

– Ten bezkształtny tłuszcioch to półgłówek – szydził Claesna. – Wygląda na to, że jego umysł przeżarty jest przez syfilis. Szkoda mi jego żony, biedne dziecko. Gdyby nie nasz gospodarz, który wysłał do niej swoją służącą, to te wieprze pozostawiłyby ją z pewnością samej sobie.

– Misterium narodzin – powiedział starszy kapłan – gdzie ból jest radosną powinnością.

Właściciel gospody zaczął przesuwając się pomiędzy stołami, kładąc przed każdym z gości drewnianą deseczkę, a na niej bochenek czarnego chleba. Za nim podążał karzeł o śniadej cerze i szczeciniastej brodzie. Był to pierwszy sługa, jakiego kapłan zauważył w tej oberży. Jego przykurczone, silne ręce dźwigały wielki półmisek z pieczonym mięsem. Karzeł podawał go każdemu z gości, tak aby mogli się oni obsłużyć wedle własnego życzenia. Gruby kupiec warknął z niecierpliwością, kiedy usługujący zatrzymał się najpierw przed kapłanami i ich rozmówcą.

– Proszę cię, Jarcos – błagał go brat. – Nie obrażaj tych czcigodnych mężów.

– Nie zjedzcie tego wszystkiego! Zostawcie jakąś dużą, smakowitą kość dla biednego, bezzębnego Hefa!

Dochodzące z góry krzyki, tłumione przez grube deski w suficie, rozbrzmiewały coraz częściej.

Gospodarz uśmiechnął się nerwowo i załamał ręce odziane w czarne rękawiczki.

– Przyniosę więcej wina, Bodger – powiedział do karła. – A ty weź swoją lutnię i zagraj dla naszych gości.

Kaleka wyszczerzył zęby w uśmiechu i pobiegł gdzieś. Po chwili wyskoczył znowu w kapeluszu z piórkiem na głowie, niosąc upstrzony czarnymi plamami instrument. Jego dziwnie zakończone palce szarpały struny jak ostry koniuszek sztyletu. Zaczął brykać wokół pokoju, skrzeczącym, żabim głosem wyśpiewując ucieszne ballady.

Z góry wciąż dochodziły monotonne jęki, lecz wkrótce podróżni przestali na nie zważać. Nie spostrzegli też, gdy ucichły.

III

CZY ZNACIE PIEŚŃ YALDESY?

– I wtedy właśnie, gdy myśliwy odwrócił się słysząc jakiś dziwny hałas, wilkołak zeskoczył z dachu jego chaty. Sięgnął po srebrny sztylet przypięty do pasa, lecz pochwa była pusta. Zbyt późno przypomniał sobie przestrożę starca. A umierając zobaczył, że bestia chwytająca go za gardło ma rozpromienione oczy jego żony.

Claesna przechylił się do tyłu na krześle i wypuścił kłęb dymu prosto na skupionych wokół ognia słuchaczy.

– Brawo! – zapiszczał Jarcos, gruby kupiec. – O tak, to było ciekawe! Czy to znaczy, że wilkołak był rzeczywiście jego żoną?

Claesna nie raczył mu odpowiedzieć, lecz zamiast tego skinieniem głowy przyjmował oklaski pozostałych słuchaczy.

Posiłek stanowiła odrobina mięsa obranego z kości i okrawki sera. Jesienna noc roztaczała wokół gospody swój chłód. A w środku podróżni cieszyli się wspólnie winem i ciepłym płonącego ognia. Choć pora była późna, nikt jeszcze nie udawał się na spoczynek. Przysunawszy krzesła bliżej paleniska, słuchali ballad karła Bodgera. A gdy zapadła już głęboka noc, ktoś wpadł na pomysł, aby każdy z obecnych opowiedział jakąś historię.

– Wydaje się, że Góry Halbrosna nawiedzane są przez różnorakie złe duchy – z drzeniem w głosie zauważył Dordron. – Jarcos, dlaczego nalegałeś, byśmy odbyli podróż do Rader? Wiesz przecież, że targ z wyrobami wełnianymi nie odbywa się tam już od wielu lat.

– Mój astrolog uznał, że to mądre przedsięwzięcie. Pozwól, że ja będę troszczył się o nasze interesy, braciszku – Jarcos zdołał nadać swej nalanej twarzy stanowczy wyraz.

– Trzeba strzec się nie tylko „złych duchów” – wtrącił się Ranyyas, powykrecanym kciukiem wskazując na swego więźnia. – Jeszcze dwa dni temu był tam także Szalony Hef. Jeden tylko Thoem wie, ilu nieszczęśników napadł i zamordował. Miał swój ulubiony podstęp, cały we krwi wypełzał na drogę i jęczał, mówiąc, że jest jedną z ofiar Szalonego Hefa. Niesłychanie dużo ludzi o dobrym sercu zostawiło na tych skałach swe kości. Są one teraz siedliskiem myszy, I gdybym tylko potrafił, to jak najszybciej bym chciał zapomnieć o tym, co widziałem w tej jaskini, gdzie on się ukrywał.

Hef parsknął i potrząsnął łańcuchami przytwierdzonymi do palika.

– Miałem tam specjalną niszę na twoją czaszkę, drogi Ranyyasie. Stary chłop jak ty, powinien być wezwać pomoc, a nie zakradać się tam w pojedynkę. Za odważny jesteś jak na swój...

Ranyyas uniósł pięść. Więzień ucichł, mamrocząc tylko coś ze złością.

– W górach tych żyły ludzkie potwory, gorsze jeszcze niż ten osobnik żywiący się padliną – powiedział przełożony świątyni.

– Och! Czy wasza eminencja zna te strony? – zapytał właściciel gospody, który przyłączył się do nich, siadając przy kominku.

– Jedynie z moich studiów. Nie należy jednak wątpić, iż stare prowincje władane przez królów z dynastii Halbrosa tak mocno zaznaczyły się w naszej historii i literaturze, że każdy z nas zna jakąś opowieść o tych górach. Chociaż nikt spośród nas tutaj nie mieszka.

Spojrzał na siedzących dokoła podróżnych.

– Być może spostrzeżliście kamienne ruiny, wznoszące się na szczycie góry nad przepaścią. Imponujące na tle zachodzącego słońca – pomyślałem sobie, ujrzawszy je. Kiedyś była to twierdza Kane'a, który trzymał te góry pod swym jarzmem przez sto lat. Prowadził w tej krainie rządy twardej

ręki, wymuszał haracz od wszystkich, którzy tędy przejeżdżali, odpierał każdy atak skierowany przeciwko niemu. Niektórzy powiadają, że zawarł pakt z siłami zła i dzięki temu zachował wieczną młodość i odnosił zwycięstwa. A w zamian za to, o nowiu księżyca przelewał w ofierze niewinną krew. Przez pewien czas wspomagał w wojnach Halbrosa – Serrantho, lecz nawet ten potężny król dość miał zepsucia Kane'a i w końcu posłużył się zjednoczonymi armiami nowego królestwa, by zburzyć twierdzę tyrana. Mówią, że po dziś dzień zły duch Kane'a błąka się pośród tych ruin.

– Pokutujące wśród ludu wierzenia zniekształciły trochę tę opowieść – zauważył Claesna. – Legenda o tej postaci w rzeczywistości zawiera bardziej ponure epizody. Jak zaobserwowałem, jego imię pojawia się na przestrzeni dziejów we wszystkich krainach. Wspominają o nim ostatnio księgi mistyków. Mówi się także, że Kane jest autorem zbioru pradawnych glifiksów. Jeśli zbiór taki naprawdę istnieje, oddałbym wszystko, by go przeczytać.

– Długowieczny złoczyńca z tego Kane'a – powiedział oschle Passlo.

– Niektórzy mistycy twierdzą, że Kane był jednym z pierwszych prawdziwych ludzi. Za jakiś akt buntu przeciwko stwórcy rodzaju ludzkiego, skazany został na wieczną tułaczkę.

– Wątpię, by Thoem skazał na nieśmiertelność bluźniercę -zakupił przełożony świątyni. – Niewątpliwie, jego legenda przemawia do ciemnych typów, którzy przyjmują jego imię za swoje własne.

– W takim razie stają się oni również fizycznie podobni do Kane'a – odciął się Claesna. – W legendach opisywany jest on jako dobrze zbudowany mężczyzna. Wojownik w pełni swych sił. Ma rude włosy i jest leworęczny.

– Wielu takich znajdziemy.

– Lecz wyróżniają go oczy. Oczy Kane'a są niebieskie i jarzy się w nich szaleństwo bezlitosnego mordercy. Widząc je, nie sposób go nie rozpoznać. Odezwał się Ranvyas.

– Krążą słuchy, że za tymi morderstwami, które pchają królestwo ku wojnie domowej, kryje się jakiś złoczyńca. Mówią, że to przybysz. Sprowadził go tu Eypurin, by usunął on tych, którzy przeciwstawiają się jego nieuzasadnionym pretensjom do tronu. Jeśli dać wiarę temu, co się słyszy, człowiek ten nazywa się Kane. Niewiele o nim wiadomo, ale to co słyszałem zgadza się z twoim opisem. Czy ten Kane zginął, gdy burzono jego twierdzę?

Passlo wydawał się trochę zaskoczony tym pytaniem.

– No cóż, oczywiście... Przypuszczam, że tak. Tak, z całą pewnością. Ależ człowieku, to było strasznie dawno!

– Ostrzegano mnie, bym nie pozostawał na noc gdzieś przy drodze – powiedział kapłan. – I chociaż nie usłyszałem żadnych szczegółów, widzę teraz, że ponurych legend krążących o tych górach jest więcej niż zakrętów na drodze.

– Otóż to, czcigodny Callistratisie – przytaknął strażnik, gładząc swoje krótko ostrzyżone włosy. – A więc powiadasz, że straciłeś konia na drodze? Miałeś szczęście, że kiedy kuśtykałeś w ciemności, nie natknąłeś się na Yaldesę.

– Yaldesa?

– Strzyga, wasza wielebność – wyjaśnił gospodarz. – Yaldesa, najpiękniejszy upiór, ale i najbardziej srogi. Jak głosi legenda, nawiedza ona nocą górskie drogi. Wabi podróżnych w swe objęcia, a potem zostawia ich bez ducha w świetle księżyca.

Nagle zapadła głęboka cisza. Słyszać było jedynie szelest liści uderzających o matowe okienka gospody. Gospodarz wyczuł, iż jego goście są niespokojni.

– Nie znacie tej legendy, panowie? – zapytał. – Ach, byłbym zapomniał – wszyscy jesteście tu obcy. Ale i tak byłem pewien, że słyszeliście jej pieśń. Znacie pieśń Yaldesy?

Uniósł dłoń w czarnej rękawicze.

– Chodź tu, Bodger. Zaśpiewaj dla naszych gości pieśń Yaldesy.

Karzeł wyskoczył ze swoją lutnią. Kłaniając się zebranym, począł śpiewać. A jego głos był już teraz poważny.

Pośród posępnych wzgórz Halbrosa krainy Mieszkała urocza dziewczyna. Kolorowe kwiaty i najcenniejsze klejnoty Traciły blask swój w dłoniach Yaldesy. Gospoda jej ojca przy drodze stała, Wielkie bogactwa on miał, Lecz skarbem największym tej krainy Serce Yaldesy było bez skazy.

Aż kiedyś u drzwi śmiali zalotnicy stanęli, Sześciu krzepkich i dzielnych młodzieńców, Mówiąc, że przyszedli by zdobyć rękę Dziewczyny noszącej imię Yaldesa.

Młodzieńcy – rzekła – nie myślcie zem okrutna,

Lecz ja innego kocham.

Musiał on odejść na lat długich siedem,

By w szkole tajemnej pobierać nauki.

Zalotnicy śmiechem wybuchnęli: Ależ uroda twoja nie dla niego, Wybierz spośród nas jednego, Nie zaś czarnoksiężnika jakiegoś.

I przybył jej ukochany, w szarość odziany, Powrócił ze szkoły tajemnej. Rzekł: Nie było mnie lat długich siedem I oto przychodzę po Yaldesy serce.

Nigdy! — zazdrośni zalotnicy poprzysięgli, Nie odbierzesz nam zdobyczy naszej. I ostrymi nożami zabrali życie jego A potem serce Yaldesy.

Teraz spoczywa Yaldesa w zimnej, zimnej ziemi, A duch jej te wzgórza nawiedza Lecz jej ukochany przysięgał na Pana Szarości imię, Iż służyć będzie siedem lat po razy siedem.

– To przerażające – szepnął Dordron, kiedy karzeł skończył pieśń. – I to tajemnicze zakończenie, ostatni wers!

– Możliwe, że ostatni wers nie został napisany – zasugerował gospodarz. – Bodger, zobacz co tam u góry. Zrobiło się jakoś dziwnie cicho.

– Chwała bogu, że przynajmniej my, słudzy Thoema, nie musimy obawiać się strzyg – gromkim głosem powiedział starszy kapłan – prawda czcigodny Callistratisie?

– Oczywiście, eminencjo – zapewnił go ten, do którego się zwrócił. – Thoem ochrania swe sługi przed wszelkimi siłami zła.

Passlo wyciągnął nagle z fałd sutanny sztylet o kryształowej rękojeści.

– A po to, by w tych nawiedzanych przez upiory górach czuć się jeszcze bezpieczniej, noszę ze sobą ten święty sztylet. Kapłani, co dawno już pomarli, wytoczyli go z gwiazdneho metalu, a runy wyryte na jego ostrzu nadają mu władzę nad plugawymi sługami zła.

Nie dodał tylko, że ukradł ten sztylet z krypty świątyni.

– Siedem lat w tajemnej szkole – zadumał się kapłan. – Może to oznaczać tylko jedno.

Claesna przytaknęła skinieniem głowy.

– Kształcił się, by zgłębić tajniki kultu Siedmiu Bezimiennych. Zaprzysiężony został Panu Szarości.

– Dałby Thoem, byśmy ujrzeli kiedyś jak wygasa ten ponury kult czcicieli diabła – mruknął Passlo.

– Kult ten jest znacznie starszy niż wasza religia – pouczył go Claesna. – A mówiąc dokładniej, nie jest to wcale kult diabła.

– Jak to? Przecież oni czczą złe duchy – piskliwym głosem powiedział Jarcos.

– Nie. Czczą Siedmiu Bezimiennych. To pradawni bogowie, czy też raczej „protobogowie” - jako że istnieją oni poza porządkiem dobra i zła panującym we wszechświecie. Królestwo ich to

wieczny chaos, otchłań nieobleczonego w kształt istnienia i ostatecznego rozkładu – sił wykluczających się wzajemnie, lecz jakimś sposobem współistniejących – mówił Claesna gładząc się po brodzie.

– Cały ich kult opiera się na energii przeciwstawnych systemów. Wiemy na jego temat bardzo mało, gdyż wyznawcy odbywają swe praktyki religijne potajemnie. Nowo wtajemniczeni muszą przez siedem lat kształcić się w tajemnej szkole, by opanować tajemne moce tego kultu. Następnie każdy z nich zostaje zaprzysiężony jednemu z Siedmiu na czterdzieści dziewięć lat. Imiona Siedmiu stanowią tajemnicę, ponieważ gdyby wypowiedział je nie wtajemniczony, wywołałby tym samym boga, nie mając nad nim mocy. Podobno kogoś takiego spotyka okrutny los. Korjonos został zaprzysiężony Panu Szarości, który budzi największy lęk.

– Korjonos? Czy takie imię nosił ten młody czarnoksiężnik? – zapytał kapłan.

Claesna z rozdrażnieniem przygryzł cybuch swej fajki.

– Tak, tak myślę. W końcu ta ballada została przecież oparta na prawdziwych wydarzeniach. Było to, jak sędzę, sto lat temu.

– Ależ nie – wtrącił się gospodarz. – Nawet nie pięćdziesiąt lat temu. A na dodatek niedaleko stąd.

– Naprawdę? – w głosie Dordrona słychać było napięcie.

– Właściwie w tej oto gospodzie.

Oczy podróżnych uporczywie wpatrywały się w uśmiechniętą twarz gospodarza.

– No cóż, tak właśnie było. Ale zapomniałem, że panowie nie pochodzą stąd. Czy chcielibyście poznać historię, jaka kryje się za pieśnią Yaldesy?

Zapadła cisza. Gospodarz mówił dalej, nie zważając na niepokój, jaki ogarnął podróżnych.

– Yaldesa i Korjonos kochali się od dziecięcych lat. Ona była córką jednego z najbogatszych ludzi w Halbrosn, a on synem służącego z gospody jej ojca. Kiedy oboje mieli zaledwie po dziesięć lat, Korjonos został sierotą. Bez grosza przy duszy opuścił gospodę, by zdobywać wiedzę w tajemnej szkole. Przysiągł, że po siedmiu latach powróci po ukochaną z bogactwem i siłą, jaką przyniesie mu jego mądrość. Yaldesa czekała na niego. Lecz wokół niej pojawili się inni – sześciu grubiańskich młodzieńców z sąsiedztwa. Pożądali jej piękna, a jeszcze bardziej bogactwa, które miała odziedziczyć po ojcu. Yaldesa nie chciała żadnego z nich, lecz oni czekali cierpliwie, próbując ją przekonać. I zbliżał się dzień, w którym zgodnie z przyrzeczeniem miał powrócić Korjonos.

I rzeczywiście, wrócił po siedmiu latach. A gniew młodzieńców wzmógł się, gdy zobaczyli, że czas nie zniszczył miłości Yaldesy ku młodemu czarnoksiężnikowi. Jeszcze tej samej nocy Yaldesa i Korjonos wzięli ślub w gospodzie jej ojca.

Lecz serca odrzuconych zalotników drażyła nienawiść. Pijąc, siedzieli długo w noc...

Kawałek drewna rozleciał się w powodzi iskier, które rzuciły światło na krąg podenerwowanych twarzy. Gospodarz ciągnął dalej swoją opowieść.

– Goście opuścili już gospodę. Ojca Yaldesy zabili z pomocą kilku osób, które tam jeszcze zostały. Zabrali złoto, a następnie wywlekli kochanków z pokoju, gdzie spędzali swą noc poślubną.

Korjonosa powiesili pomiędzy dwoma drzewami. Yaldesę rzucili na ziemię.

– Nie będzie nam złorzeczyć — powiedział jeden z nich. I wycieli mu język.

– Nie rzuci na nas czarów — powiedział inny. I odcięli mu dłonie,

– Ani też nie będzie nas ścigał. To mówiąc odrabali mu stopy.

Następnie pozbawili go męskości i powiedzieli do dziewczyny: – Nie nadaje się już, by kochać się z nim! Pocięli twarz Korjonosa i rzekli do niej: — Nie nadaje się też, by na niego patrzeć.

Lecz zostawili mu oczy, by widzieć mógł to, co robią z Yaldesą. I uszy, by słyszeć mógł jej krzyki.

Kiedy skończyli... dziewczyna zmarła. Korjonosa pozostawili pomiędzy drzewami. Potem podzielili pośród siebie złoto i uciekli. Każdy swoją własną drogą. I chociaż podłość ich czynu okryła hańbą całą krainę, żaden z nich nie poniósł nigdy kary.

– A Korjonos? – zapytał kapłan.

– Nie umarł. Na siedem lat po siedem razy zaprzysiężony był Panu Szarości i śmierć nie mogła go dosięgnąć. Jeden ze złych duchów, jego sprzymierzeniec, odciął Korjonosa i zabrał go stamtąd. A nienawiść czarnoksiężnika czekała wiele, pełnych bólu lat na chwilę, gdy będzie mogła przemienić się w zemstę.

Krzesło upadło z łoskotem, kiedy Claesna zerwał się na nogi.

– Na boga! Nie rozumiecie jeszcze? Mija prawie pięćdziesiąt lat, zmieniły się nasze twarze i imiona. Lecz pomyślałem sobie, że kilka obecnych tu osób wydaje mi się znajomych. Nie próbujcie zaprzeczać! To nie przypadek, że cała nasza szóstka wróciła dzisiejszej nocy do tej gospody! To czary ściągnęły nas tutaj! Ale kto...?

Właściciel gospody uśmiechnął się, skrywając radość, kiedy ich przerażone głosy wznosiły się w okrzykach protestu. Podszedł do ognia. Wciąż uśmiechając się, zdarł czarne rękawiczki.

I ujrzeli wtedy jego dłonie przyłączone do nadgarstków.

Tymi dłońmi zaczął rozorywać swą twarz.

Odpadły uśmiechnięte usta, nos i policzki. Przerazający był widok tego, co było niegdyś ludzkim obliczem. Ujrzeli czarny język gada, który poruszał się szybko między wybitymi zębami.

Podróżni siedzieli odrętwieli z przerażenia. Niezauważony przez nikogo wszedł karzeł, trzymając w owłosionych rękach maleńkie, martwe ciało.

– Urodziło się nieżywe, panie – powiedział, przytrzymując sine dziecko za pięty. – Udużone przez własną pępownię. Matka umarła przy porodzie.

Karzeł wkroczył w sam środek siedzących dokoła ludzi. I wtedy okrył ich chłód jesiennej nocy. Gorszy od tego, jaki rodzi zwykła ciemność.

– Siedem lat po siedem razy – zasyczał Korjonos. – Tak długo spiskowałem, by was przywieść tutaj. Od dnia zbrodni kształtowałem wasze życie, pozwoliłem byście obrastali w sadło jak bydło, byście dożyli tego dnia, gdy zapłacicie jak jeszcze nigdy żaden człowiek nie zapłacił.

– Callistratisie – zwrócił się do kapłana, – to nie jest przeznaczone dla ciebie! Nie wiem jak tu trafiłeś. Odejdź, jeśli jeszcze masz siłę.

Ich twarze, zastygłe ze strachu, wpatrywały się w czarnoksiężnika. Jakieś niewidzialne więzy przytrzymywały ich w miejscu. Korjonos poruszył się i zaczął śpiewać monotonnym głosem:

– Człowiek święty, człowiek zły. Mędrzec, głupiec. Człowiek odważny, tchórz. Sześć wierzchołków heptagonu. A ja, co umarłem, lecz żyję, tworzę jego siódmy wierzchołek. Wykluczające się przeciwieństwa, co przywołują bogów chaosu. I ostatnia sprzeczność – istota, która źródłem jest klątwy. Niewinna dusza, która nigdy nie skosztowała życia. Przeklęta dusza, która nigdy nie umrze.

Siedem lat po siedem razy minęło i gdy przyjdzie po mnie Pan Szarości, was sześciu podąży do jego królestwa!

I oto Ranvyas ocknął się nagle.

– Sztylet!

Starszy Kapłan gapił się osłupiały, potem zaczął grzebać w fałdach sutanny. Wydawało się, że jego ruchy są spowolnione niczym we śnie.

Sycząc z wściekłości Korjonos przystąpił do magicznych zaklęć.

Passlo niezdarnie wyciągnął sztylet, lecz Rarwyas był szybszy.

Wyrywając sztylet z drżących dłoni Passla, cisnął nim w szczerzące zęby karła.

Bodger krzyknął i upuścił martwe dziecko. Z piersi przekłutej kryształowym sztyletem, zaczęły wydobywać się dymiące opary. Karzeł zachwiał się. Wydawało się, że próbuje jeszcze zawiesić się na samym sobie. Tak jak pusta, upadająca kolczuga. A potem została po nim jedynie tłusta, wypalona plama i stosik brudnych szmat. I uciekający w popłochu, włochaty pajak, który zniknął po chwili w jakimś pęknięciu na ścianie.

– Dobra robota, Ranvyas! – drżącym głosem powiedział Claesna, z trudem łapiąc oddech. – Zabiłeś jego sprzymierzeńca. Czary przestały działać.

Z szyderczym uśmiechem zwrócił się do czarnoksiężnika:

– O ile oczywiście nie masz innej „przeklętej duszy, co nie może umrzeć”, która mogłaby dopełnić twe zaklęcia.

Opuszczone bezsilnie ramiona Korjonosa oznaczały porażkę.

– Chodźmy stąd – łkał Jarcos. Jego brat szlochał, zupełnie otępiały.

– Najpierw musimy zgładzić czarnoksiężnika – krzyknął Ranvyas.

– Nie zapomnijcie mnie uwolnić – dodał Hef. – Nie chcielibyście chyba, abym opowiedział w Rader, jakich to mam starych kompanów.

– Na Thoema! Cóż za chłód! – szcęknał zębami Passlo. – Co stało się ze światłem?

Nagle kapłan wdarł się w ich krąg i pochylił nad stertą osmalonych szmat. Pomyśleli, iż zamierza odzyskać kryształowy sztylet. Lecz kiedy się wyprostował, ujrzeli, że w lewej ręce trzyma martwe dziecko. Kaptur zsunął się z jego głowy.

Zobaczyli rude włosy.

I kolor oczu.

– Kane! – wykrzyknął Claesna.

Korjonos wypowiedział sylaby, które utworzyły inne imię.

I daremnie dłonie ich szukały sztyletów. Gospoda wypełniona już była ciężkim i słodkim odorem rozkładu.

Rygiel w drzwiach pokrył się rdzą i odpadł. Deski poczęły butwieć, wyginać się, aż rozsypały się w proch. W przerażonych spojrzeniach podróżnych widać było świadomość tego, co ma się dokonać.

W progu stała wysoka postać, okryta strzępami szaty szarości.

Kane odwrócił swą twarz.

Pan Szarości ściągnął maskę.

Kane otrząsnął się z ciemności, które pogrążyły jego umysł. Chciał się wyprostować i niemal upadł, ponieważ stał już od dłuższej chwili.

Znajdował się w wypalonym wnętrzu drewnianej gospody. Sufit i dach zawaliły się, mógł więc zobaczyć gwiazdy na ciemnym niebie. Pośród rumowiska rosły małe drzewa. Gospoda stała opuszczona od wielu lat.

Powietrze stęchłe było od fetoru rozkładu. Potykając się, Kane zmierzał do drzwi. Pomyślał, że ten chrzęst pod stopami, to kości. Gdy już wydostał się stamtąd, łapał powietrze i spoglądał w niebo.

Postrzępione obłoki mgły tu i ówdzie zasłaniały gwiazdy. I wtedy ujrzał Kane przypominającą widmo postać, obleczoną w szarość. Jego płaszczem targały nocne wiatry. Za nim podążało siedem dalszych widm. Szli krok za krokiem, powłócząc nogami, jakby ociągając się.

I jeszcze inna zjawa. Biegnąca za nimi dziewczyna w długiej sukni. Łapie za rękę ostatniego z

orszaku. Ciągnie i wrywa go z szeregu. Pan Szarości i ci, którzy muszą za mm podążać, znikają w okrytych nocą niebiosach. Dziewczyna i jej kochanek zwierają się w uścisku. Potem stapiają się w jedno i mkną we mgle.

Wierzchowiec Kane'a czekał przed leżącą w gruzach gospodą. Kane nie był tym zdziwiony, ponieważ poznał dziewczynę. Piętami dotknął boków konia. I wówczas także i on rozplynał się we mgle.

Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA..</u>	<u>1</u>
<u>ODPŁYWAJĄCA FALA..</u>	<u>3</u>
<u>„ZACHÓD DWÓCH SŁOŃC”..</u>	<u>36</u>
<u>MROCZNA MUZA..</u>	<u>60</u>
<u>OFIAROWANIE..</u>	<u>103</u>
<u>ODROCZENIE..</u>	<u>159</u>
<u>OSTATNIA PIEŚŃ YALDESY..</u>	<u>199</u>